

OBWIESZCZENIE

o wprowadzeniu stanu wojennego ze względu na bezpieczeństwo państwa

Kierując się potrzebą zapewnienia wzmożonej ochrony podstawowych interesów państwa i obywateli, w celu stworzenia warunków skutecznej ochrony spokoju, ładu i porządku publicznego oraz przywrócenia naruszonej dyscypliny społecznej, a także mając na względzie zabezpieczenie możliwości sprawnego funkcjonowania władzy i administracji państwowej oraz gospodarki narodowej – działając na podstawie art. 33 ust. 2 Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – Rada Państwa wprowadziła stan wojenny.

W związku z tym podaje się do publicznej wiadomości, że na czas obowiązywania stanu wojennego w szczególności:

- 1) zakazane zostało zwoływanie i odbywanie wszelkiego rodzaju zgromadzeń, pochodów i manifestacji, a także organizowanie i przeprowadzanie zbiórek publicznych oraz imprez artystycznych, rozrywkowych i sportowych bez uprzedniego uzyskania zezwolenia właściwego terenowego organu administracji państwowej, z wyjątkiem nabożeństw i obrzędów religijnych odbywających się w obrębie kościołów, kaplic i innych miejsc przeznaczonych wyłącznie do tych celów;
- 2) zakazane zostało rozpowszechnianie wszelkiego rodzaju wydawnictw, publikacji i informacji każdym sposobem, publiczne wykonywanie utworów artystycznych oraz użytkowanie jakichkolwiek urządzeń poligraficznych bez uprzedniego uzyskania zgody właściwego organu;
- 3) zawieszono zostało prawo pracowników do organizowania i przeprowadzania wszelkiego rodzaju strajków oraz akcji protestacyjnych;
- 4) nałożony został na osoby przebywające w miejscach publicznych obowiązek posiadania przy sobie dokumentu stwierdzającego tożsamość, a w stosunku do uczniów szkół mających ukończone lat 13 – legitymacji szkolnej lub tymczasowego dowodu osobistego;
- 5) wprowadzony został obowiązek uprzedniego uzyskiwania zezwolenia właściwego terenowego organu administracji państwowej na pobyt stały w strefie nadgranicznej, a organu Milicji Obywatelskiej na pobyt czasowy w tej strefie;
- 6) zakazane zostało uprawianie turystyki oraz sportów żeglarskich i wioślarskich na morskich wodach wewnętrznych i terytorialnych.

Ponadto w czasie obowiązywania stanu wojennego, w zakresie powszechnego obowiązku obrony Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej:

- 1) poborowi uznani za zdolnych do służby wojskowej oraz żołnierze rezerwy niezależnie od ich przeznaczenia mogą być w każdym czasie powołani do czynnej służby wojskowej, na zarządzenie Ministra Obrony Narodowej;
- 2) określone jednostki organizacyjne administracji państwowej i gospodarki narodowej, wykonujące zadania szczególnie ważne dla obronności i bezpieczeństwa państwa, objęte zostały militaryzacją, co oznacza nałożenie na osoby zatrudnione w tych jednostkach szczególnych obowiązków, o których osoby te zostaną poinformowane przez kierowników zakładów pracy;
- 3) osoby przeznaczone do służby w określonych formacjach obrony cywilnej mogą być zobowiązane do pełnienia czynnej służby w obronie cywilnej w czasie i zakresie wynikającym z wykonywanych zadań;
- 4) obywatele mogą być zobowiązani przez właściwe terenowe organy administracji państwowej i organy administracji wojskowej do wykonania określonych świadczeń osobistych i rzeczowych na rzecz obrony państwa.

W czasie obowiązywania stanu wojennego, jeżeli będą tego wymagały interesy ochrony spokoju, ładu i porządku publicznego, uprawnione organy administracji państwowej mogą również:

- 1) wprowadzić ograniczenia swobody poruszania się mieszkańców w określonym czasie i miejscach przez wprowadzenie godziny milicyjnej albo zakazu opuszczania lub przybywania do określonych województw, miast i gmin;
- 2) nałożyć obowiązek uprzedniego uzyskiwania zezwolenia właściwego terenowego organu administracji państwowej na zmianę miejsca pobytu, polegającą na przeniesieniu się do innej miejscowości na czas dłuższy niż 48 godzin oraz obowiązek niezwłocznego zameldowania się w nowym miejscu pobytu;
- 3) zawiesić działalność stowarzyszeń, związków zawodowych, zrzeszeń oraz organizacji społecznych i zawodowych, których działalność sta-

nowi zagrożenie dla interesów bezpieczeństwa państwa, z wyjątkiem kościołów i związków wyznaniowych;

- 4) wprowadzić cenzurę przesyłek pocztowych, korespondencji telekomunikacyjnej oraz kontrolę rozmów telefonicznych;
- 5) zobowiązać posiadaczy radiowych urządzeń nadawczych i nadawczo-odbiorczych do złożenia tych urządzeń do depozytu we wskazanych miejscach;
- 6) zobowiązać posiadaczy broni palnej krótkiej oraz broni myśliwskiej i sportowej, a także posiadaczy amunicji i materiałów wybuchowych do złożenia ich we wskazanych miejscach;
- 7) zakazać dokonywania zdjęć fotograficznych i filmowych oraz obrazów telewizyjnych określonych obiektów i miejsc albo na określonych obszarach;
- 8) zakazać używania określonych odznak i mundurów;
- 9) wstrzymać lub ograniczyć pracę określonych urządzeń łączności oraz wykonywanie usług łączności pocztowej i telekomunikacyjnej;
- 10) zawiesić lub ograniczyć przewóz osób i rzeczy w transporcie drogowym, kolejowym, lotniczym i wodnym oraz ruch pojazdów mechanicznych na drogach publicznych;
- 11) zamknąć lub ograniczyć graniczny ruch osobowy i towarowy przez przejścia graniczne.

W czasie obowiązywania stanu wojennego osoby naruszające wprowadzone zakazy, nakazy, obowiązki i ograniczenia, podlegają obojętnej odpowiedzialności karnej za przestępstwa lub wykroczenia w postępowaniu doraźnym i przyłapczonym.

Osoby, mające ukończone lat 17, w stosunku do których istnieje uzasadnione podejrzenie, iż pozostając na wolności prowadzić będą działalność zagrażającą bezpieczeństwu państwa mogą być internowane w ośrodkach odosobnienia na czas obowiązywania stanu wojennego – na podstawie decyzji komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej.

W stosunku do osób pełniących służbę wojskową i służbę w jednostkach zmilitaryzowanych oraz służbę w obronie cywilnej – stosowana będzie za przestępstwa popełnione w związku z tą służbą odpowiedzialność karna przed sądami wojskowymi według przepisów odnoszących się do żołnierzy w czynnej służbie wojskowej w czasie wojny.

Podaje się również do publicznej wiadomości, że w przypadkach zbiorowego lub indywidualnego bezpośredniego zagrożenia życia, zdrowia lub wolności obywateli albo mienia społecznego, indywidualnego lub osobistego znacznej wartości, a także zagrożenia lub zajęcia budynków administracji państwowej i organizacji politycznych oraz ważnych obiektów i urządzeń gospodarki narodowej albo obiektów ważnych dla obronności lub bezpieczeństwa państwa, obok indywidualnych i zespołowych działań funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i innych formacji powołanych do ochrony porządku publicznego mogą być wprowadzone oddziały i pododdziały sił zbrojnych [wojska], przy czym wszelkie te siły uprawnione są do użycia środków przymusu bezpośredniego w celu przywrócenia spokoju, ładu i porządku publicznego.

Wzywa się wszystkich obywateli do bezwzględnej przestrzegania wprowadzonych zakazów, nakazów i ograniczeń oraz wykonywania innych nałożonych obowiązków, a także podporządkowania się wszelkim zarządzeniom uprawnionych władz, wydanych w celu zapewnienia spokoju, ładu i porządku publicznego oraz umocnienia dyscypliny społecznej.

Wydrukowane w ramach „bratniej pomocy”
w sierpniu 1981 r. w drukarni KGB....

PRZEWODNICZĄCY RADY PAŃSTWA
POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

Denerwują mnie scoty na ulicach i patrole zomo. Dawne więzienia otwierają podwoje, a nawet oferują noclegi w celach, w których kiedyś przetrzymywano internowanych. Ale ja pamiętam tamten dzień, scoty, śnieg, żołnierzy z bronią zatrzymujących samochody. I mnóstwo takich jak ja, młodych ludzi z plecakami i plecaczkami. Jakby całe miasto wybrało się na zimową wycieczkę. To byli ci, którym, tak jak i mi, udało się uciec. Jechali szukać bezpiecznego schronienia. Nikt nie wiedział, schronienia na dzień, tydzień, miesiąc? Ja zaprzętałem do domu dopiero po roku, a niektórzy nie byli u siebie nawet przez wiele lat. Przede wszystkim ci, którzy trafili na partyjno-rządowy wikt, internowani i uwięzieni. Byli też ofiary, nazwiska niektórych znamy, a jak wiele było bezimiennych? Minęło 35 lat i to co było tragedią stało się atrakcją. Taka kolej rzeczy?

JS.

Pacyfikacja niepokornej stoczni

GRZEGORZ MAJCHRZAK

Do zakładów, z których pacyfikacją władze miały największy problem należała Stocznia Gdańska. W jej przypadku nie wystarczyło kilkakrotne użycie siły, zatrzymanie i aresztowanie przywódców protestu. Konieczne okazało się jej zamknięcie i to, aż do początku stycznia 1982 r.

Po 13 grudnia 1981 r. dla władz PRL najważniejszą sprawą było złamanie strajków, które wybuchły w odpowiedzi na wprowadzenie stanu wojennego. Przy czym skupiono się na tych zakładach pracy, które uznano za kluczowe w danym regionie. Z reguły najpierw do strajkujących udawali się przedstawiciele prokuratury, Milicji Obywatelskiej i Wojska Polskiego w celu przedstawienia konsekwencji prawnych protestu. Tam gdzie argumenty słowne okazywały się nieskuteczne, przeprowadzano demonstracje siły oraz blokadę zakładów pracy. Towarzyszyły temu zmniejszające opór apele wygłaszane przy użyciu urządzeń nagłaśniających. Dopiero gdy i one zawodziły decydowano się na pacyfikację. W efekcie – według danych MSW – przy użyciu siły zakończono 40 protestów. Nie inaczej było w przypadku kolebki „Solidarności”, czyli Stoczni Gdańskiej im. Lenina.

Już w nocy z 13 na 14 grudnia na jej teren weszli funkcjonariusze Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej, którzy zatrzymali kilkanaście osób, głównie zgromadzonych przy bramie nr 2. Nie powstrzymało to jednak pracowników stoczni od rozpoczęcia 14 grudnia strajku okupacyjnego. Tu też ukonstytuował się Regionalny Komitet Strajkowy, którego przewodniczącym został Stanisław Fudakowski, a także Zakładowy Komitet Strajkowy, na czele którego stanął Alojzy Szablewski. Co prawda, w związku z zarządzeniem dyrektora zakładu o zakończeniu pracy o godzinie 14.15, część pracowników opuściła stocznice, ale i tak na noc pozostało w niej około 60% załogi. O 21.00 jezuita ks. Bronisław Sroka odprawił dla nich mszę świętą. Około 1.00 w nocy na teren Stoczni Gdańskiej ponownie weszły oddziały ZOMO (ponad 800 funkcjonariuszy), wsparci przez pułk czołgów. W trakcie kilkugodzinnej akcji



zatrzymano 51 osób (9 spośród nich następnie internowano), co było tym łatwiejsze, że strajkujący przyjęli zasadę niestawienia oporu. Akcja ta nie zakończyła się jednak pełnym sukcesem, gdyż nie udało się wyłapać wszystkich protestujących, w tym przywódców protestu.

W efekcie strajk kontynuowali ci, którzy zdołali się ukryć, a także osoby, które powróciły do stoczni z domów. Kierowali nim Bogdan Borsewicz i Anna Walentyńcowa, której udało się szczęśliwie wrócić do Gdańska. Łącznie na noc w zakładzie pozostało co najmniej 400 osób, w tym 150 stoczniovców, 150 przedstawicieli innych zakładów pracy oraz 100 studentów z trójmiejskich uczelni, na których strajki zostały zakończone (Uniwersytet i Politechnika Gdańska, Wyższa Szkoła Morska w Gdyni). Protestujący zablokowali platformami bramy wjazdowe, a mury obstawili czujkami. 15 grudnia rano (na ich zaproszenie) posługę pasterską pełnił wśród nich ksiądz Stanisław Bogdanowicz. „Załadowałem więc parę worków żywności i pojechałem do stoczni. Stocznice otaczało wojsko i czołgi. Nie zatrzymywany przez nikogo, wszedłem bramą główną, koło pomnika stoczniovców. Razem z Szymonem Pawlickim,

jednym z przywódców strajku, wskoczyliśmy na dach portierni stoczniovcwej i przez megafon stoczniovcwy zaczęliśmy się modlić. Apelowałem do żołnierzy, żeby zachowali spokój, nie walczyli z własnym narodem itd.” – wspominał po latach. I rzeczywiście tego samego dnia rano pod bramą nr 2 pojawiły się oddziały ludowego Wojska Polskiego. Jednak we wczesnych godzinach popołudniowych (po 15.00) czołgi i transportery spod stoczni wycofano, gdyż żołnierze nawiązali nazbyt przyjazne (oczywiście w ocenie ich przełożonych) stosunki ze strajkującymi i wspierającymi ich mieszkańcami Trójmiasta.

W miejsce oddziałów uznanych za niepewne ściągnięto inne. Wykorzystano je następnego dnia 16 grudnia około godz. 6.00 do pacyfikacji Stoczni Gdańskiej, w tym rozbicia bramy nr 2 – głównego wejścia na teren zakładu. Część strajkujących wycofała się do pobliskiej Gdańskiej Stoczni Remontowej, inni rozbiegli się po halach. Przez dwie i pół godziny byli oni wyłapywanie przez zomowców i wyprowadzani (łącznie około 3 tys. osób) ze stoczni. Aresztowano około 200 najaktywniejszych uczestników protestu, w tym praktycznie wszystkich przywódców strajku, a także

wiceprzewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarności” i przewodniczącego utworzonego 13 grudnia 1981 r. Krajowego Komitetu Strajkowego – Mirosława Krupińskiego oraz członka Prezydium KK i KKS Jana Waszkiewicza. Akcja, w której oprócz czołgów wykorzystano również helikoptery i komandosów, miała brutalny przebieg. „Milicja bije robotników, a z terenu stoczni wyjeżdżają karetki pogotowia” – pisało na bieżąco w jednej z ulotek sygnowanych przez RKS i KKS.

Pacyfikacja stoczni wywołała oburzenie mieszkańców Trójmiasta. 16 grudnia doszło do demonstracji i starć z milicją w okolicy dworca PKP i Błędnika. Protestujących rozproszyły dopiero czołgi, których załogi strzelały ślepych nabojami. Według oficjalnych danych rany odniosło ponad 300 osób. Następnego dnia od rana w okolicach dworca PKP ponownie trwały protesty (głównie młodzieży), a po południu wybuchły walki uliczne w centrum miasta i na Hucisku. Około godz. 16.30 tłum zmusił nawet milicję do wycofania się w kierunku dworca PKP. W odpowiedzi funkcjonariusze zaczęli strzelać raniąc kilka osób, postrelony w głowę Antoni Browarczyk (nieuczestniczący zresztą w demonstracji)

Na bibułkach

Przebieg wydarzeń w Gdańsku – relacje naocznych świadków styczeń 1982

Do strajku przystąpiły większe zakłady pracy i uczelnie. Do stoczni im. Lenina udało się wiele osób z innych zakładów i działacze Związku.

Strajk w Stoczni ostatecznie został zlikwidowany 16.12 ok. 18-tej. Pierwsza akcja pacyfikacyjna została przeprowadzona w Stoczni w nocy ok. 300 po zajęciu części stoczni pracowników legitymujących się przepustkami wypuszczono, zatrzymując pozostałych. Zostali oni zgromadzeni w tej dużej sali, w której podpisywano porozumienia. Przetrzymano ich tam kilka godzin, każąc stać bez ruchu z podniesionymi rękami. Na pewno bito tam ludzi. W Stoczni strajk trwał nadal do godzin popołudniowych. Przed pomnikiem Poległych Stoczniovców miała się odbyć po południu msza w rocznicę wydarzeń grudnia 1970 (odwołana przez władze). Pomimo to, od godzin porannych zbierał się tłum na dużym obszarze miasta między Stoczną, Dworcem Głównym, pomnikiem Sobieskiego i pawilonem

dzi tłumem a milicją. Wojsko traktowane było przyjaźnie. Czołgi oblepione były plakatami Solidarność i kwiatami. Żołnierze mówili, że na pewno nie będą strzelali do ludzi. Mimo to oddano rozkaz oddania strzałów ślepymi nabojami z czołgów na ulicy Rucisko i w okolicach Starego miasta. Od huku wyleciało kilkaset szyb, które szybko potem wstawiono. Następnego dnia 17.12 w godzinach porannych w okolicach mostu Błędnik, Dworca głównego, pawilonu LOT, zbierał się tłum młodzieży i wyrostków, tym razem przygotowany do walki z milicją (w kolejce grupy młodzieży wiozły torby i kosze wypełnione kamieniami). W godzinach popołudniowych doszło do starć. Ponownie doszło do wystrzelenia gazów prosto w tłum. Oznaczało to wiele wypadków porażenia i utraty wzroku. W tym dniu oddano też pojedyncze strzały. Postrzałem w czaszkę został zastrzelony kilkunastoletni chłopak. Strzał oddany został z góry, prawdopodobnie przez snajpera (znane jest nazwisko zabitego: Antoni Browarczyk, 23 lata) Inna ze znanych ofiar otrzymała postrzał w brzuch. Informacje są sprawdzone, m.in. pracownicy służby zdrowia mieli możliwość podsłuchu krótkofalówek za pomocą których utrzymywano łącz-

je się pogłoska, że w czasie oblężenia Rafinerii utonął w błotnistych kanałach otaczających zakład jeden czołg wraz z załogą.

Strajki na Uczelniach Uniwersytetu Gd. Rozpoczął strajk już w niedzielę 13.12 Strajkowali niemal wszyscy pracownicy i spora grupa studentów. Strajk trwał do wtorku 15.12, podobnie jak na Politechnice, gdzie strajkowali pracownicy ze studentami lub z delegatami studentów. W sumie na Politechnice strajkowało ok. 1 tysiąca osób. Brak bliższych danych na temat Akademii Medycznej.

Strajk w Porcie Gdańskim trwał na pewno dłużej niż w Stoczni. Po zajęciu Stoczni pojawiły się ulotki, że MKS działa nadal w Porcie. Przed świętami wznowiono przeładunki, ale na bardzo małą skalę. Częściowo używano do pracy wojska.

Akcja na Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne Zakład został zajęty w nocy z 12 na 13.12 ok. 300. Akcję przeprowadzono pobieżnie. Zdemolowano gmach, wygarnięto ludzi i wycofano się (np. śpiący w którymś z pomieszczeń pracownik nie obudził się w trakcie akcji). Ok. południa opuszczony gmach został zajęty przez działaczy związku. Przed gmachem zebrał się tłum. Dru-

zmarł kilka dni później w szpitalu. Władze Trójmiasta zdecydowały się na wprowadzeniu godziny milicyjnej już od 20.00.

Tymczasem teren stoczni zajęło wojsko – wjechało do niej i pozostało około 30 czołgów i transporterów opancerzonych – oraz milicjanci. Ponadto została ona (17 grudnia rano) zablokowana – utworzono dwa kordony, pierwszy przed bramą nr 2 wokół pomnika Poległych Stoczniovców, a drugi w rejonie placu przed bramą nr 2. Po to, aby uniknąć kolejnych protestów pracę Stoczni Gdańskiej wstrzymano na kilkanaście dni – najpierw do 28 grudnia, a następnie do 4 stycznia 1982 r. A zmianę terminu uzasadniano rzekomo „koniecznością zabezpieczenia materiału do produkcji i właściwego przygotowania frontu pracy”.

Prawdziwa przyczyna była jednak zupełnie inna. Otóż Służba Bezpieczeństwa dysponowała informacjami, że pozostający na wolności „ekstremalni działacze” związku zamierzają ponownie zorganizować strajk w stoczni, względnie zdecydować się na „prowadzenie pozorowanej pracy”. Oczywiście zamierzano przeciwdziałać takiemu rozwojowi wydarzeń. W tym celu Wydział III „A” Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Gdańsku opracował, zatwierdzony 19 grudnia plan działań, które miały temu zapobiec. Jego podstawą było oświadczenie, które mieli sygnować członkowie Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w Stoczni Gdańskiej, zawierające deklarację lojalności wobec władz PRL. „Opowiadamy się zdecydowanie za ustrojem socjalistycznym określonym w Konstytucji. Podporządkowujemy się aktualnemu porządkowi prawnemu określonymu dekretem wojennym proklamowanym przez WRON” – pisano w nim. I dodawano dość tajemniczo: „Odcinamy się od wszelkich sił po stronie władzy i związku, które dążyły do przelewu krwi i chciały utrzymać lub wprowadzić władzę absolutną nad narodem”. Ale przede wszystkim apelowano „do wszystkich załóg przedsiębiorstw w naszym kraju o rzeczową analizę aktualnej sytuacji, o rozważę i spokój”. Jak bowiem uzasadniano: „Od nas samych zależy, kiedy nasz związek będzie mógł podjąć ponownie swoją działalność statutową”. Osoby do podpisania tego oświadczenia mieli wytypować tajni współpracownicy SB „Konrad” (Jerzy Kozłowski) i „Zawadzki”. Oczywiście to nie oni mieli nakłaniać do sygnowania dokumentu swych kolegów ze związku, lecz sami funkcjonariusze podczas rozmów operacyjnych. Dla agentów przygotowano natomiast odpowiednią argumentację w celu urobienia przyszłych sygnatariuszy oświadczenia. Miało ono zostać rozpowszechnione w środkach masowego przekazu. Do tego jednak ostatecznie nie doszło. Albo nie znaleziono wystarczającej liczby chętnych do jego podpisania, albo też uznano, że nie jest ono – wobec opadania fali strajków po krwawej pacyfikacji kopalni „Wujek” – już potrzebne.



LOT. Dojścia na plac przed Stoczną były szczególnie zablokowane kordonem milicji. Cały teren był wypełniony czołgami. Ok. 17-ej tłum napierający na cofający się kordon milicji przerwał blokadę i wdarł się pod pomnik. Rozpoczęto akcję ZOMO, najpierw wyrzeliwując petardy z gazem w powietrze. Ludzie odrzucali je z powrotem na milicję, napierając na nich, atakując kamieniami i śniegiem. ZOMO zaczęło razić granatami z gazem na poziomie oczu, bezpośrednio w tłum. Spowodowało to rozpoczęcie regularnej bitwy między

wojskiem a milicją. Wojsko traktowane było przyjaźnie. Czołgi oblepione były plakatami Solidarność i kwiatami. Żołnierze mówili, że na pewno nie będą strzelali do ludzi. Mimo to oddano rozkaz oddania strzałów ślepymi nabojami z czołgów na ulicy Rucisko i w okolicach Starego miasta. Od huku wyleciało kilkaset szyb, które szybko potem wstawiono. Następnego dnia 17.12 w godzinach porannych w okolicach mostu Błędnik, Dworca głównego, pawilonu LOT, zbierał się tłum młodzieży i wyrostków, tym razem przygotowany do walki z milicją (w kolejce grupy młodzieży wiozły torby i kosze wypełnione kamieniami). W godzinach popołudniowych doszło do starć. Ponownie doszło do wystrzelenia gazów prosto w tłum. Oznaczało to wiele wypadków porażenia i utraty wzroku. W tym dniu oddano też pojedyncze strzały. Postrzałem w czaszkę został zastrzelony kilkunastoletni chłopak. Strzał oddany został z góry, prawdopodobnie przez snajpera (znane jest nazwisko zabitego: Antoni Browarczyk, 23 lata) Inna ze znanych ofiar otrzymała postrzał w brzuch. Informacje są sprawdzone, m.in. pracownicy służby zdrowia mieli możliwość podsłuchu krótkofalówek za pomocą których utrzymywano łącz-

ność. Podobno w czasie walk 16.12 ranni przywieźli do Akademii Medycznej byli w proporcji: 1 cywil na 5 ZOMO-wców. ZOMO walczyło niechętnie i niepewnie. Podobnie było z akcją internowania. Były wypadki gdy zagrożono milicjantom pobiciem ekipa wycofała się. Najdłużej trwał strajk w RAFINERII Gdańskiej (do 19.12). Tego dnia ok. 3 rano rafineria grożąca wysadzeniem zbiorników, została zdobyta za pomocą desantu komandosów bardzo sprawnie w ciągu kilku minut. Do dn. 2.01 jest otoczona kordonem wojska. Utrzymu-

Śląskie powstanie

**Grudzień 1981 r.
na Górnym Śląsku
i w Zagłębiu
Dąbrowskim**

JAROSŁAW NEJA

Wśród uchwał podjętych przez Krajową Komisję NSZZ „Solidarność” na ostatnim przed wprowadzeniem stanu wojennego posiedzeniu w Gdańsku w dniach 11–12 grudnia 1981 r., znalazł się m.in. dokument, zgodnie z którym dzień 17 grudnia 1981 r. miał być „ogólnopolskim dniem protestu przeciwko używaniu przemocy, dniem jedności społeczeństwa sprzeciwiającego się groźbom użycia przemocy”. Niestety, zrzędzeniem losu dzień ten, za sprawą krwawej pacyfikacji strajku w katowickiej kopalni „Wujek” z 16 grudnia 1981 r., stał się dla większości polskiego społeczeństwa dniem żałoby i strachu.

Szok był tym większy, że jeszcze trzy dni wcześniej, 13 grudnia wprowadzając stan wojenny jego główny autor, gen. Wojciech Jaruzelski w przemówieniu emitowanym w radiu i telewizji, a następnie opublikowanym w prasie codziennej stwierdzał: „Niechaj w tym umęczonym kraju, który zaznał już tyle klęsk, tyle cierpień, nie popłynie ani jedna kropla polskiej krwi”. Tymczasem w wyniku działań represyjnych prowadzonych od pierwszych minut stanu wojennego na terenie województwa katowickiego, popłynąć miała nie jedna kropla, a całe strumienie krwi.

Użycie brutalnej siły było wpisane w operację wprowadzenia stanu wojennego. Towarzystwo ono zarówno zajmowaniu siedzib ogniw „Solidarności”, akcji internowania działaczy związkowych i innych niezależnych organizacji, ujętej w ramy operacji „Jodła”, jak również pacyfikacji szeregu objętych strajkami zakładów pracy.

Przykładowo, jedną z dwóch katowickich siedzib Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego „Solidarności” „szturmowano” w nocy z 12 na 13 grudnia m.in. przy użyciu świec dympnych i gazów łzawiących. Przeciwno temu garstka przebywających wewnątrz budynku związkowców mogła użyć jedynie pianowych gaśnic. Pomimo że szybko zaprzestali oni stawiania oporu, siedziba została zdemolowana, a oni sami potraktowani jak przestępcy i zatrzymani. Podobnie zresztą jak osoby przewidzia-

ne do internowania. Przewodniczącego komisji zakładowej „Solidarności” kopalni „Wujek” Jana Ludwiczaka wywleczono tej samej nocy z jego mieszkania na oczach zszokowanych sąsiadów. Przedtem jednak milicjanci pobili przybyłym mu na pomoc z nieodległej kopalni górników, a do mieszkania przewodniczącego dostali się po porębaniu i wyważeniu drzwi. Ludwiczak był jedną z 474 osób ujętych na pierwotnej, liczącej 648 nazwisk liście wytypowanych do internowania z terenu województwa katowickiego, jakie zatrzymano do godzin popołudniowych 13 grudnia. Ponieważ jednak instytucję internowania traktowano rozszerzająco, wkrótce liczba zatrzymanych przekroczyła pierwotnie założoną wielkość. O skali „Jodły” na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim może świadczyć m.in. to,

**Użycie brutalnej
siły było wpisane
w operację
wprowadzenia stanu
wojennego**

że w dniu 1 stycznia 1982 r. w ośrodkach odosobnienia przebywało już 1041 osób z województwa katowickiego, w tym 10 z 11 działaczy reprezentujących Region Śląsko-Dąbrowski w Komisji Krajowej „Solidarności” oraz 35 z ponad 60 członków zarządu tegoż regionu. Dla śląsko-zagłębiowskich struktur związku była to katastrofa w dosłownym tego słowa znaczeniu. Już w ciągu kilkunastu pierwszych godzin od rozpoczęcia operacji wprowadzania stanu wojennego stracił on poważną część kierownictwa, zarówno jeśli idzie o składy oficjalne (zakładowe, miejskie i regionalne), jak i ich „zapasowe” garnitury. Jak poważne były tego następstwa może świadczyć fakt, że żadna z czterech grup wyznaczonych jeszcze przed 13 grudnia ze składu zarządu regionu do kierowania strukturami związku na szczeblu województwa „w razie zaistnienia sytuacji nadzwyczajnej” nie zebrała się i nie przystąpiła do działania. Tak potężne uderzenie w związek niejako zdeterminowało niemożność utworzenia jednego lub kilku ośrodków, które byłyby w stanie animować i koordynować

ewentualne protesty. Swoje zrobiły również szok i strach. W grudniu 1981 r. nie powiodło się więc to, co stanowiło o sile protestów z lata 1980 r. czy strajku ostrzegawczego z wiosny 1981 r. W grudniu 1981 r. każdy zakład strajkował właściwie samodzielnie. Należy jednak pamiętać, że w porównaniu ze strajkami z sierpnia i września 1980 r. (272 zakłady) lub z 27 marca 1981 r. (65 kopalń, 24 huty i 874 inne zakłady), grudniowe protesty okazały się nieliczne. Tym niemniej, pomimo że w województwie katowickim do strajków lub prób ich zorganizowania doszło wówczas tylko w około 50 zakładach (z tego ponad połowa odbyła się w kopalniach), to i tak w skali ogólnopolskiej protesty te okazały się z kilku powodów najważniejsze. Chodziło o determinację załóg, długość trwania, wyjątkowo brutalne formy ich pacyfikacji, a przede wszystkim ofiarę życia i zdrowia ich uczestników.

Pierwsze z nich rozpoczęły się jeszcze w niedzielę 13 grudnia, ale objęły nieliczne czynne w tym dniu zakłady i przedsiębiorstwa, m.in. Hutę „Katowice” w Dąbrowie Górniczej. Akcje strajkowe przybrały na sile w poniedziałek i wtorek, 14 i 15 grudnia. Protestowało już wówczas kilkadziesiąt zakładów, w tym 15 kopalń. Jedną z nich był „Wujek”, którego górnicy upomnieli się o wspomnianego Jana Ludwiczaka. W kopalni tej, podobnie jak w pozostałych zakładach objętych strajkami, rdnem pakietu żądań stanowiły dwa punkty: uwolnienie wszystkich zatrzymanych (internowanych) oraz zniesienie stanu wojennego. Władze nie miały jednak zamiaru ich spełnić, natomiast z wielkim rozmachem przystąpiły do siłowego „wygaszenia” strajków wszędzie tam, gdzie załogi nie uległy presji prowadzonych z nimi rozmów, perswazjom, groźbom czy demonstracjom siły urządzanym przez kolumny wojskowo-milicyjne wokół zakładów i zdecydowane były kontynuować protesty.

14 grudnia przy użyciu zomowskich pałek „wygaszono” m.in. strajki w kilku kopalniach oraz katowickiej Hucie „Baildon”. Oczerkowanych rezultatów nie przyniosła natomiast akcja milicyjno-wojskowa w Hucie „Katowice”. Jeszcze tego samego dnia wieczorem wznowiono tam strajk.

Informacje o brutalnych działaniach ZOMO wspartych armatkami wodnymi i sprzętem pancernym szybko rozeszły

niono jego siostrę. Siedzą oboje. Obozy dla internowanych mieszczą się za Wejherowem, koło Żarnowca. Jeden z ważniejszych jest w Strzembielinku, w barakach budowy elektrowni. Przebywają tam internowani głównie z trójmiasta. Na pewno jest tam T. Mazowiecki i prawdopodobnie A. Gwiazda. Do 1.01 był tam również J. Kuroń.

Wielu przewieziono w inne miejsca. Obecny stan ok. 200 osób. Internowanym zezwala się na widzenia z rodzinami i przyjmuje się paczki. Kobiety są w więzieniu w Fordonie. Część osób jest w więzieniu w Gdańsku. Początkowo zatrzymanych (m.in. ze Stoczni) zamknięto w Pruszczu gdańskim. Aresztowano też nauczycieli, działaczy sekcji Oświata – Solidarność, m.in. Jerzy Roman (Tech. Budow.), Sarzyński (IXLO), Pieńkowska (IILO). Są pogłoski o istnieniu obozu na Półwyspie Helmskim, lecz nie w samym Helu. W sprawny sposób dostarczono prof. Drueta na spotkanie świata nauki z Jaruzelskim. Prof. Druet został zatrzymany na ulicy, wsadzony do samochodu i dowieziony na spotkanie w Warszawie.

Po świętach w mieście rozpowszechniane są ulotki wyjaśniające bezprawność wprowadzenia stanu wojennego, wzywające do oporu przez Juntę. Podpisywane są przez Międzyzakładowy Komitet Protestacyjny z siedzibą w Gdyni. Miasto jest spokojne i wyraźnie wyczuwa się całkowity brak akceptacji stanu wojennego i wołę oporu. Wiele osób ukrywa się. W dniu 29.12 i 30.12 przez miasto przeszła fala ponownych aresztowań i łapanek. Aresztowano wiele osób z komisji zakładowych Solidarności. Stocznia Lenia ma wznówić pracę 4.01. Już w tej chwili wiadomo, że część ludzi nie zostanie ponownie przyjęta do pracy. Zwalniani są nie tylko działacze, organizatorzy strajków, ale i ci, którzy nie chcą podpisywać list lojalnościowych.

Część osób uwięziono w Iławie. Połowa więzienia jest odgrodzona i nazywana obozem dla internowanych. Przebywa tam ok. 570 osób, m.in. przew. KZ MPK Z Kwoka. W szpitalu na ul. Świerczewskiego leży z zawałem serca członek prezydium KK, Krupiński. Gmach jest pilnowany. Partia jest obecnie wyłączona z działań. Fiszbach jest nieobecny w Gdańsku przez pierwsze trzy dni. Następnie KW zwróciło się z apelem do władz wojskowych o zwolnienie internowanych działaczy kultury. Organizowane są środowiskowe zebrania PZPR, na niektórych ustala się listy internowanych. Oddawane są legitymacje partyjne.

W szkolnictwie zapowiedziano weryfikację kadry nauczycielskiej. Wprowadzono dyżury nauczycieli zobowiązując ich do działań przeciwko wszelkim akcjom protestacyjnym. W nauczaniu mają być podkreślane tzw. Treści patriotyczne.

We Wrocławiu nie wyszło

**Regionalny
Komitet Strajkowy
we Wrocławiu,
czyli największa
porażka władz
stanu wojennego**

SEBASTIAN LIGARSKI

W momencie wprowadzania stanu wojennego w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r., wrocławskiej SB nie udało się zatrzymać i internować przewodniczącego Zarządu Regionu, jego zastępców, skarbnika oraz innych członków tego gremium. Co więcej na wolności pozostawali wrocławianie, wchodzący w skład Prezydium Komisji Krajowej: Eugeniusz Szumiejko, Andrzej Konarski oraz Jan Waszkiewicz. Zatrzymania uniknął też Kornel Morawiecki, co miało brzemienne skutki dla rozwoju poligrafii oraz późniejszych losów podziemnych struktur związku (vide ich rozłam i powstanie Solidarności Walczącej w czerwcu 1982 r.).

Wbrew pozorom porażka wrocławskiej SB nie wynikała wcale z jej słabości, co raczej z roztrpności i zdolności przywidywania sytuacji przez wrocławskich opozycjonistów. Otóż narastająca od sierpnia 1981 r. fala konfrontacji pomiędzy związkiem a władzami zaczęła osiągać apogeum pod koniec roku, co zwiastowało jakiś rodzaj przesilenia. Dla wielu działaczy związku akcja milicyjna w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarnictwa 2 grudnia 1981 r. jednoznacznie wskazywała, że władze dążą do konfrontacji. 3 grudnia odbywało się w Radomiu nieformalne posiedzenie Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczących Zarządów Regionów, na której padły niezwykle ostre słowa pod adresem rządu, co zresztą potem propaganda zręcznie wykorzystała. Tego samego dnia we Wrocławiu czterech działaczy związku przeprowadziło akcję, która wprawiała wszystkich w osłupienie. Mianowicie z Narodowego Banku Polskiego Józef Piniór, skarbnik Zarządu Regionu wraz z Piotrem Bednarzem, Tomaszem Surowcem oraz Stanisławem Huskowskim (dołączył później), podjęli z konta związku 80 milionów złotych i przez nikogo nie niepokojeni zawieźli je do pałacu arcybiskupa Henryka Gulbinowicza z prośbą o przechowanie. Na koncie pozostawiono dużo mniejszą część pieniędzy potrzebną do codziennego funkcjonowania „Solidar-

się w społecznej przestrzeni województwa. W ten sposób uczestnicy prowadzonych nadal strajków zdali sobie sprawę, że nie wymuszają one na władzach odwołania stanu wojennego. Jednak, jak ujął to jeden z górników katowickiej kopalni „Staszic”, dostrzegali oni sens dalszego prowadzenia strajków „w moralnym proteście przeciw bezprawiu”. Dlatego też pomimo ogromnego napięcia i stresu kontynuowano je, chociaż, tak jak to miało miejsce w „Wujku” informacje o dotychczasowym brutalnym, momentami wręcz bestialskim postępowaniu milicji utwierdziły górników w przekonaniu, że do nich „ZOMO też przyjdzie”. Istotnie, 15 grudnia przeprowadzone zostały kolejne interwencje: zaatakowano „Staszica” oraz kopalnię w Rybnickim Okręgu Węglowym. Podczas likwidacji strajku w „Manifeście Lipcowym” w Jastrzębiu Zdroju pluton specjalny ZOMO użył ostrej amunicji, wskutek czego czterech górników zostało rannych. Dzień później przeprowadzono pacyfikację „Wujka”. Funkcjonariusze plutonu specjalnego ZOMO po raz kolejny użyli broni palnej, co rozstrzygnęło o przebiegu wydarzeń w kopalni. Od kul na miejscu zginęło 6 górników, 3 kolejnych zmarło w wyniku odniesionych postrzałów, ponad dwudziestu zostało rannych.

Podanie przez media informacji o użyciu broni przez milicję i śmierci górników niewątpliwie wpłynęło na znaczne osłabienie oporu. Okazało się jednak, że nie wszystkie górnolśląskie i zagłębiowskie załogi od razu gotowe były przerwać strajki. Wprawdzie na wieść o wydarzeniach w Katowicach część protestów w regionie zaczęła rzeczywiście wygasać dzień po masakrze, to jednak należy pamiętać, że w tym samym czasie wybuchł nowy, kilkogodzinny podziemny strajk w kopalni „Jankowice” w Jankowicach. Ponadto kontynuowano inne akcje, m.in. w Hucie „Katowice” oraz kopalniach „Piast” w Tychach – Nowym Bieruniu i „Ziemowit” w Tychach – Będzinach. Ich górnicy od początku strajkowali pod ziemią, co w sposób zasadniczy ograniczało możliwość ewentualnego użycia przeciw nim sił porządkowych. Po 20 grudnia w województwie strajkowały już tylko załogi tych trzech zakładów. Strajk w hucie zakończył się 23 grudnia. Dzień później wyjechali na powierzchnię górnicy „Ziemowita”. Z kolei ich koledzy z sąsiedniego „Piasta”, jako najdłużej strajkująca załoga w kraju, zakończyli swój protest dopiero wieczorem 28 grudnia 1981 r. Opuszczali kopalnię po 14 dniach spędzonych pod ziemią, z poczuciem spełnionego do końca obowiązku, dania świadectwa sprzeciwu wobec bezprawia stanu wojennego, solidarności z wszystkimi osobami represjonowanymi, a także pamięci o górnikach poległych w kopalni „Wujek”.



ności”. Jakby tego było mało, 8 grudnia 1981 r. we Wrocławiu rozkolportowano po komisjach zakładowych, przygotowaną przez Janusza Bełenkowskiego, byłego komandosa, biorącego udział w inwazji na Czechosłowację w sierpniu 1968 r., instrukcję na czas strajku powszechnego (generalnego), w której dokładnie rozpisano rodzaje protestu i określono, które zakłady biorą w nim udział oraz podział ról pomiędzy strajkujących. Dopelniała ona instrukcję na wypadek wprowadzenia stanu wyjątkowego w Polsce z marca 1981 r., której stosowanie zalecała Komisja Krajowa. Dolny Śląsk był przygotowany na wprowadzenia stanu wojennego.

W ostatnim posiedzeniu Komisji Krajowej 11-12 grudnia 1981 r. w Gdańsku brali udział Władysław Frasyniuk, Eugeniusz Szumiejko, Andrzej Konarski, Jan Winnik, Jan Waszkiewicz, Jan Seń, Karol Modzelewski, Jan Sobczyk. Frasyniuk, Seń, Winnik, Sobczyk i Modzelewski postanowili wracać do Wrocławia, z tym, że Modzelewski odłączył się od grupy. Szumiejko i Konarski zostali w Gdańsku. Frasyniuk wraz z kolegami najpierw przesiadali się w Inowrocławiu, następnie w Poznaniu. Tam dowiedzieli się o wprowadzeniu stanu wojennego. Wsiadli do najbliższego pociągu i wyruszyli do Wrocławia. Od kolejarzy dowiedzieli się, że na dworcu czeka na nich SB. Frasyniuk: „Podejmuję decyzję: jedziemy do Wrocławia, może się uda

wyskoczyć przed dworcem”. Wyskoczyli w okolicach Lipy Piotrowskiej i Świniar, gdzie pociąg specjalnie zwolnił, pisał Wojciech Sawicki.

Frasyniuk przedostał się najpierw na teren Zajezdni Tramwajowej przy ul. Słowiańskiej, skąd przetransportowano go do jego macierzystej Zajezdni nr VII (autobusowej) przy ul. Grabiszyńskiej. Tam spotkał się z Piotrem Bednarzem, Józefem Piniorem, i ustalili powołanie Regionalnego Komitetu Strajkowego. Ustalili również, że członkowie RKS opuszczają zajezdnię, a w razie jej pacyfikacji, kierowcy mieli po prostu wyjść z zakładu. Frasyniuk i Piniór udali się do jednego z wrocławskich szpitali, gdzie spędzili noc. 14 grudnia obaj zostali zawiezieni karetką pogotowia do Pafawagu, do którego mimo obstawienia przez wojsko i milicję, udało im się wejść.

Oficjalnie RKS powstał 14 grudnia 1981 r. w Pafawagu. W jego składzie znalazło się 9 osób, choć liczba ta zmieniła się wraz z upływem czasu. Ogłoszenie strajku w Pafawagu i dotarcie tej informacji na miasto spowodowało, że kolejne zakłady przyłączały się do protestu. Nie było to łatwe ze względu na liczne zatrzymania przewodniczących komisji zakładowych i innych członków opozycji oraz demonstracyjne pokazy siły wojska i milicji, w postaci przejazdów przez miasto czy w bezpośredniej bliskości zakładów, z wykorzystaniem

rozgłośni elektroakustycznych, zablokowanie zakładów poprzez kordony złożone z czołgów i wywieranie niezwykle silnej presji psychicznej na strajkujących, np. poprzez groźby zwolnienia z pracy. Członkowie RKS spotykali się z przedstawicielami władz wojskowych, na czele z płk. Zarowskim, na terenie Pafawagu, żądając uwolnienia zatrzymanych, zniesienia stanu wojennego i nie represjonowania strajkujących, ale władza nie zamierzała się cofnąć. Wobec

takiej postawy strajkujących komisarz wojskowy, pełnomocnik Komitetu Obrony Kraju we Wrocławiu gen. Kazimierz Stec wraz z dowódcami jednostek wojskowych podjęli decyzję o pacyfikacji Pafawagu. Doszło do niej w nocy z 14 na 15 grudnia 1981 r. Taktyka, którą przyjęli strajkujący za namowami Frasyniuka, z którą nawet nie wszyscy członkowie RKS zgadzali się, polegała na spokojnym wychodzeniu z zakładu w momencie ataku i powrotu do niego po opuszczeniu go przez siły porządkowe i podejmowaniu na nowo protestu. Jak pisał Wojciech Sawicki plan ten „oparty był na irracjonalnej wierze w to, że pracownicy poszczególnych zakładów po przejściu tak wstrząsającego przeżycia jak pacyfikacja, będą w stanie — jak gdyby nigdy nic — zaraz po wyjściu woj-

ska podjąć na nowo walkę. Tak oczywiście być nie mogło. [...] Ludzie i tak byli przerażeni, często wręcz sterroryzowani nachalną propagandą i demonstracją siły, tak, że nawet wielu zdeklarowanych zwolenników Związku uchylało się od wzięcia udziału w strajkach. Nierealne było ciągle rozbudzanie na nowo protestu w sytuacji, gdy w wielu zakładach, mimo skrajnie napiętej sytuacji, połączonej z pogardą wobec autorów stanu wojennego, nie były one w stanie wybuchnąć ani razu”.

Władze nie cofały się nawet przed rozwiązywaniem zakładów i przyjmowaniem ludzi na nowo (FAT, Pre-dom-Polar, Fadroma), przy okazji wyrzucając tych, których uznawały za prowodyrów protestu, etc. Atmosfera strachu i przynębnienia narasta-

ła z godziny na godzinę i powodowała, zwłaszcza w mniejszych zakładach, decyzje o zakończeniu protestu (nota bene nie chroniło to przywódców strajku od internowania czy aresztowania lub wyrzucenia z pracy). Duże wrażenie na uczestnikach innych protestów wywarły informacje o pacyfikacjach uczelni, szczególnie Politechniki Wrocławskiej, gdzie studentów i pracowników naukowych (z wyjątkiem rektora prof. Wojciecha Zipsera) przegoniono po tzw. ścieżce zdrowia. Jej ofiarą był Tadeusz Kostecki, członek NSZZ „Solidarność” w Okręgowej Dyrekcji Gospodarki Wodnej we Wrocławiu, który doznał zawału serca, a pomocy zabroniono udzielić będącemu na miejscu lekarzowi milicyjnemu – w efekcie zmarł.

Przemieszczając się między zakładami Frasyniuk, Bednarz, Pionior i kilku innych członków RKS próbowało wzniecać bądź podtrzymywać strajkowy zapal w Hutmenie, Fadromie, FAT czy Elwro. Ich działania skazane były jednak na porażkę wobec przeważających sił porządkowych. W związku z tym 16 grudnia Frasyniuk, Bednarz i Pionior postanowili opuścić Dolmel, w którym przebywali. Bednarz: „ludzie myśleli, jak nas ewakuować z zakładu (było kilka propozycji). Ostatecznie wyjechaliśmy nysą na najdalsze rubieże zakładu i wyszliśmy na tzw. „Czarną Drogę” do ulicy Grabiszyńskiej. Następnie wsiedliśmy do autobusu i w ten sposób zaczęła się nasza działalność ściśle konspiracyjna”. Zaczęło się podziemie.

Warto pamiętać, że mimo takich warunków, już w nocy z 13 na 14 grudnia ukazał się pierwszy, wojenny numer pisma „Z dnia na dzień”, we wrocławskich zakładach uruchamiano strajkową poligrafie wydając komunikaty i biuletyny, które stanowiły źródło informacji (często błędnych i niesprawdzonych, ale jednak ważnych), a Kornel Morawiecki ze swoimi ludźmi rozpoczął budowanie podziemnych struktur poligraficznych, które w najbliższych miesiącach uczyniły z Wrocławia drugie, po Warszawie, centrum wydawnictw podziemnych w Polsce. Ale to już inna historia...

Z DNIA NA DZIEŃ
Biuletyn Informacyjny Regionalny Komitet Strajkowy 24/31/I/82 nr 6 NSZZ SOLIDARNOSC Dolny Śląsk

NIEzależnie od poglądów i zapatrywań na przyszłość polski, najważniejszym celem jest zachować naszą LUDZKA SOLIDARNOSC. Biuletyn Solidarności Dolnośląskiej służy porozumieniu i współpracy wszystkim ruchom społecznym i partiom politycznym, które działają na rzecz realizacji praw człowieka w niepodległej Polsce.

Wstępna ocena sytuacji na dzień 20 grudnia 1981 wraz z elementami prognozy krótkookresowej.

Narodził się nowy kryzys polityczny będący produktem sytuacji posierpniowej. Tzw. centrum partyjne, z którym utożsamiano Kanię i Jaruzelskiego zrezygnowało z poparcia skrzydła liberalnego, któremu zawdzięczało w sporze mierze sukces na Zjeździe, samo zaś zostało zdominowane przez skrajnie konserwatywne i stopniowo zaczęło reprezentować coraz bardziej jego punkt widzenia. Nie bez znaczenia był fakt, że nowa wybrani w trybie tajnym i demokratycznym członkowie KC i innych władz partyjnych oczekiwali ogólnospołecznej akceptacji dla autentyczności swego wyboru i uchwalonego programu; tymczasem w parę tygodni po Zjeździe rozpoczęły się, jak się przewidywała prognoza, protesty społeczne związane ze złym zaopatrzeniem kanalizowanych wystąpienia. Był to pierwszy moment, kiedy aktywność Solidarności znalazł się w tyle za rozdrażnieniem społeczeństwa. Program zrealizowany na Zjeździe był i będzie śpiewem liberalnego skrzydła aparatu partyjnego; uchwalonego programu społeczeństwo oczekujące konkretnych pociągnięć w ogóle nie dostrzegło, a konkretnych pociągnięć nie mogło dostrzec także polityka władz, która rodziła się i rodziła w konsekwencji pewnych nieuchronnych procesów, których odwrócenie wymagałoby maksymalnej mobilizacji sił politycznych.

Protest w Bibliotece Narodowej

13 grudnia do BN, pomimo dnia wolnego od pracy (niedziela), przyszło pięcioro jej pracowników, którzy nie mieli wtedy dyżuru.

Byli to członkowie Solidarności: Stefania Skwirowska, Dorota Sikorska, Urszula Masłowska, Roman Meyer oraz nowy (od trzech miesięcy) pracownik Krzysztof Gonet.

Zamierzali oni ogłosić strajk. Przedtem jednak podjęli praktyczne działania mające na celu uratowanie związkowej dokumentacji oraz biblioteki. Jak wspominała Stefania Skwirowska: „postanowiliśmy, że zaczynamy przede wszystkim od zabezpieczenia dokumentów komisji zakładowej”. W tym celu wspomniany pozostali w bibliotece na noc. Do rana, gdy zaczęli docierać pracownicy dziennej zmiany, prace zabezpieczające były już w większości wykonane. Rankiem 14 grudnia członkowie związku zebrałi się

w holu biblioteki, toczyły się ożywione dyskusje na temat bieżącej sytuacji. Formalnie decyzję o strajku podjęto, gdy do zakładu przybył przewodniczący Komisji Zakładowej Oskar Czarnik. Udział w biernym z założenia proteście był dobrowolny. Z racji charakteru instytucji uczestniczyli w nim w większości kobiety. Andrzej Urbański stanął na straży przy głównych drzwiach wejściowych (wywieszono tam napis „strajk”), a Krzysztof Gonet przy bocznych. Około godz. 9-10 pod bibliotekę przybyło ZOMO. Gonet tak wspominał ten czas: „W momencie kiedy zza rogu wychynął oddział ZOMO, idący czworakami, podchodzący pod bibliotekę właśnie tą moją pochylnią, przy której ja stałem po drugiej stronie tej zamkniętej, szklanej bramy [...]. W momencie gdy to ZOMO zobaczyłem, wszedłem z powrotem do biblioteki tam koło tych strażników. Poszukałem pana Czar-

nika gdzieś na tych schodach. Mówię mu, że nadchodzi ZOMO, i pytam, co robimy w tej sytuacji. Wtedy pan Czarnik powiedział: – No to zbieramy się tutaj na środku [...] nie kazał mi wracać na ten posterunek”. Funkcjonariusze dobijali się do drzwi, domagając się wpuśczenia. Wedle relacji Stefania Skwirowskiej w tej sytuacji „Andrzej Urbański stanął tyłem do drzwi, wziął ostentacyjnie gazetę i czytał”. ZOMO udało się jednak wejść bocznymi drzwiami.

Grupę uczestników strajku przewieziono na komendę milicji. Dokumenty SB wskazują, że niektórzy zabrani podpisali tzw. deklarację lojalności, która jednak w żadnym znanym wypadku nie była deklaracją współpracy.

(wyjątek z pracy T. Ruzikowskiego pt. Stan wojenny w Warszawie i województwie stołecznym 1981-1983, Warszawa: IPN, 2013)

A w Fadromie...

Zamieszczone niżej relacje i fragmenty dokumentów – publikowane pierwszy raz – dotyczą wydarzeń, jakie miały miejsce w pierwszych dniach stanu wojennego, przede wszystkim na terenie Fabryki Maszyn Budowlanych Bumar-Fadroma we Wrocławiu. Było to wówczas jedno z najważniejszych wrocławskich przedsiębiorstw, produkujące m.in. bardzo dobre ładowarki, znane na całym świecie. Głośnym echem odbiło się referendum jakie zorganizowali 20 października 1981 r. działacze „Solidarności”, w którym 76 procent załogi Fadromy opowiedziało się za dymisją ówczesnego rządu kierowanego przez gen. W. Jaruzelskiego, rozwiązaniem Sejmu i opracowaniem nowej demokratycznej ordynacji wyborczej oraz zniesieniem zapisu w konstytucji mówiącego o przewodniej roli PZPR. W odpowiedzi na to wydarzenie SB zatrzymała szefa fadromowskiej „Solidarności” i przeszukała jego mieszkanie. Równie „bojowy” był samorząd pracowniczy tego przedsiębiorstwa, który zorganizował – co zakrawało na herezję w PRL – konkurs na dyrektora i, co więcej, doprowadził do tego, że jego zwycięzca uzyskał nominację na to stanowisko. Do tej pory osoba pełniąca tę funkcję musiała uzyskać rekomendację Komitetu Centralnego PZPR.

Zenon Wysłouch, główny konstruktor Fadromy o wydarzeniach w tym przedsiębiorstwie 14-16 grudnia 1981 r.:

W poniedziałek czternastego przyszliśmy do pracy. Okazało się, że przewodniczący Komisji Zakładowej „Solidarności” Jarek Trociński i kilku innych członków Związku zostało internowanych trzynastego. Nie wiadomo, co robić, kto ma podejmować jakiegokolwiek decyzje. Dochodzą informacje o brutalnej pacyfikacji Pafawagu. Esbecy, którzy pokazali się u nas chęć kogoś z nas zawieźć by pokazać zabitą fabrykę. Nastrój bezradności, zastraszenia, napięcie – oczywiście nikt nie pracuje, ale też nie ogłoszono strajku.

Taki nieznośny stan oczekiwania trwał do końca dnia i do południa we wtorek, kiedy nagle, niespodziewanie zjawił się w fabryce [Władysław Frasyniuk, przewodniczący Zarządu Regionu Dolny Śląsk NSZZ „S” – Sz.R.] z [Józefem Piniorem, rzecznikiem finansowym ZR D. Śląsk NSZZ „S”

– Sz.R.]. Kornel Konieczny zorganizował wiec na hali W-2. Tłum ludzi – przemówienie stojącego na wytarzarce Władka – spontaniczna decyzja o strajku. Wyraźnie było widać jak

część ludzi zaczęła wychodzić, wręcz uciekać z fabryki, ale za to na wysokich kominach malarni zawisły białoczerwone flagi. Zostało chyba jakieś 10 procent załogi. Szefem strajku został mało znany Adam Maślanka, który objął kierownictwo i zdecydowaną postawą zapewnił w ciągu nocy świetną organizację. Podzieliliśmy się na grupy – każda nadzorowała odpowiedni teren fabryki, a co godzinę spotykaliśmy się na wydziale W2 celem wymiany informacji. Przed zakładem, na Grabiszyn-

ławia przyjechał ekspres z Warszawy „Odra”. Pracownicy „Warsu” tego pociągu zostało kilka kilogramów kielbasy, której nie sprzedała. Ona ją zabrała i wyszła przed dworzec a tam zatrzymała ją milicja, bo była godzina policyjna. Ona powiedziała im, że wraca z pracy i nie ma jak wrócić do domu. (...) Milicjanci zgodzili się ją odwieźć do domu i kiedy przejeżdżali ul. Grabiszynską, ta kobieta poprosiła, żeby na chwilę stanąć przed Fadromą. Wyszła z tego milicyjnego wozu i całą kielbasę jaką miała dała przez ogrodzenie strajkującym. Wtedy rozeszła się wieść, że milicja przywiozła na strajk kielbasę.

Całą noc spodziewaliśmy się pacyfikacji i zastanawialiśmy się, kiedy nas zleją, ale nie czyniliśmy żadnych przygotowań do stawiania czynnego oporu. Noc jednak minęła spokojnie, rano przyszła cała załoga, a strajk trwał nadal. Fabryka udekorowana flagami, ludzie przy maszynach, lecz nikt nie pracuje.

Relacja anonimowego żołnierza 42 Pułku Piechoty Zmechanizowanej z Żar 11 Dywizji Pancernej z Żagania skierowanego do pacyfikacji wrocławskich zakładów pracy:

Jako członek „Solidarności” Pafawagu wiosną 1981 r. rozpocząłem odbywać zasadniczą służbę wojskową. (...) Pewność, na 90%, że zostanie wprowadzony stan wyjątkowy – o stanie wojennym się wtedy nie mówiło – mieliśmy 10 grudnia,

wyjazdu, pakowaliśmy wszystko, łącznie z materacami, tak, że na naszych salach pozostały tylko metalowe łóżka i szafki. Od 11 grudnia mieliśmy podwyższone pogotowie, spaliśmy niewiele i w mundurach moro, mogliśmy ściągnąć tylko buty. (...) 13 grudnia rano, około godziny czwartej dowiedzieliśmy się, że jest wprowadzony stan wojenny. Jeden z żołnierzy posiadał przemycone z cywila radio – którego posiadanie w wojsku było zabronione – i z niego dowiedział się, co się dzieje. Koło siódmej mieliśmy apel, na którym dowódca batalionu powiedział, że jest wprowadzony stan wojenny i w związku z tym jednostka przemieszcza się na poligon w Łambinowicach. Nie był to nasz rejon alarmowy i zaczęliśmy podejrzewać, że zostaniemy skierowani na Górny Śląsk. (...) Wojsko było zdyscyplinowane i nikt niczego nie komentował, byliśmy jednak bardzo zaniepokojeni, nikt z nas łącznie z oficerami nie wiedział, co będzie w następnych dniach, czym się to zakończy.

Cały dzień jechaliśmy do Wrocławia przez Szprotawę, wieczorem dotarliśmy w pobliżu Leśnicy (Mokre-Stare) i stanęliśmy w szczerym lesie. Było kilkanaście stopni mrozu. Pierwsze dwie noce mogliśmy spać tylko w zimnych wozach pancernych i nie pozwalano nam rozpalać ognisk, wszyscy jednak chodzili wokół wozów bo z zimna nie można było usnąć. Na nogach mieliśmy gumofilcaki, od których strasznie ciągnęło. Na początku nie pozwalano nam też zakrywać uszu uszankami od czapek, nie dostaliśmy też żadnego ciepłego posiłku, suchy prowiant, który otrzymaliśmy rano zjedliśmy wieczorem po całym dniu jazdy bez jedzenia.

W poniedziałek 14 grudnia wjechaliśmy razem z czołgami do Wrocławia i gdy dotarliśmy do ul. Legnickiej kazano nam wracać na miejsce postoju. Myślę, że był to pokaz siły, silniki na wysokich obrotach, wojsko jest we Wrocławiu. (...)

15 grudnia z samego rana wyjechaliśmy ponownie do Wrocławia, nikt nas



skiej gromadziło się cały czas mnóstwo ludzi, chyba więcej niż strajkujących.

Zdarzyła się też wtedy zabawna historia. W nocy, po dziesiątej – czyli już w czasie godziny policyjnej – do Wroc-

kie przyjeżdżał ekspres z Warszawy „Odra”. Pracownicy „Warsu” tego pociągu zostało kilka kilogramów kielbasy, której nie sprzedała. Ona ją zabrała i wyszła przed dworzec a tam zatrzymała ją milicja, bo była godzina policyjna. Ona powiedziała im, że wraca z pracy i nie ma jak wrócić do domu. (...) Milicjanci zgodzili się ją odwieźć do domu i kiedy przejeżdżali ul. Grabiszynską, ta kobieta poprosiła, żeby na chwilę stanąć przed Fadromą. Wyszła z tego milicyjnego wozu i całą kielbasę jaką miała dała przez ogrodzenie strajkującym. Wtedy rozeszła się wieść, że milicja przywiozła na strajk kielbasę.

▶ jednak nie poinformował, jaki jest cel naszej wyprawy, zabroniono nam opuszczania wozów pancernych i otwierania włazów. W okolicach placu Strzegomskiego, który doskonale znałem zorientowałem się, że jedziemy na Archimedes [zakład we Wrocławiu Sz.R.]. Gdy do niego dojeżdżaliśmy jeden z oficerów zaczął wyrzucać petardy i świece dymne, które miały „zmiękczyć” strajkujących. (...) W ogrodzenie Archimedes wjechały trzy czołgi, a za każdym z nich posuwały się trzy bojowe wozy piechoty. Te trzy kolumny zatrzymały się na dziedzińcu Archimedes, a w międzyczasie zomowcy i tajniacy wyprowadzali z tego zakładu pojedynczych ludzi, zapewne działaczy „Solidarności”. Cała akcja trwała około dwóch godzin. (...) Nie mieliśmy żadnego kontaktu z zomowcami lub pracownikami Archimedes. Później wyszło do nas kilka kobiet w białych kitlach, nie wiem czy były to jakieś laborantki czy pielęgniarki, które – tylko nam żołnierzom – przyniosły gorącej herbaty. Było bardzo zimno. (...) Nie czułem się wtedy najlepiej, byłem przygnębiony, pocieszało mnie tylko to, że nie pojechaliśmy pacyfikować „mojego” Pafawagu oraz to, że większość z nas nie otrzymała ostrej amunicji, co dziwniejsze nie dostawialiśmy jej również stojąc na warcie, co się nie zdarza nawet w czasie pokoju. Ja do mojego „raka” nie miałem nawet ślepych naboń, których brakowało. Znacząco to, że nikt nam nie będzie kazał strzelać. Tylko oficerowie i dowódcy drużyn mieli ostrą amunicję, była też podobno w czołgach; do dział i karabinów, ale one generalnie jak gdziekolwiek wyjeżdżały musiały ją zabierać ze sobą, nie wiem dlaczego. Takie były ponoć przepisy. (...)

Wiem, że koledzy z mego pułku brali też udział w rozbijaniu strajku w Pafawagu, Dolmelu i Fadromie. (...) Dowódca mojego batalionu za rozbicie strajku w Fadromie został odznaczony.

Komitet Dzielnicowy PZPR o sytuacji w Fadromie 16 grudnia 1981 r.:

Strajk okupacyjny. Ludzie stoją na płotach pilnują zakładu. Godz. 900 Zablokowana jest brama wjazdowa oflagowana ładówką. Na (...) biurowcu oflagowanie. Straż strajkowa stoi na obu bramach. Wpuszczono pracowników do zakładu. Centrala telefoniczna opanowana. Dużo osób na zakład nie weszło. Kobiety ciężarne wypuszczono z zakładu. (...) Wpuszczono samochody z żywnością. Hasła: Precz z partią; – Precz z Jaruzelskim, śpiewana jest Rota i Hymn; wznoszone są okrzyki z zakładu i echo z ulicy. Godz. 1215 (...) Przed bramą incydent: Jechał samochód AR [Armii Radzieckiej] i został zaatakowany przez tłum. Oficer już miał użyć broni. Mogą być pierwsze ofiary. (...) Jest b. dużo młodzieży przed zakładem, wskazują

na mury i dyskutują. [SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI KOMITETU DZIELNICOWEGO PZPR WROCŁAW – FABRYCZNA GRUDZIEŃ 1983 r. Archiwum Państwowe we Wrocławiu zespół K.D. PZPR sygn. 116/I/8, s. 14. – Sz.R.]

Jerzy Malinowski pracownik Fadromy o wydarzeniach w tym przedsiębiorstwie 16/17 grudnia 1981 r.:

Wieczorem zastępca szefa komitetu strajkowego Antoni Gancarz powiedział nam: „spieprzać wszyscy, niech nikogo nie będzie w zakładzie”. Wszyscy więc wyszli, ale mnie dyrekcja wyznaczyła na dyżurnego, jako głównego technologa, który miał z ramienia dyrekcji pilnować zakładu w nocy z środy na czwartek. (...) Koło pierwszej w nocy poszedłem spać w sekretariacie, między czwartą a wpół do piątej obudziło mnie światło latarki skierowane w moje oczy. (...) Wstałem i widzę cały gabinet dyrektora wypełniony zomowcami. Na pytanie co tu robisz odpowiedziałem, że pilnuję zakładu jako przedstawiciel dyrekcji, wtedy dali mi spokój i kazali iść do domu. (...) Polecałem od razu do portiera a ten opowiedział mi jak doszło do tego, że ZOMO weszło na teren zakładu. Ktoś zadzwonił do drzwi na bramie, portier wychylił się i zapytał: „kto tam?”, nikt nie odpowiedział, tylko znów zadzwonił. Wtedy portier wyszedł ze stróżówki i lekko uchylił drzwi, zanim się zorientował dostał pięścią w twarz i w tym momencie wskoczyło kilku zomowców i wpuściło pozostałych, ci zaś spenetrowali cały zakład w poszukiwaniu strajkujących. (...) Myślę, że Gancarz każąc nam wynosić się z zakładu miał cynk o tym, co się będzie działo w nocy. Zenek Wyslouch już w czasie internowania zapytał Antka, co go skłoniło do podjęcia takiej decyzji? Odpowiedział, że coś go tknęło. Nie bardzo w to jednak wierzymy. Było widać, że ci zomowcy byli przygotowani i mieli chęć na rozróbę. Nie mieli kogo bić to zaczęli demolować zakład, pomieszczenie komisji zakładowej „Solidarności” było kompletnie zniszczone. Wszystkie drzwi wyważali, w ogóle kluczy nie używali. Bardzo wiele biurek wyglądało tak, jakby je ktoś siekierą porąbał. Było widać, że mieli jakiegoś przewodnika, bo zniszczone były przede wszystkim biurka aktywniejszych członków „Solidarności”.

Zenon Wyslouch o wydarzeniach w Fadromie 17 grudnia 1981 r.:

W czwartek rano przyszli ludzie do pracy i strajk zaczął się od nowa. Przyjechał wtedy do nas generał [Kazimierz – wojewódzki pełnomocnik Komitetu Obrony Kraju – Sz.R.] Stec, któremu pokazaliśmy co w nocy zrobili zomowcy. Miał wtedy kiepską minę i nic nie mówił. Gdy skończyliśmy obchód Stec

zaczął domagać się od naszego dyrektora by zakończył strajk, on zaś jakoś się od tego wykręcił, pięknie się zachował, bo podejrzywam, że gdyby kazał kończyć strajk, to załoga by go posłuchała. Stec wtedy postanowił spotkać się z załogą, która specjalnie w tym celu zebrała się na wydziale mechanicznym. Zaczął mówić, że jest stan wojenny itd., wtedy jeden z młodych robotników podniósł rękę i zadał mu pytanie: „dlaczego Jaruzelski, jako żołnierz i człowiek honoru, który powiedział, że nigdy nie wystąpi przeciwko narodowi, złamał to słowo?” Stec go wówczas zaatakował: „w wojsku byliście, żaden Jaruzelski, tylko generał Jaruzelski!”, robotnik mu na to: „pieprzę wojsko”. Zdenerwowany Stec zapytał wtedy, czego chcemy w zamian za podjęcie pracy. Inny robotnik powiedział mu, że odwołania stanu wojennego i zwolnienia wszystkich internowanych oraz zapytał czy on może dać gwarancje, że te warunki zostaną spełnione. Gdy Stec odpowiedział, że nie, jakiś robotników zaintonował na cały głos: „Jeszcze Polska nie zginęła...” cała sala zaczęła dosłownie ryczeć za nim cały hymn. Stec skonstronowany stanął na baczność, zaszalutował i stał tak zanim nie skończyliśmy, i następnie wyszedł z zakładu.

Anonimowa relacja o wydarzeniach w Fadromie 17 grudnia 1981

W Fadromie od dyrektora (...) zażądano wczoraj, grożąc konsekwencjami, podjęcia pracy przez załogę do godz. 9-ej w czwartek, zwolano o 8-ej wiec. Dyrektor, jeden z kierowników, dowódca grupy operacyjnej i jeden robotnik wypowiedzieli się za podjęciem pracy. Bez skutku. O 10.45 wiec z gen. Stecem, który również nakłaniał do podjęcia pracy. Zakład pracy nie podjął i po pierwszej zmianie cała załoga rozeszła się do domów. [Anonimowy maszynopis STAN WOJENNY WE WROCŁAWIU, s. 1-7. Zbiory „Karty” – Sz.R.]

Jerzy Malinowski o swoich przeżyciach 17/18 grudnia 1981 r.:

W nocy z czwartku na piątek nocowaliśmy w zakładzie, było nas chyba już tylko ok. 50 osób. Spacyfikowano nas rano. Fadromę otoczono około 9 rano, zaczęły się pertraktacje z wojskowymi, którzy zażądali odblokowania bramy wjazdowej zatarasowanej ładówkami. Oficerowie zagrozili, że czołgami rozjadą te pojazdy. Uznaliśmy, że nie ma sensu dalsze stawianie oporu, który mógł doprowadzić do dużych strat oraz ofiar w ludziach i dlatego odblokowaliśmy bramę. Wtedy na teren zakładu weszło wojsko i zomowcy. Kazano nam wychodzić z zakładu. Zaśpiewaliśmy wtedy chyba hymn lub rotę i jako najbardziej zaangażowani w strajk poszliśmy na bramę jako ostatni. Tam czekali na nas esbecy i żołnierze z listami osób, które miały być zatrzymane. Każdemu

z nas kazali okazywać dowód osobisty i jak ktoś był na ich liście tego pakowano do „łodówki”, czyli więźniarki, zatrzymano ok. 30 osób. Zawieźli nas do komendy wojewódzkiej milicji na pl. Muzealny i tam na podwórzu prowadzono nas przez szpaler zomowców i zastanawialiśmy się czy będą nas bili. Wprowadzono nas na pierwsze piętro i tam po jakiejś godzinie zaczęto nas wywoływać z nazwiska na przesłuchanie. Pierwszy raz w życiu miałem być przesłuchiwany i nie wiedziałem jak mam się zachowywać. Przesłuchiwał mnie jakiś starszy oficer, pamiętający chyba jeszcze Stalina. Zaczął na mnie krzyczeć i obrzucać inwektywami: „ty h..., sk..., zapomnij, że twoi synowie skończą politechnikę, zgniją razem z tobą w więzieniu.” Nie oszczędził też mojej żony. Wyciągnął kajdanki i zaczął nimi rzucać. Cały czas milczałem. W końcu zapytał dlaczego strajkowałem, odpowiedziałem mu, że to był mój podstawowy obowiązek, cały dział którym kierowałem strajkowałem i ja miałem iść do domu? Znow zaczął na mnie kłać i powiedział mi, że moja jedyną szansą na to bym nie poniósł konsekwencji jest podjęcie współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Byłem bardzo zły na tego esbeka, że tak na mnie kłał i powiedziałem z wściekłością, że mnie to nie interesuje.

Komitet Dzielnicowy PZPR Wrocław – Fabryczna o sytuacji w grudniu 1981 r.:

Wprowadzenie na teren zakładów sił porządkowych u wielu towarzyszy niezahartowanych w walce politycznej wywołało prawdziwy szok. Trzeba było wielu dni, aby kierownictwo tych organizacji i większość członków mogły wrócić do równowagi i rozpocząć aktywną i zorganizowaną działalność.

W niektórych organizacjach (...) odeszło w tamtych dniach wielu funkcyjnych działaczy, w tym członków egzekutywy, a nawet I sekretarze OOP, dezorganizując poważnie pracę partyjną. Zdekompletowane zostały składy oddziałowych organizacji partyjnych.

Cała energia sekretarzy w organizacjach skoncentrowana była w tym czasie na rozmowach wyjaśniających konieczność wprowadzenia stanu wojennego oraz na odbudowie aktywny. A przecież wcale nie ustała w zakładach walka polityczna i organizacje partyjne działające wspólnie z komisarzami wojskowymi musiały odparować ataki podziemia, organizować poparcie załóg dla WRON oraz wspólnie z dyrekcjami podejmować działania zapewniające ciągłość produkcji. [SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI KOMITETU DZIELNICOWEGO PZPR WROCŁAW – FABRYCZNA GRUDZIEŃ 1983 r. Archiwum Państwowe we Wrocławiu zespół K.D. PZPR sygn. 116/I/8, s. 14 – Sz.R.]

Dokument wstydlivy, czyli lojalka

GRZEGORZ MAJCHRZAK
Mimo upływu 35 lat od wprowadzenia stanu wojennego lojalka, czyli deklaracja lojalności, nadal budzi wśród byłych działaczy opozycji duże emocje. Dla jednych to jedynie nic nieznaczący świątek papieru, podczas gdy dla innych wręcz świadectwo hańby, a przynajmniej powód do wstydu.

Pierwsze egzemplarze deklaracji lojalności przygotowano już w styczniu 1981 r. Kolejne jesienią tego roku. Różniły się one nieznacznie od siebie, ale ich sens był podobny. Najkrótsze i najczęściej spotykane „oświadczenie” (tak bowiem zatytułowano ten dokument) składało się z jednego zdania: „Ja, niżej podpisany oświadczam i zobowiązuję się do zaniechania wszelkiej działalności szkodliwej dla Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w szczególności do przestrzegania obowiązującego prawa”. Nie jest do końca jasne, kto był pomysłodawcą tego dokumentu – wśród byłych esbeków krąży opinia, że był on wymysłem wojska, ale – co trzeba zauważyć – powstał około pół roku zanim szefem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych został Czesław Kiszczak, a na miesiąc przed tym jak funkcję premiera objął Wojciech Jaruzelski.

W związku z wprowadzeniem stanu wojennego Służba Bezpieczeństwa przeprowadziła m.in. operację o kryptonimie „Jodła”, czyli akcję internowania działaczy opozycji (głównie NSZZ „Solidarność”). Towarzyszyła jej inna akcja – „Klon”, która polegała na przeprowadzeniu przez funkcjonariuszy rozmów ostrzegawczych z osobami, w przypadku których zakładano, że mogą podjąć wrogą działalność. Nie jest jasne kryterium, na podstawie którego opozycjonistów typowano do internowania lub też „jedynie” do rozmowy ostrzegawczej. Ta ostatnia zresztą również mogła skończyć się internowaniem – szczególnie w przypadku odmowy podpisania lojalki. Tak działo się zwłaszcza w pierwszych dniach stanu wojennego. Jednak odmowa taka nie była w tym czasie zja-

wiskiem częstym – według danych MSW do 24 grudnia 1981 r. deklarację lojalności podpisało 5625 osób, zaś jedynie 409, czyli niespełna 7%, odmówiło jej sygnowania. Do końca 1982 r. rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze przeprowadzono z 32 023 osobami, spośród których lojalki podpisać miało 23 226 osób, czyli ponad 75%.

Inni podchodzili do niej zdecydowanie bardziej pragmatycznie, traktując ją jako przepustkę do działalności podziemnej.

U części z tych, którym przedkładano je do podpisania, deklaracje lojalności budziły duże emocje. Internowany w Białotołce działacz „Solidarności” z Instytutu Badań Jądrowych w Świerku Stanisław Ugniewski, podczas pierwszej rozmowy z funkcjonariuszami SB zapytał, czemu miałby ją podpisywać, skoro nigdy nie prowadził działalności sprzecznej z prawem. A kiedy był dalej naciskany przez swych rozmówców zapytał jednego z nich: „A co by pan powiedział, gdyby ktoś zażądał od pana żony podpisania oświadczenia, że nie będzie się więcej puszczać?”. W rezultacie skonfundowani esbecy zrezygnowali z nacisków, a ich rozmówca, który lojalki nie podpisał wolność odzyskał dopiero po ponad roku. Inni podchodzili do niej zdecydowanie bardziej pragmatycznie, traktując ją jako przepustkę do działalności podziemnej.

Warto w tym miejscu przytoczyć casus Andrzeja Urbańskiego. 14 grudnia 1981 r. nie podpisał on co prawda standardowej lojalki, ale własnoręcznie napisał, a następnie podpisał oświadczenie o treści: „Oświadczam, że w dniu dzisiejszym podejmuję dalszą pracę w Bibliotece Narodowej na swoim stanowisku, będąc się podporządkowywał

połeceniom służbowym przełożonych zmierzających do podniesienia wydajności pracy, oraz przepisom zawartym w zarządzeniach wydanych na podstawie dekretu Rady Państwa o stanie wojennym. Nie będę prowadził działalności wyrotowej”. Czy powyższy dokument można uznać za coś wstydliwego? Niektórzy stwierdzą zapewne, że tak. Jednak nazbyt pochopnie. Urbańskiego nie sposób bowiem oskarżać o tchórzostwo. Deklarację podpisywał po zakończeniu strajku w bibliotece, w czasie którego był nie tylko przewodniczącym komitetu strajkowego, ale też wyróżnił się odwagą i opanowaniem – kiedy funkcjonariusze ZOMO dobijali się do szklanych drzwi wejściowych stanął tyłem do nich, wziął gazetę i ostentacyjnie zaczął ją czytać... Lojalka była dla niego przepustką do knucia przeciwko komunie – od 1982 r. był przewodniczącym Tajnej Komisji Zakładowej „Solidarności” w Bibliotece Narodowej, a jeszcze w grudniu 1981 jednym z pomysłodawców i w latach 1982–1983 współzałożycielem oraz redaktorem naczelnym podziemnego pisma „Wola”. Co zresztą zakończyło się jego aresztowaniem.

To nie jedyny taki przypadek. Podobnie było np. z wiceprzewodniczącą Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” ds. społecznych w Komitecie ds. Radia i Telewizji Marią Jesionkiewicz. 19 grudnia

„Masowy charakter przybrało wymuszanie podpisów lojalności pod groźbą utraty środków do życia”

1981 r. w trakcie przesłuchania podpisała ona (zgodnie zresztą – jak twierdzi – z ustaleniami swojego środowiska) lojalkę. Nie uchroniło jej to jednak przed zwolnieniem z pracy kilka miesięcy później w wyniku tzw. weryfikacji, czyli brutalnych czystek kadrowych. Pozwoliło jednak zaangażować się w działalność podziemną – m.in. w 1982 r. była współpracowniczką (montażystką kaset do emisji) podziemnego Radia

„Solidarność”, a do 1989 r. prowadziła punkt kolportażowy wydawnictw podziemnych. Inna sprawa, że podpisywanie deklaracji lojalności bywało niekiedy realizacją poleceń przełożonych z konspiracji. Jak np. twierdzi Jadwiga Chmielewska, przewodnicząca oddziału katowickiego Solidarności Walczącej, sama wydawała takie rozkazy. Jak przy tym dodaje, niekiedy niepodpisanie lojalki „groziłoby zawałaniem się struktur”...

Zdarzało się – o czym trzeba przypominać – że podpisanie deklaracji lojalności brutalnie wymuszano. Tak było m.in. w przypadku pracowników Huty „Katowice”, których po wprowadzeniu stanu wojennego najpierw zwolniono z pracy, a następnie przy ponownym przyjmowaniu do niej przedkładano do podpisania lojalki. Nie był to przypadek odosobniony. Jak stwierdzano w jednej z ulotek podziemia ze stycznia 1982 r.: „Masowy charakter przybrało wymuszanie podpisów lojalności pod groźbą utraty środków do życia”. Niekiedy zresztą esbecy stawiali ludzi przed jeszcze trudniejszymi wyborami. Jak pisał Adam Michnik: „Mojemu koledze, robotnikowi z warszawskiej fabryki, obiecywano 15 lat więzienia, drugiemu grożono sprawą za szpiegostwo, trzeciego przesłuchiowano po rosyjsku, czwartemu kazano wyjść z celi i zakomunikowano mu, że jedzie w głąb Rosji”. Z kolei, internowanej działaczce oświatowej „Solidarności” Halinie Gaińskiej wydanie przepustki na pogrzeb syna uzależniano (zresztą bezskutecznie) od złożenia podpisu pod deklaracją lojalności. Takie przykłady można mnożyć.

Niekiedy wobec oporu „delikwentów” funkcjonariusze SB odstępowali od pobierania klasycznych lojalek. Tak było np. w przypadku Piotra Stasińskiego, od którego 30 stycznia 1982 r. przyjęto oświadczenie, że został „pouczony o przepisach stanu wojennego, których naruszenie może spowodować osobiste moje zagrożenie, a także zastosowanie obostrzonej odpowiedzialności karnej”. W druku przez niego sygnowanym znalazł się również wykaz zachowań niepożądanych z punktu widzenia władz: samowolne oddalenie się z pracy, naruszanie ładu, dyscypliny i porządku

►► prawnego czy „popętnienie przestępstwa podlegającego trybowi doraźnemu”. W przeciwieństwie jednak do np. Urbańskiego nie deklarował on przestrzegania jakichkolwiek przepisów czy zaniechania działalności opozycyjnej.

Do podpisania podobnego dokumentu namawiano również zwalnianego z internowania Lecha Wałęsę. Podsięgnięto mu przez dyrektora Biura Śledczego MSW Hipolita Starszaka oraz naczelnika jednego z oddziałów Naczelnej Prokuratury Wojskowej Bolesława Klisia oświadczenie było nader szczegółowe. Zawierało stwierdzenie o zapoznaniu go z przepisami obowiązującymi w PRL (w tym m.in. zakazem organizowania strajków i akcji protestacyjnych, czy chętnie wykorzystywanym po 13 grudnia 1981 r. do skazywania działaczy opozycji „zakazem rozpowszechnia-

odpowiedzialności karnej. Przewodniczący „Solidarności” odmówił sygnowania tego dokumentu, stwierdzając, że „od czterech lat niczego nie podpisuje”. Jednocześnie jednak zadeklarował, że „<<będzie się starał>> nie wchodzić w kolizję z przepisami prawa, zaś zakazów, o których mowa w oświadczeniu, świadomie nie naruszy”...

Zła sława lojalności wzięła się stąd, że deklaracja lojalności była przez lata mylona ze zobowiązaniem do współpracy. Tymczasem to dwa zupełnie różne dokumenty. Chociaż – o czym trzeba pamiętać – lojalka była niekiedy również wstępem do werbunku danej osoby do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Stanowiła ona dla funkcjonariuszy sygnał, że osoba ją sygnująca np. dla odzyskania wolności jest gotowa do pewnych ustępstw. Ponadto ukrywanie przed otoczeniem faktu jej podpisania, mogło dawać esbekom okazję do szantażu.

Dzisiaj jednak traktowanie podpisania deklaracji lojalności jako czegoś wstydliwego jest niewątpliwie zwycięstwem Wojciecha Jaruzelskiego, Czesława Kiszczaka i jego podwładnych z resortu spraw wewnętrznych. Dla tych ostatnich zresztą nieoczekiwaniem. Jak wspomina na swoim blogu jeden z byłych esbeków: „Największą zagadką dla oficerów Służby Bezpieczeństwa było to, że >>środowiska opozycyjne<< uznały, że podpisanie tego debilnego kwitka to absolutny dyshonor i świadectwo złamania człowieka, dowód klęknienia przed niesłusznym ustrojem i powód do dyskredytacji w środowisku”. Nie sposób w tym miejscu nie zgodzić się z Adamem Michnikiem – zdecydowanym zresztą przeciwnikiem podpisywania lojalek, który w 1982 r. na łamach „Tygodnika Mazowsze” (w tekście przemycnym z Białołęki) pisał: „Całe potępienie musi spaść na tych, którzy te deklaracje wymuszają; tych, którzy posługują się [tą] okrutną formą poniżania ludzkiej godności”...

Kto nie da drapak, kto nie chce zakrakać, ten będzie internowany...

Interna

Bogusław Siewewicz

To był 12 grudnia, przed 12 godziną. Przyszła do mnie Służba Bezpieczeństwa (...) Próbowałem wyskoczyć przez okno, ale skierowane były na mnie automaty – kałasznikowy. Cofnąłem się, wleciało czterech funkcjonariuszy, wzięli mnie za nogi, za ręce. Jeden przystawił mi pistolet do głowy i powiedział: „no i co chuj...” Takie rozmowy były. Uważałem, że coś trzeba zrobić, żeby ostrzec brata – Witka, który był na obradach w Ursusie. Jak będzie zadyma, to zobaczy jak będzie wracał do domu i ucieknie. Dom był obstawiony – 16 funkcjonariuszy. Ostro było. Nie wiedziałem, że telefony nie działają i krzyknąłem do mamy, żeby zadzwoniła gdzieś. Skuli mnie. Na schodach jeszcze próbowałem walczyć. Wyrwałem się, jednego z główki uderzyłem. Dostałem kilka ciosów i wrzucili mnie do suki. I ruszyliśmy. W tej samej suce był Jarek Guzy, Agnieszka Romaszewska, jego narzeczona. Zawieźli nas na Opaczewską do komisariatu.

Witold Siewewicz

Było już po 12. Tego dnia wieczorem próbowałem zrobić obchód po naszych tajnych magazynach, mieszkaniach. Czulem po prostu, że stan wojenny wybucnie. Myślałem jednak, że to po świętach Bożego Narodzenia będzie, bo to taki dla wszystkich ważny okres od strony religijnej, duchowej i rodzinnej. Przyjechałem wtedy pod dom samochodem. Mieszkałem na Rakowcu: duży budynek, dwukondygnacyjny, obok jest pawilon i sklepy. Sklepy i m.in.: mięsny tam zawsze było bardzo dużo ludzi, którzy ustawiali się w kolejce już na następny dzień. Wyszedłem z tego samochodu i patrzę jest taka kolejka i myślę: rany boskie, przecież jutro jest wolny dzień. I ta kolejka się rozbiegła w moją stronę. Ja może błąd zrobiłem bo byłem prawie już przy klatce do mojego domu i w tym momencie zobaczyłem matkę w oknie. Za mną tłum cywili. Może błąd zrobiłem, powinienem może w drugą stronę pobiec, ale wpadłem do domu. Matka mi otworzyła i zaraz za mną zamknęła. Ja instynktownie do okien pobiegłem, żeby wyskoczyć z drugiej strony, bo mieszkanie miało taką możliwość. Patrzę obstawione okna. Byli mundurowi z karabinami wycelowanymi w kierunku okna. Miałem świadomość, że mnie zabiorą. W tym momencie rozległo się dobijanie do drzwi. Nie mogli tych drzwi otwo-

rzyć, pobiegli po łom. A ja rodzicom mówię: szybko ciepłe ciuchy. Założyłem ma siebie wszystko, łącznie z serdakami po ciotce, skarpety, podwójne kałasny. Jak weszli powiedziałem: panowie chwileczkę, jeszcze tylko sekundkę, kieliszek wódeczki i bierzecie mnie Zamurowało ich, wypilem ten kieliszek. Jak wyprowadzali mnie, od razu mnie skuli i zaprowadzili do budy, która była obok. Tam byli moi koledzy z Ursusa, którzy chcieli mnie ostrzec i zabrać. Wśród nich był mój późniejszy kolega – już teraz św. pamięci Parnowski Jan, który z ramienia Niezależnej Oficyny Wydawniczej współorganizował drukarnię w Ursusie. Później spotkałem się z Markiem Borowikiem i zawieźli nas do komisariatu na Opaczewskiej. Reakcja wobec mnie była ostra, ale jak się okazało może dlatego, że wcześniej zabrali już mojego brata. A brata, żeby mnie ostrzec zrobił wielką awanturę, z mieszkańcami. Jak policja się dobijała do naszego mieszkania sąsiadka wyszła z siekierą, żeby go ratować. Oczywiście dostała solidnie po zębach. Moją matkę też poturbowali. Mój brat, jak był wynoszony, rozpoczął bijatykę z nimi na klatce schodowej. Myślał, że zaraz się pojawię i usłyszę zamieszanie. Ale niestety. Jak stałem na korytarzu podszedł do mnie młody ubek przystawił mi pistolet do skroni i powiedział, że takich jak my za chwilę będą rozwałać. Ale ja nie spanikowałem i mówię: no to na co czekasz, to wal teraz, wal teraz!. On zaczął się czerwony robić, a ja do niego: co nie masz odwagi? cykor jesteś! Zaraz go ode mnie odsunęli, podbiegli do mnie, kazali usiąść. Kawa, herbatka – przepraszali mnie. Zmienił się stosunek do mnie. Wyszedłem na lokalnego małego bohatera, ale to oni dostali wypieków na twarzy. Oczywiście ten dojazd na miejsce nie był zbyt przyjemny, bo to mróz, zimno, dwadzieścia parę stopni było, nie wiadomo gdzie nas wiozą. Widzieliśmy same drzewa, więc myśleliśmy, że różnie to może być.

Andrzej Rosner

Około 11 w nocy 13 grudnia nie było mnie jeszcze w domu. Zadzwoniła żona: mamy inwazję myszy. Mieszkaaliśmy na Żoliborzu oficerskim, w takim domku z ogrodem. Kiedyś w mieszkaniu zrobionym ze strychu, teraz na parterze. Jak się robiło zimno, pojawiały się myszy. Wracam do domu i zobaczyłem taki obrazek: przerażona żona siedzi na

Przewodniczący „Solidarności” odmówił sygnowania tego dokumentu, stwierdzając, że „od czterech lat niczego nie podpisuje”

nia fałszywych wiadomości mogących wywołać niepokój publiczny lub rozruchy albo rozpowszechniania wiadomości mogących osłabić gotowość obronną Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”), z wprowadzonymi w stan wojenny przepisami dotyczącymi postępowania doraźnego przed sądami powszechnymi i wojskowymi. Kończyło się zaś stwierdzeniem, że został uprzedzony, że w przypadku „podjęcia działalności naruszającej obowiązujący porządek prawny” zostanie pociągnięty do



hotelu, a wokół niej lata stado myszy: 50, 60 może nawet więcej. Był jeszcze kolega Wojtek, który łapał te myszy i wyrzucał na śnieg. Wylapaliśmy je praktycznie gołymi rękami. Kiedy kolega poszedł, a żona położyła się spać, ja jeszcze siadłem przy biurku. W tej sytuacji znalazłem mnie panowie 15 minut po północy. Początkowo byli bardzo agresywni, ale kiedy zobaczyli mnóstwo książek, pytali, gdzie pracujemy, odpowiedziałem, że oboje na Uniwersytecie Warszawskim. Wtedy pan zgrzeszczał. Z kieszeni wyjął akt internowania. Przeczytał mi dwa razy: Warszawa Białoleka. Po czym powiedział: „Niech pan weźmie coś ciepłego: buty, sweter, bo nie wiadomo jak to długo potrwa...”

Jacek Knap

Po mnie przyszedł tuż po północy, dwóch milicjantów w mundurach i cywil, który dyskretnie odchylił połę marynarki pokazując, że ma broń. Pozwolono mi się ubrać, miałem ten luksus, bo do Białoleki przywożono niekompletnie ubranych: w piżmach, slupach.

Zbigniew Daciuk

Zostałem internowany w trzy dni po wprowadzeniu stanu wojennego. Byliśmy w domu wieczorem, przed 22. Pomagałem żonie wieszać firanki przed świętami. Zapukali do drzwi, czterech funkcjonariuszy bojowo ubranych, pod bronią. Przedstawili dokument, że jestem internowany. Żona zaczęła rozpaczkać, płakać. Ja powiedziałam, że to ludzie, którym dano rozkaz, nie mogą więc do nich mieć pretensji. Kazano mi się ubrać, pożegnać z rodziną. Nie powiedzieli, gdzie mnie zawiozą, gdzie będę internowany, tylko zabrali. To nie byli ludzie z Warszawy. Bano się być może, że ci z Warszawy mogą robić dla nas jakieś wyjątki, będą puszczać niektórych. To byli ludzie z jednostek ze Słupska, z Wrocławia. Oni nie znali Warszawy. Stanęli przed moim domem, który ma 12 klatek schodowych, na samym końcu. Ja zostałem skuty do przodu, w kajdanki. I tak musiałem przejść przed całym blokiem, przed wszystkimi znajomymi. Spotkałem sąsiadkę, która szła z majorem WSW (Wojskowej Służby Wewnętrznej – red.). Jak zobaczyli, to zaczęli interweniować: co, kto? Ja powiedziałem: zostawcie to, zostałem internowany i trzeba spokojnie pójść do tego. Nie mogę wszczynać awantur ani uciekać. Oni dostali rozkaz, ja jestem milicjantem i wiem co to znaczy. Zostałem przewieziony do komendy stołecznej. Tam zamknięto mnie i jeszcze dwie osoby w pokoju zatrzymanych. Mnie przesłuchiowano, później przyszedł ktoś, zamienił kilka słów z nimi i powiedział, że będziemy internowani. Nie powiedział gdzie. Rano więźniarką powieziono mnie do Białoleki. Było nas sześciu. To byli wszystko funkcjonariusze

milicji z którymi przedtem przeprowadzono rozmowy czy jesteśmy za związkami czy nie. Bo jeżeli nie, to przenoszą nas na równorzędne stanowisko do któregoś z komend, bo nasz batalion rozwiązali. Nie zawieziono nas jednak do ośrodka internowania, tylko do więzienia w Białolece, do aresztu śledczego. I wsadzili nas razem z kryminalistami, a wiadomo, jak oni zachowują się w stosunku do funkcjonariuszy milicji. Tam pozostaliśmy do Wielkanocy. Był ze mną m.in.: Sierański (Ireneusz – red.), Basiewicz (Miroslaw – red.), Kledzik (Zdzisław – red.), który już nie żyje. Bez kontaktu z innymi internowanymi.

Janusz Onyszkiewicz

Aresztowano mnie w nocy z 12 na 13 grudnia, i tak jak wszystkich zatrzymanych w Gdańsku przewieziono nas do Strzebielinka. Później z tej grupy wyselekcjonowano tzw. czołową ekstremę „Solidarności” no i wszyscy wylądowaliśmy na Białolece. Ja w jednej celi z Heniem Wujcem, dalej siedział Jacek Kuroń z Jankiem Rulewskim, dalej Karol Modzelewski z Sewerynem Jaworskim, był Dymarski (Lech – red.), Palka (Grzegorz – red.), Sobieraj (Andrzej – red.). Do tej ścisłej ekstremy zaliczono 14 osób. Byliśmy trzymeni w całkowitej izolacji od świata zewnętrznego. Rozpowszechniano pogłoski, że nie wiadomo, co się z nami stało, nawet, że jesteśmy utopieni w Zatoce Gdańskiej, prawdę mówiąc, jak nas przewożono helikopterem, jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy dokąd, zapytałem milicjanta dokąd nas wiozą, a on, że do Kaliningradu, pomyślałem no... Miałem ciepłą kurtkę i dobre buty, więc pomyślałem, że jak mnie wywiozą gdzieś za granicę to wrócę na piechotę nawet, a Jacek Kuroń – to ja z tobą, tym bardziej, że byliśmy skuci razem.

Marek Kossakowski

Przed wprowadzeniem stanu wojennego byłem etatowym pracownikiem „Solidarności” Regionu Mazowsze. Pracowałem tam, jako dziennikarz, redaktor w codziennym piśmie „Niezależność”. Po jego rozwiązaniu pracowałem w agencji AS (Agencja Solidarności). Trafiałem tam w związku ze swoją wcześniejszą działalnością, współpracą z NOWĄ. Tak, że byłem namierzony w momencie stanu wojennego i spodziewałem się zatrzymania. Z 12. na 13. grudnia nocowali u mnie ludzie z Krakowa i ktoś wpadł po dwunastej, że są aresztowania. Myśmy uciekli z tego mieszkania do sąsiadów. Nie nocowaliśmy w domu, jednak musiałem wrócić. Chciałem wziąć kożuch, bo było bardzo zimno, a wybiegłem w kurtce. Poprzednio byłem dwu lub trzykrotnie w swoim mieszkaniu, nie było obstawione. Aczkolwiek zachowywałem jakieś tam zasady bezpieczeństwa. Koleżanka, która była nieznaną

ubecji i policji pierwsza tam wchodziła i sprawdzała czy jest wszystko ok. Tym razem zaniechałem tych zasad, bo myślałem, że już zrezygnowali ze mnie. Wszedłem na podwórko. Zobaczyłem, że samochód stojący naprzeciwko mignął światłami i nagle rzuciło się na mnie trzech cywilnych ubeków. Nie miałem już żadnych szans na ucieczkę. Zaczęła się wielogodzinna rewizja. Ja oczywiście kożuch wziąłem, oni też wzięli tyle rzeczy z mojego mieszkania, że musieli wzywać dodatkowy samochód, bo nie mogli się zabrać jednym. To były głównie książki i książki w trakcie składania, bo ja, jako współpracownik NOWEJ składałem je i częściowo drukowałem. Głównie zajmowałem się składaniem książek i zabrali mi je w ogromnej ilości. Pamiętam, że mieli z tym kłopot i nawet narzut musieli mi zabrać, żeby spakować w nią książki.

Henryk Lipszyc

Wychodząc z hotelu Victoria, po spotkaniu z prasą japońską, bo jestem japończykiem, zostałem zatrzymany na ulicy i wylegitymowany. Koledzy doradzili mi, żebym nie nocował w domu, przeniosłem się więc do przyjaciela i tam przez 2,3 dni nocowałem. Irzeczywiście. Żona miała potem w naszym mieszkaniu przy Świętokrzyskiej, wizytę panów, którzy czekali na mnie długo, aż do godziny policyjnej. Dowcipkowali, że mąż się nie pojawia, może jest u kochanki... Zostawili wezwanie, abym się stawił na komendę na Wilczą. Stawiłem się, i to był powód, dla którego moi koledzy wytykali mnie palcami na spacerniaku, to jest ten frajer, który sam dał się zamknąć...

Tomasz Jastrun

Ja się ukrywałem przez prawie rok, do listopada 82 nie mieszkałem w domu. Robiłem pismo podziemne, literackie czy raczej publicystyczne, „Wezwanie”. Oni trochę mnie szukali, nie tak bardzo, ale wystarczająco, żeby mnie w końcu znaleźć. Nie byłem zresztą tak bardzo ostrożny, jeździłem małym fiatem, oni zaczęli mnie śledzić w kilka samochodów i w końcu mnie złapali na ulicy Wiejskiej. Bardzo spektakularnie, jak się teraz mówi, było kilka osób i kajdanki mi założyli. Zawieźli mnie na Rakowiecką. Tam spędziłem dzień i noc, wbrew przepisom. Myślałem, że mnie zawiozą do więzienia, ale mnie zawieźli do Białoleki, czyli do więzienia, które zostało w jednym swoim skrzydle zamienione na obóz internowania. Tam już było masę znajomych, ale ja byłem trochę zdenerwowany, bo się miałem spotkać z Bujakiem, za kilka dni, to nie było jeszcze umówione, ale byłem zdenerwowany bo wydawało mi się, że byłem nieostrożny i że sporo rzeczy będzie spalonych przeze mnie. Na szczęście, okazało się, że wszystkie te miejsca ocalały.

Gabriel Janowski

Wsadzili nas do kibitki, samochód był okratowany, bez okien i tak spekulowaliśmy, w która stronę jedziemy, czy na wschód czy na zachód, i po słońcu mówiłem kolegom, że raczej jedziemy na północny-zachód.

Odetchnąłem z ulgą, że nie na Syberię, a mieliśmy takie doświadczenia rodzinne, człowiek był trochę uczulony, nazwijmy to i po drodze pamiętam, kolega, który miał złamaną nogę to ja wziąłem jego kulę i przywiązałem do niej polską flagę, wystawiłem ją przez okno, przez szyber dach, i tak jechaliśmy...

Witold Chodakiewicz

Wylądowałem w suce, w której wszyscy zaczęli się przedstawiać, usłyszałem nazwisko Kuroń. Siedział koło mnie, on się okazał wielkim, zwalistym chłopem. Jeszcze takie nazwisko zapamiętałem Strachalski Krzysztof – pracownik naukowy z Politechniki Warszawskiej. Był prawie na golasa, w szlafroku i kąpielówkach, młody człowiek, podobno jak po niego przyszedli to żona była tuż przed rozwiązaniem i walkę tam stoczył, szafa zastawił drzwi, ale się włamali łomem i w zemście zabrali go w szlafroku... I w takim towarzystwie dojechaliliśmy z komendy na Bielanych do Białoleki.

Adam Grzesiak

Zawieźli mnie do Pałacu Mostowskich do Komendy Stołecznej MO, tam próbowali mi jakiś papier dać do podpisania, że przyjmuję do wiadomości, że jest wojna. A ja odpowiedziałem, że nic nie przyjmuję i niczego nie podpiszę. Wsadzili mnie do celi z bandytami, zabójcami i oni mnie namawiali: daj spokój, weź to podpisz, po co masz tu z nami siedzieć. Zawiozą cię do swoich, będziesz miał jedzenie, papierosy. I to jest jedyny dokument, który podpisałem, że przyjmuję do wiadomości, że jest stan wojenny.

Piątego dnia o trzeciej nad ranem wsadzili mnie do suki, zatrzymali się koło parku przy cytadeli i rozkuł mnie jeden, a pijani byli wszyscy, butelki się walały po podłodze, rozpiął mi kajdanki i mówi „wypierdalał”. A ja na to, że jakbym chciał wypierdalać to bym się nie dał złapać. A dlaczego ty mi każesz uciekać? Bo jak cię postrzelimy to dostaniesz po 7 dni urlopu.

Jacek Knap

Cela 18 m, cztery rzędy prycz po trzy, nas 11 w celi. W kącie kibelek i zlew z zimną wodą. Jedenastu chłopów w takich warunkach. Dopiero po dwóch tygodniach, przed świętami dostaliśmy pierwszą pomoc z MCK, ze Szwajcarii. To były takie paczki higieniczne: pasta do zębów, krem do golenia, szczotka, maszynki jednorazowe... Następnego dnia służba więzienna przydzieliła nam po ręczniku, który bardziej firankę przypominał i po pół kostki mydła

na dwóch. Pierwszy raz mogliśmy pójść do łaźni po 2 tygodniach, przed Wigilią. Żeby dostać kubek ciepłej wody do celi, żeby coś uprać, to kalifaktor, więczień, który nas obsługiwał, żądał paczki papierosów albo herbaty. Tam był taki przelicznik.

Henryk Lipszyc

W tydzień po wprowadzeniu stanu wojennego, jak mnie przywieziono do Białoleki, było nas w celi dość gęsto: był tam profesor [Ireneusz – red.] Gugulski – znakomity polonista, już nieżyjący i byli jego wychowankowie min: Marek Karpiński, którego uczył Gugulski w liceum Reytana, był Marcin Frybes wówczas student matematyki, później zmienił specjalizację na socjologię, syn polonisty i wybitnej tłumaczki Pani [Aleksandry – red.] Olędzkiej-Frybesowej, jeden z założycieli samorządu studenckiego UW, Józek Taran chłopak z NZS, który przyszedł chyba po mnie zgarnięty z jakiejś kawiarni, był działacz „Solidarności” z MZK, kierowca autobusowy, świetny gość.

Janusz Onyszkiewicz

Obok nas siedzieli więźniowie kryminalni, chociaż nie do końca tak można powiedzieć, bo nie mieli jeszcze wyroków, akurat waluciarze. Władze próbowali ich nakłonić, żeby oni zeznawali, żeśmy im sprzedawali nielegalnie walutę, żeby pozbiierać na nas i takie haki, już czysto z kodeksu karnego. Ale oni, muszą przyznać, trzymali się twardo i bardzo lojalnie z nami współdziałali. Myśmy siedzieli po dwóch, ja z Heniem Wujcem, ale czasami dokwaterowywali do nas osobę trzecią. Myśmy z Heniem mieli taką zasadę, że o polityce w ogóle nie rozmawiamy, bo mieliśmy przeświadczenie, że cele są na podsłuchu... Być może wsadzili do nas kogoś z wolności, świeżo zaaresztowanego, aby nas rozruszać, żebyśmy zaczęli go wypytywać co się dzieje w podziemiu.. Ale myśmy tego nie zrobili.

Zbigniew Daciuk

Z kryminalistami spotykaliśmy się raczej rzadko. Oni przywozili nam jedzenie, obiad. Ale co dziwne, nie traktowali nas źle. W Wigilię, kiedy do jedzenia był tylko kawałek marmolady, margaryny i chleb czerstwy, ktoś zapukał do drzwi i na talerzu podał nam kawałek kielbasy i masła. Powiedział: z Bogiem i żeby wam się dobrze świętowało. Moja żona była nauczycielką i miała koleżankę, której mąż był oficerem służby więziennej. On odwiedził mnie dwa razy, mimo zakazu przyszedł. Bo ja bardzo przeżywałem rozłąkę z domem. Zostawiłem dziecko, które było po trepanacji czaszki. Od nowa uczyliśmy go chodzić, jeździł na wózku. Żona wróciła ze szpitala, gdzie usunięto jej nowotwór – myśleliśmy, że złośliwy, okazało się na szczęście,

że nie. Ale sytuację mieliśmy napiętą w domu. Wtedy podczas odwiedzin poprosiłem o proszki od bólu głowy i coś na uspokojenie, bo powiedziałem, że jestem bardzo podenerwowany. Wtedy, powiem uczciwie, liczył się dla mnie dom, a nie związek i cała praca związkowa. Przyniósł mi na drugi dzień konserwę i proszki przeciwbólowe.

Adam Grzesiak

Cele były pootwierane, kontakty z rodziną były, morze alkoholu, papierosy. Miałem w szafie całe kartony papierosów, jedzenie świetne z paczek, nie więzienne. Klawisze do nas przychodzili, żeby im dać coś do jedzenia. Rodzina przynosiła alkohol. Ta fabryka, która produkowała soki Dodoni: Andrzej Zozula to załatwił, żeśmy dostawali soki Dodoni – litrowe, w środku czysty spirytus, pakowane w fabryce. Smutno nie było...

Tomasz Jastrun

Jak to w więzieniu, były oczywiście kraty w oknach i były ptaki za oknem. Dopiero w więzieniu docenia się ptaki, jakie to niezwykle istoty, jak one są wolne, zazdrości się ptakom, że one mogą fruwać, obserwuje się ptaki, to jest chyba typowe dla wszystkich więźniów... Miałem więc takie dotknięcie więzienia. Uważałem, że polska historia jest taka, że każdy przywoity człowiek siedział w Polsce jako polityczny, więc zostałem zaliczony do przywoitych ludzi, byłem bardzo z siebie dumny...

Jerzy Dyner

Dla kogoś, kto nigdy wcześniej nie siedział, to warunki były koszarne. Z początku było przeludnienie. W późniejszym okresie nas trochę rozparcelowano. Najgorsze dla mnie było jedzenie, naprawdę koszarne, bo liczyły się tylko kalorie. I żeby one się zgadzały, to na obiad był na przykład boczek nie golony z biustem, był tzw. „beton” czyli groch z kapustą. Był zakaz wyrzucania tego do kibla, bo jak to wystygło, to robiło się jak kamień. Ja miałem problemy z żołądkiem, byłem po trzech operacjach. Trochę się poprawiło, ale to w następnym roku, kiedy zaczęły docierać do nas paczki jedzeniowe. Można było na tym żyć. W celach było dużo myszy. Opracowałem metodę łapania ich. Zdobyłem torebkę plastikową, przezroczystą. Myszy, które łapałem, wrzucałem do stalowych koszy na śmieci. Jak zebrało się około sześciu sztuk nadmuchałem torebkę, do środka włożyłem myszy. Zapisalem się na wizytę u komendanta i poprosiłem o nakaz internowania dla tych myszy. Wolę nie mówić, co usłyszałem od niego w odpowiedzi. Na spacerunku wypuściłem więc myszy. Okazało się, że nie był to najlepszy pomysł, bo zaczęły na nie polować wrony. Ale i tak większość chyba zdążyła uciec.

Jarosław Goliszewski

Wylądowałem w celi dziesiątej, mocno zagęszczonej. Było nas 12 chłopów na niewielkiej przestrzeni. To trzeba sobie wyobrazić: trzypiętrowe prycze, 4 zestawy pryczy, na środku stół, taborety, jakaś szafka, i za zdewastowanym przepierzeniem zimna woda i sedes. Warunki, tak jak było w tamtym czasie w więzieniach, urągające wszelkim zasadom. W oknach kraty, okna otwierane szczęśliwie, więc mieliśmy możliwość komunikacji z kolegami, którzy wychodzili na spacerki, pod naszymi oknami.

Wojciech Dobrzyński

Ja przyjechałem w lipcu. Warunki wtedy w celach w Białolece były lepsze od tych, które jak podejrzewam, były w grudniu. Przyjeżdżały do nas organizacje międzynarodowe na wizytacje, dostarczały paczki żywnościowe. Ja w każdym razie szczurów w celach nie widziałem, być może przez te pół roku koledzy je wszystkie wybili. Nie miałem jakiegось dyskomfortu, uważałem, że to były znośne warunki. Jedzenie było lepsze niż na wolności, jakieś francuskie serki. Nawet były konkursy, kto lepsze zrobi jedzonko i zapraszały się wzajemnie cele. Ja przyjechałem do Białoleki taki nabuzowany, że trzeba jakieś oświadczenie na szybko wydawać, ludzi mobilizować, walczyć z komuną, a tutaj się spotkałem z taką trochę miękką atmosferą.

Marek Chimiak

No i siedzieliśmy sobie. Różni ludzie się różnymi sprawami zajmowali. Ja zajmowałem się snaniem, czytaniem i brzydzeniem. Pierwszy miesiąc przespałem cały, nie chodziłem nawet na spacer. A potem po Wigilię, na widzeniach pozamawiałem sobie książki i przestudiowałem całą historię filozofii. I pół celi robiło to samo. Mieliśmy celę spokojną, dotarliśmy się. Część tych ludzi znałem, część nie.

Witold Chodakiewicz

Już 17 grudnia były zbiorowe modlitwy, przy otwartych oknach, po Bożym Narodzeniu, pojawiła się nowa rzecz, zmieniliśmy słowa koledy, na „żeby się zdrącom nie zdawało, że zdobyli Polskę całą”. Już za same modlitwy zrobili nam kipsisz z postrachem, ustawiono na korytarzu atandę czyli Zomitów w hełmach, z pałami długimi i psami bez kagańców, w dwóch rzędach, no i otworzyli drzwi od cel. Niedługo potem zrobili to samo połączone z rewizją osobistą w celach. Kazali wyjść na korytarz i na wyciągniętych rękach trzymać wszystkie osobiste rzeczy, i wtedy mi się przytrafiła przykra rzecz, klawisz wyciągnął mi z klapy znaczek „Solidarności”. Nie wytrzymałem i napisałem pismo do komendanta obozu Szerera z protestem. Wezwał mnie po dwóch dniach i powiedział, że

klawisz się nie przyznaje. Znaczkę „S” (były – red.) w cenie, może chciał mieć na pamiątkę.

Jerzy Dyner

Jak mnie przewieźli z pałacu Mostowskich to parę dni potem przyjechało dwóch esbeków i zaczęli mnie maglować, żeby cokolwiek im zeznał, podpisał się lewą nogą itd. Później przez parę tygodni przyjeżdżał jeden esbek tylko. Co ciekawe, widać było, że jest to człowiek z dobrym pochodzeniem, który wie jak dobrać skarpetki do krawata, świetnie się wysławiający. Proponował mi pracę w kontrwywiadzie, ponieważ znałem dobrze język angielski i miałem znajomości w związkach zawodowych na Zachodzie. On wtedy wprost powiedział, że przygotowują proces KOR-u i jeśli będę zeznawał, to dla pozorów dostane jakiś tam wyrok, coś odsiedzę, a później oni mnie wezmą do kontrwywiadu.

Wojciech Borowik

Te pierwsze dni w Białolece były trudne, może nie dla mnie czy dla Janka (Skórzyńskiego), ale dla kolegów z „Solidarności”, którzy nie spodziewali się takiego obrotu sprawy. Trzeba pamiętać, że bezpieka umieszczała w pierwszej fazie swoich agentów, którzy mieli przekonać, że z tej Białoleki łatwo można wyjść. A tym łatwym rozwiązaniem jest podpisanie tzw. lojalności, czyli zobowiązanie się do nieprowadzenia działalności przeciwko władzom i ustrojowi komunistycznemu. No i były takie teatralne zagrania. Ktoś z naszej celi poszedł na to przesłuchanie i wrócił radośnie: słuchajcie, tam nie takiego strasznego się nie dzieje wystarczy podpisać jakiś kwit, to nie ma przecież znaczenia, za moment zostaną wypuszczeni. I rzeczywiście, za kilkanaście minut przychodził strażnik, otwierał celę i wywoływał tego człowieka i on wychodził na wolność. To demobilizowało bardzo, szczególnie osoby, które nie bardzo były doświadczone w działalności opozycyjnej. W tym pierwszym okresie sporo osób takie deklaracje podpisywało i wychodziło na wolność.

Witold Sielewicz

Była widoczna różnica między nami, a związkowcami. Pamiętam pierwsze dni: przychodzi roztrzęsiony działacz związkowy. Pytam: co jest? On mówi, że wzięła go Służba Bezpieczeństwa na rozmowę. I tak do niego mówili: pan jest bardzo przywoity, takich ludzi jak pan Polsce potrzeba. Bo trzeba coś zrobić. Tu są ekstremiści, dalsiście się wrobić. To są agenci CIA, oni tu są za pieniądze. Ja panu mówię w zaufaniu: pan podpisz, że nie będzie pan prowadził działalności. To jest zwykły papiererek. Nic się panu nie stanie. Jutro będą podstawione eszelony i wszyscy będą wywożeni na Syberię. Pan ma szansę zostać,

my chcemy, żeby pan został. Człowiek przerażony, tutaj rodzina, dzieci. I oczywiście podpisywał, to co oni chcieli. To nie było nic strasznego: zobowiązanie, że nie będzie się prowadzić żadnej działalności wyrotowej, ostatecznie nie jest taką ujmą. Oczywiście nie z naszego punktu widzenia, starych opozycjonistów. Oni próbowali wzywać te wszystkie osoby na przesłuchania. Wiele osób tłumaczyło, że dlatego poszło na te przesłuchania, że chcieli się czegoś od nich dowiedzieć. Dosyć głupie tłumaczenie. Ja byłem ostatnią osobą, którą poproszono, dopiero po pół roku. Powiedziałem: jest wojna, a ja w czasie wojny z agresorami rozmów nie prowadzę.

Jan Skórzyński

Zapadło ustalenie, że nie wychodzący z celi na wezwania SB. Ale wychodzili po nas zwykli funkcjonariusze więzienni, wzywając takiego a takiego bez podania powodów. No i po mnie też przyszedł w jakimś momencie. Ja oczywiście nie wyszedłem. Po czym się okazało, że przyjechała do mnie na wizytę moja ówczesna narzeczona. Ona była bardzo nieszczęśliwa, bo oni jej powiedzieli, że ja nie chciałem wyjść. Na następne wezwanie już poszedłem, a okazało się, że to było właśnie przesłuchanie.

Wojciech Bogaczyk

Jak trafiłem do Białoleki to Wojtek Borowik od razu powiedział, że tu jest taka zasada honorowa, że nie chodzi się na przesłuchania. Bo oni próbują nas przesłuchiwać bez podstaw prawnych. Tylko co mi to powiedział, a do celi wszedł klawisz i powiedział: panowie chcą z panem rozmawiać. Ja mówię: jacy panowie? Ubecy? No tak, ale ja nie chcę z nimi rozmawiać. To była taka zasada narzucona, przez grupę twardej. To oni stworzyli kodeks postępowania. Jak uczciwie powinien zachowywać się internowany. Jak wzywa komendant obozu, to idzie się, bo komendant wzywa w sprawach organizacyjnych. Często na przykazie oznacza to dodatkowe widzenie, czyli może to być coś pozytywnego. Natomiast nie podejmuje się żadnych rozmów nieformalnych z bezpieczeńką. Niektórzy, niestety te ustalenia łamali. Tych, którzy chodzili na rozmowy z bezpieczeńką była mniejszość i oni spotykali się z niechęcią kolegów.

Kazimierz Wóycicki

Zachorowała moja matka i była szansa, że wyjdę, ale kazali mi podpisać lojalkę. Ja nie chciałem. Wtedy Kiszczak zadzwonił do matki – osoby znanej w środowisku kombatanckim, uczestniczki Powstania Warszawskiego i zaczął używać takiej argumentacji: że niech syn będzie rozsądny, że przeciwie walczyliśmy o to samo – my kombatancki. Wtedy matka powiedziała mu, że nie o to samo, więc lepiej niech syn już siedzi.

Wiktor Mikusiński

Oferowano wyjazdy zagraniczne. Kilkanaście osób zgłosiło się. To było w lutym czy w marcu, jak [Jerzy – red.] Urban ogłosił, że internowani mogą wyjeżdżać za granicę. Dostali paszporty. Ale to nie było dobrze przyjęte. Generalnie wyjazd traktowany był jak ucieczka. My musieliśmy siedzieć i „cierpieć za miliony”. Kwestia rozmów z ubekami: była zasada ogólna, że lojalni nie podpisujemy. Ale były wyjątki, byli ludzie chorzy, dla nich podpisanie lojalki to była szansa na wyjście. Niektórzy mieli problemy rodzinne. Dyskutowaliśmy na ten temat w celach i kolektyw zezwalał lub nie na podpisanie lojalki, komuś kto z jakiś powodów musiał wyjść. Na rozmowy z UB (chodzi o SB – red.) raczej się nie chodziło, ale jak było nudno i nic się nie działo to niektórzy czuli się na siłach, żeby iść pogadać i ich opieprzyć. Później było o czym rozmawiać. Klawiszom demonstracyjnie nie poddawaliśmy się. To my mieliśmy narzucać swoje zasady, pokazywać, że jesteśmy wolnymi ludźmi i muszą nas traktować jak normalnych obywateli, a nie kryminalistów.

Janusz Onyszkiewicz

Proponowali nam wyjazdy za granicę, więc spytałem ubeka, czy można by pojechać do Czechosłowacji, co go bardzo skonfundowało. Przy kolejnej wizycie zapytał, czy mówiłem serio. Potem dawano mi takie awanse w rodzaju: panie rzeczniku, bo byłem rzecznikiem prawnym „Solidarności”, chcielibyśmy pana widzieć w telewizji, ale nie reagowałem na to.

Piotr Ikonowicz

Był taki rytuał. Zapraszano nas do konsulatów albo ambasad, to były specjalne cele, w których ubecy namawiali do emigracji. Cały wic polegał na tym, żeby najdowcipniej odpowiedzieć, że nie może się tam pójść. Przychodzili klawisze i czekali na te dowcipne odpowiedzi. Mówiło się: przyjdź jak dokończ robra albo nie mam czasu, bo piję herbatę. A potem wysadziliśmy w powietrze system elektryczny. Umówiliśmy się, że będziemy gotować na raz po wiadrze wody tymi „złodziejkami” z żyłtek. To strasznie dużo mocy bierze. I walnęły wszystkie systemy, nawet awaryjne, elektryczne.

Wiesław Bieliński

Jak przyszedłem do naszej celi to dostałem taką wiedzę, że nie chodzimy na rozmowy z ubekami i nie walczymy z komuną na poziomie strażników więziennych. I ci strażnicy byli w zasadzie fajni. Nawet jak ktoś się starał im grać na nerwach, to nie reagowali. A nawet mieli poczucie humoru. Kiedyś złapaliśmy szczura w celi, bo były szczury. W pułapkę, którą nam straż więzienna dostarczyła, szczur

został złapany w nocy. Na środku celi stał w klatce. Jak rano przyszedł klawisz nas liczyć, czyli robić celówkę, to powiedział: o jest nowy, trzeba wpisać. Porządek dnia był taki, że codziennie inna osoba stawała o szóstej godzinie, żeby odebrać dla nas śniadania. Zaczynała grać betoniara i kalifaktorzy, czyli room service więzienny zaczynał roznosić jedzenie. Braliśmy tylko chleb, bo kawa się nie nadawała do picia. Jak wszyscy wstali, to się robiło śniadanie z jakiś tam serków, puszek. Gotowało się wodę na herbatę. Strażnicy nie reagowali na to, że jest instalacja. Wcześniej trzeba było instalować, rozłączać, żeby tego nikt nie zobaczył. Tutaj po chamsku, od żyrandola szedł drucik do łóżka. Prycza robiła za przedłużacz. W minutę słoik wody był zagotowany. Wodę rozlewało się do małych słoików. Żeby się nie pomyliły, to każdy miał odpowiednią ilość gumek aptekarek na swoim słoiku. Nie korzystaliśmy z kubków więziennych, bo były aluminiowe i ten smak aluminium dominował, niezależnie, co by się piło. Kawa, herbata były z paczek, aprowizacja była dobra. Parzenie kawy to był cały rytuał. Po zalaniu kawy zakręcało się słoik, okręcało się szalikiem i ona się parzyła przez jakiś czas, lepiej niż w kubku. W więzieniu takie duperele, ponieważ zajmują czas, są cenne. Jak już wszyscy byli po śniadaniu, to każdy zaczynał robić to, na co miał ochotę, czyli czytał.

Wiktor Mikusiński

Oni mieli z nami problem, bo nie byliśmy więźniami kryminalnymi, nie mogli nas traktować tak bezosobowo i brutalnie. Było wiele osób wykształconych, z tytułami naukowymi, więc to ich trochę oneśmielało. Staraliśmy się zachowywać naturalnie, nie ulegać modom więziennym. Bo niestety część kolegów zaczęła mówić slangiem więziennym, troszkę przejmować więzienne zwyczaje, nasiąkać atmosferą więzienia. Cały czas trwała taka cicha walka z klawiszami. Nawet o gaszenie światła, wykonywanie poleceń.

Tomasz Jastrun

Bardzo mi było żal tych klawiszów i czułem z nimi zwyczajną ludzką solidarność, bo oni tam mieli bardzo trudną sytuację i jedni zachowywali się fajnie, a inni agresywnie, bo też byli prześladowani przez nas, taka jest prawda... Spotykali się z taką niechęcią osadzonych, którzy robili sobie wroga z tych ludzi, a oni też byli ofiarami tej całej sytuacji...

Witold Sielewicz

Po pewnym czasie agresja internowanych wobec klawiszów zanikła. Stosunki między nami stawały się łatwiejsze. Oni przymykali oczy na różne rzeczy. Ja byłem wśród tych osób, które od początku starały się do służby

więziennej podchodzić po ludzku, nie czepiać się. W momencie kiedy były pierwsze dary z zewnątrz, dostaliśmy z MCK jakąś wędlinę, podzieliłem się nią z klawiszem. On był taki szczęśliwy, zawiózł do rodziny swojej i powiedział: nie jesteśmy tacy źli, skoro internowany dał mi salami. Ja potem pukalem w drzwi i mówiłem: czy mógłby pan mnie do mojego brata zaprowadzić. On: nie ma sprawy, jak nie ma tego złośliwego klawisza, to nie ma sprawy. Rozpocząłem też handel z osobami, które nas pilnowały. Chłopcy, którzy nas pilnowali, to była rezerwa Milicji Obywatelskiej, ludzie którzy normalnie byli w „Solidarności”, ale wzięli ich do tej milicji. Z nimi prowadziliśmy handel wymienny. Tak to się skończyło, że trzy razy nam obsłuży klawisz zmieniano.

Sławomir Chojecki

Byłem w celi z Januszem Andermannem. Januszowi nie chciało się wychodzić na spacer, na spacer. No i leżał na górnej prycy, wszyscy z celi wyszli. Nagle wchodzi klawisz, myśkuje, wszystko ogląda. Janusz do niego krzyknął z góry: a pan, co tu robi? A klawisz wyjął klucz, potrząsnął nim i mówi: a ja nic, badam tylko czy się krata nie rozłata. I zaczął stukać kluczem w kratę.

Marek Karpiński

W Białolece kwitło życie religijne, o godzinie czwartej odbywały się modlitwy i pamiętam, że klawisz powiedział: panowie, ja z rodziną też się modłę, ale nie przez okno. Nie spotkałem się z żadną brutalnością z ich strony. Oni czuli się zażenowani, że przyszło im spełniać taką funkcję. Nie mogli się wykręcić, bo taka była ich praca, ale na pewno woleliby obcować ze skazanymi, bo tam sytuacja była czystsza.

Janusz Onyszkiewicz

Traktowano nas zupełnie nieźle, także inni więźniowie, a wiadomo, że w więzieniach jest zawsze pewna hierarchia. Na szczycie stoja ci, którzy rzucili największe wyzwanie władzy i społeczeństwu, drobny kieszonkowiec jest niżej niż bandzior, a bandzior niż morderca. Nas traktowano z dużym respektem i to nie dlatego, że za Solidarności podobno poprawiała się sytuacja w więzieniach, ale dlatego, że byliśmy odbierani jako ci, którzy rzucili wyzwanie w najwyższym wymiarze temu systemowi.

Andrzej Rosner

O drugiej w nocy z aresztu śledczego, gdzie spędziliśmy dwie noce, zaczęli nas wyganiać z cel. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, czy może będą nas transportować. Puszczono nas między szpaler chłopców z pałami z atandy, w mundurach bojowych, chłopców krzepkich i z psami bez kagańców rwącymi się do nas. Pomyślałem, zrobią nam ścieżkę zdrowia, ale nie.

Przepuszczono nas do pawilonu, baru, gdzie docelowo mieliśmy siedzieć. Zwyczajowo jest barak przeznaczony dla więźniów, którzy są w połowie wyroku, w związku z tym mają słabą motywację do ucieczki. Zajęliśmy barak po kryminalnych, którzy zostawili po sobie wszystkie „ozdoby”, łącznie z symbolami „Solidarności”, gołymi panienkami. Nasza cela numer 14, na końcu baru, sąsiadowała z następnym pawilonem i myśmy prowadzili konwersacje, dość zabawne zresztą z odsiadującą tam wyrok grupą włamywaczy, ale tych z górnej półki. Jeden z nich opowiadał, jak się otwiera podwójny skarbiec w ciągu kilku sekund. Przy okazji uświadomili nam, że dla nich okres „Solidarności” był zbawienny, bo bardzo złagodniono regulamin więzienny. Zlikwidowano najokrutniejsze kary, w tym karę pasów. Myśmy byli więc otoczeni ogólną sympatią.

Witold Chodakiewicz

Były dwa rodzaje protestów, jeden – autorstwa braci [Arkadiusza i Stefana – red.] Melaków. To byli bardzo dzielni ludzie i bardzo stanowczy. Jeden z nich organizował śpiewy w miesięcznicy 13. każdego miesiąca. W czasie spaceru dawał znak, stawaliśmy wszyscy i śpiewaliśmy: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Klawisze zarzucali nam, że dajemy zły przykład kryminalnym, za to spotykały nas kary: brak widzeń, zgody na korespondencję, co z kolei oznaczało brak talonu na paczkę, bo do listu wkładało się talon na paczkę. Druga grupa protestów to głodówka.

Kazimierz Wóycicki

Nieprzyjemne, dramatyczne momenty, to wejście takiej grupy zbrojnej – atandy do celi. Czasem to było sprovokowane przez nas, bo w naszej celi kolega miał skierowanie na operację nerek, kamieni nerkowych i to straszny ból jest. W nocy, kiedy oni gasili światło, myśmy walili metalowymi stołkami w drzwi i oni ze dwa, trzy razy sprowadzili atandę, a w końcu tego kolegę zabrali do szpitala.

Bogumił Sielewicz

Zrobiliśmy bunt w więzieniu, a w więzieniu, jak wiadomo, nie ma gdzie uciekać. Otoczyli nas zomowcy i pacyfikowali. To nie było przyjemne, nasuwali nas pałkami. Byli też wśród nas milicjanci z niezależnego związku milicjantów (Związek Zawodowy Funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej – red.). Jeden z nich, kapitan czy porucznik powiedział do zomowców: słuchajcie, pamiętacie, że byłem z wami. Ale to na nich nie zadziało: dostał pałką i go wywieźli. Wiadomo, jak atanda wchodzi, nie ma gdzie uciekać, więc pałuje i tyle. Trzeba się przyzwyczaić. My protestowaliśmy w ten sposób, że tłuśliśmy menażkami i wykrzykiwaliśmy: „wrona skona” i te

hasła o Jaruzelu, wiadomo... Człowiek siedzi, to musi coś robić. Na zewnątrz pacyfikowali kopalnię „Wujek, a my mieliśmy beczynnynie siedzieć... Nie chcieliśmy tak.

Wojciech Borowik

O dwunastej w nocy w miesięcznicę stanu wojennego stawaliśmy przy oknach i wrzeszczeliśmy: „Orla wrona nie pokona...”, waliliśmy w okna, robiliśmy taki spektakl. To było bardzo głośno. Słyszeli to nie tylko ludzie w więzieniu, ale też na zewnątrz, którzy mieszkali w budynkach nieopodal. Chociaż tam mieszkała głównie straż więzienna, więc to nie rozchodziło się dalej. No, ale dla nas było ważne, że nie poddajemy się, że nie można nas stłamsić, zdeptać. Jesteśmy tacy, jacy byliśmy przed internowaniem.

Jarosław Goliszewski

Mroźny poranek. Wyprowadzają nas z celi. Idziemy zwartą kolumną na nasze nowe miejsce pobytu. Śnieg trzeszczy pod nogami. Szpaler atandy, czyli więziennej służby ochrony – wyposażonej tak jak ZOMO, w kaski, helmy, pałki, tarcze. Przechodziliśmy między nimi, co przypominało „ścieżkę zdrowia”, ale nic takiego się nie wydarzyło. Natomiast idąc z Kazikiem Wóycickim i Andrzejem Ginsbergiem, a wszyscy trzej byliśmy mocno zarośnięci (nosiło się wtedy długie brody, często nieprzyszyte jak rewolucjoniści z Ameryki Południowej), usłyszeliśmy komentarz funkcjonariuszy z atandy: „Tym trzem to bym powyrzywał obciążkami włosy z brody przed wysłaniem ich do Izraela.” To pokazuje nastroje tamtych czasów: tzw. „szepetana propaganda”, że KOR to Żydzi, że „Solidarność” jest zawłaszczana przez pewne wrogie elementy.

Janusz Onyszkiewicz

Myśmy byli trzymeni w pełnej izolacji, mogliśmy się porozumiewać tylko przy okazji niedzielnych mszy. Kontaktowaliśmy się tylko sposobami więziennymi. Kontakty oficjalne pojawiły się dopiero po wizycie delegacji MCK, dzięki której, uzyskaliśmy dłuższe spacery, na które mogli wychodzić więźniowie z dwóch cel razem i wtedy można było porozmawiać.

Nastrój był bojowy, kiedyś w Białolecie zgłosił światło, wtedy rozpetano się pandemonium, zaczęli puszcząć petardy, żeby teren rozświetlić i usłyszałem głos Andrzeja Gwiazdy: „czewoni poddajcie się”.

Zbigniew Daciuk

Moja żona przez długi czas nie mogła się dowiedzieć, gdzie jestem, pytała w różnych komendach. Gdy dowiedziała się, że jestem w Białolecie, to w pewnym momencie pozwolono jej mnie odwiedzić. Musiała czekać w śniegu pięć godzin zanim ją wpuszczono.

Jedno dziecko miała ze sobą na wózku inwalidzkim, on miał całe nogi przemoczone i z drugim synem była, który stał obok.

Wojciech Dobrzyński

Widzenia to był istotny element, to pozwalało mieć jakiś kontakt ze światem i wtedy próbowaliśmy coś przekazywać rodzinie, jakimiś grypsami, jakieś oświadczenia, co się tutaj dzieje, że jesteśmy zdrowi, że nie ma jakiś wyjątkowych represji. Staraliśmy się przemyścić jakieś informacje o nas, wiedząc jak bardzo są potrzebne do różnych gazetek wychodzących w podziemiu. To były rzetelne informacje o nas, w przeciwieństwie do tego co próbowano pokazywać w oficjalnych mediach. Jak się nie udało na widzeniach, to wpadłem na inny pomysł. Pawilon, w którym mieszkaliśmy był blisko muru i jak się mocno rzuciło, miało się jakiś kamień, jakieś obciążenia, dało się przerzucić za mur. Namawiałem wtedy moją narzeczoną, żeby pod tym murem wystawała. Udało się chyba raz coś takiego zrobić, bo klawisze bardzo szybko się zorientowali i obserwowali nie tylko cele, ale również tych stojących po drugiej stronie muru, gdzie podjeżdżała suka i ich zgarniała. Więc chyba raz się udało.

Wiesław Uziębło

Kontakt ze światem zewnętrznym miałem przede wszystkim przez księży Sikorski (Jan – red.), Dembowski (Bronisław – red.), Dąbrowski (Bronisław – red.), Opiela (Stanisław – red.), do dziś ich pamiętam. Oni mieli takie wydrążone Biblię zazwyczaj, no i w tych żarzących przy sutannach nosili grypsy, listy. Czasami na widzeniach dostawałem takie karteczki wielkości paznokcia złożone sto razy. To była też bibuła, którą dostawałem. To były niesamowite rzeczy, podtrzymujące na duchu.

Przemysław Cieślak

U nas były trzy delegacje ze świata. Był prymas [Józef – red.] Glemp, Polski Czerwony Krzyż, Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Wizyta Glempe miała charakter najbardziej symboliczny i prestiżowy. Czulo się powagę kościoła. On wchodził do celi rutynowo, witał się. Musiał je wszystkie obejść, było nas dużo. Ale czulo się majestat Kościoła. Kiedy wszedł Polski Czerwony Krzyż to widać było, że to są tacy nieduży panowie, którzy za bardzo głowy nie chcieli podnosić i za bardzo na boki nie patrzeć. Kiedy przyszli z Międzynarodowego [Czerwonego – red.] Krzyża – było już inaczej. To byli ludzie z Zachodu, którzy się niczego nie bali i widywali gorsze rzeczy na świecie. Dzięki nim ja wyszedłem stamtąd, bo podczas wizyty poskarżyłem się, że mam pewne dolegliwości, nie związane z Białoleką, które wymagały oględzin lekarskich. Potem po paru

miesiącach pojechałem na Lindleya na badania pod konwojem.

Jacek Czaputowicz

Krzysztof Słwiński przemycił radio i robił nasłuchy. Słuchaliśmy Radia Wolna Europa i Radia RFI na przykład i wiedzieliśmy co się dzieje, co o nas mówią. Później żeśmy to spisywali i zrobiliśmy pismo, i wysyłaliśmy to do celi obok. Pisaliśmy wiadomości, w celi obok to przepisywali. I to się nazywało „Koniem przez świat”. Myśmy to robili w naszej celi, a Wojtek Borowik i Marek Kossakowski w celi obok. Ale to była nasza rzecz, myśmy mieli to radio. Aż w pewnym momencie wyszło konkurencyjne pismo: „Kipisz codzienny”. To chyba wydawał Czuma, albo ktoś z prawicy, już dokładnie nie pamiętam. Później pojawiła się też publicystyka. My dawaliśmy serwis. Krzysztof słuchał, ja zapisywałem ręcznie i podawaliśmy tym „koniem” obok. Oni robili nakład: dwa egzemplarze: jeden w lewo, drugi w prawo.

Marek Kossakowski

Dostałem takie małeńkie radyjko wykonane, o ile pamiętam, przez inżynierów z politechniki. To taka mała nieskażona bryłka była z antenką, dwoma pokrętkami i potencjometrem. Łapało Wolną Europę, nawet dobrze, ale można było też wybrać Głos Ameryki. Nie wszyscy mieli w celach takie udogodnienia, więc myśmy te informacje usłyszane z radia przepisywali i kolportowali po obu pawilonach. Ukazywało się to w gazetce „Koniem przez świat”. Była też druga gazetka: „Kipisz codzienny” – wydawało mi się, że redagował ją Czuma, ale nie jestem pewien. To w jego celi robiło kilka osób. Tak jak „Koniem przez świat” redagowaliśmy w wiele osób. W „Koniem przez świat” mieliśmy piękne wydania okolicznościowe: z okazji setnego numeru, z okazji Wielkiejnocy. Raz wydrukowaliśmy wiersze [Jana Krzysztofa – red.] Kelusa, który siedział w Białolecie, w części więziennej. Jego wiersze nam dostarczone. Myśmy to pięknie wydali. Drukowaliśmy też literaturę piękną np. opowiadania Janusza Andermana, który też siedział w Białolecie i stale nam dostarczał. „Koniem przez świat” był światowym pismem i interesowało nas to, co działo się na dużym spacerniku, czyli w kraju. Chociaż oczywiście jakieś wiadomości z Białoleki też były.

Wojciech Borowik

Uznaliśmy za Jankiem Skórzyńskim, że musimy podtrzymać opór w obozie, nie tylko na zewnątrz. Zaczęliśmy wydawać gazetę „Koniem przez świat”. To było rozbudowane przedsięwzięcie. Pod naszą celą dokonywała się redakcja materiału, który gromadziliśmy, przepisywanie. Stąd pochodził kolportaż. Materiał pochodził z wielu źródeł: m.in.:

z celi w której siedział Jacek Czaputowicz i Krzysztof Śliwiński. Krzysztofowi udało się przemycić radyjko i dzięki temu mieliśmy nasłuch na Wolną Europę i inne stacje, które informowały o tym co się dzieje w Polsce. Inne informacje pochodziły oczywiście z widzeń, rodziny nam przynosiły informacje. Później także z publikacji podziemnych, głównie z „Tygodnika Mazowsze”, który był przemycany do więzień. Ważne były też informacje, co działo się w samym więzieniu, one zbierane były od internowanych, z poszczególnych cel. Wiadomo, w jednych celach było lepiej w innych gorzej, były różnego rodzaju represje i o tym informowaliśmy codziennie w naszej gazecie.

Tadeusz Klimczak

Ksiądz Sikorski – udzielał nam ślubu w Białoleńcu... bo myśmy brali ślub kościelny w Białoleńcu, ślub cywilny braliśmy wiele lat wcześniej, a kościelny 1 lipca 1982 roku. To była taka budująca uroczystość...

Świadkiem był nasz syn Sebastian.

Jan Dworak

Cele otwarto przed świętami Bożego Narodzenia. Kilkaset osób na korytarzach. Była msza święta, pierwszy raz w takim wielkim gronie. Pełna napięcia i przeżyć, bo ludzie się po raz pierwszy zobaczyli – może 200 może 250. Była msza połowa. Ołtarz zrobiono. Ludzie rozmodleni, jak to zawsze w opresji, jak jest problem, kłopot, to ludzie otwierają się na tę pomoc zewnętrzną. Tak na co dzień to różnie jest. I taka powstała atmosfera rozmodlenia. Chodziliśmy na msze wszyscy: i wierzący i niewierzący, i wątpiący. Sprzyjała temu atmosfera opresji, niejasności, niepewności. W czasie mszy, w takiej właśnie atmosferze rozmodlenia jakiś głos z tyłu dochodzi: „mam widzenie”. Szept poszedł od razu do przodu, że ktoś ma widzenie. I sobie tak myślę, jak bardzo się uduchowiliśmy w tej trudnej sytuacji. Ale to się okazało, że to żona do kolegi, po raz pierwszy przyszła i o takie widzenie chodziło.

Antoni Zambrowski

W Białoleńcu odbyło się bierzmowanie. Było nas dwunastu i ja właśnie byłem jednym z tych bierzmowanych. Byli tacy, którzy mieli zaniedbanie jeśli chodzi sakramenty. Przyjechał do nas biskup Dąbrowski i udzielił nam bierzmowania. Myśmy w więziennych koszulach wystąpili. Między innymi był też Wojtek Celiński. Chrzętów nie było, ale na przykład Genio Temkin pod wpływem pobytu w Białoleńcu nawrócił się i wziął ślub kościelny ze swoją narzeczoną. Można powiedzieć, że bardzo wielu ludzi Białoleńca nawróciła. Ja wtedy ponieważ byłem takim jak to koledzy mówili „proboszczem”, ale byłem lektorem. I jako lektor rzuciłem hasło,

że zamienimy więzienie w klasztor. I to hasło skutkowało. Rzeczywiście na złość czerwonemu ludzie się nawracali.

ks. Jan Sikorski

Były restrykcje. Nieraz nie wolno było uczestniczyć w mszach św. większej ilości osób, więc musieliśmy wtedy odprawić dwie, trzy nawet msze, bo przyprawiano na nie małe grupy. Były awantury ze strażnikami. Nieraz mścili się w ten sposób, że jak ktoś nie był im w czymś posłuszny, to mówili: ty nie pójdziesz na mszę św. A ja wtedy mówiłem: to ja nie będę odprawił i takie awantury słycać było na korytarzach. Jak to usłyszeli ci w celach, że ja tam z nimi za głośno dyskutuję, to zaczynało się walenie w drzwi i krzyki: zostawcie księdza.

Witold Sielewicz

Ja nie mogę się zastanawiać czy warto. Ja musiałem. Moja rodzina od pokoleń brała udział we wszystkich zawieruchach, powstaniach, po wojnie tak samo. Jeszcze nawet z PPS-em próbowali coś kombinować. Wychodzili z więzień po 56 roku. To była danina krwi, którą trzeba było dać. Chciał nie chciał, z bratem musieliśmy podjąć tę rolę. Byliśmy przekonani, że będzie dużo ciężiej i nie w takim krótkim czasie uda nam się osiągnąć cel. Więc nie ma czego żałować, jak patrzę na to co zrobiliśmy A od strony towarzyskiej to był najpiękniejszy okres w moim życiu, ja wchodziłem wtedy w życie, miałem dwadzieścia kilka lat. I jak słyszy się o sobie w radiu Wolna Europa, dostaje nagrodę Polonii, to czego można chcieć więcej i czego żałować.

Marek Kossakowski

Białoleńca dała mi bardzo dużo. To była znakomita szkoła. Przez siedem miesięcy człowiek nie ma nic do roboty, może tylko dyskutować, uczyć się rozmawiać, pisać, czytać. Te dyskusje w Białoleńcu były naprawdę bardzo ważne. Myśmy przeprowadzili w Białoleńcu ciekawą dyskusję, jak [Ronald – red.] Reagan wprowadził sankcje. Chodziło nam o to, czy poprzeć te sankcje czy nie. To była zażarta dyskusja. Bo wiadomo, że sankcje gospodarcze odbijają się zawsze na społeczeństwie, nie ma sankcji tylko wobec rządzących. Myśmy wydali oświadczenie, które zostało odczytane w kościele na Pivnę, że popieramy te sankcje.

Tomasz Jastrun

Ale pamiętam z Białoleńki taką jedną scenę, która mnie zaniepokoiła. Pamiętam, żeśmy zmienili celę z trzeciej na taką vis a vis, bo pod koniec było już coraz mniej ludzi i oni dokonywali przezebnowań. Pamiętam z przerażeniem jak ci moi koledzy rzucili się, kto ma zająć lepsze łóżko, jak czułem zgorzzenie tym, że my się ścigamy o to łóż-

ka, w ramach tej naszej sprawy – walki o wolność, że po prostu poczekałem i zająłem to najgorsze przy toalecie To była zapowiedź przyszłych konfliktów i walk i tych wszystkich złych rzeczy, które z nas wyszły, i tego, że jesteśmy ludźmi, że mamy ambicję, że chcemy być lepsi od innych i że walczymy o władzę, To był niepokojący znak, który, pamiętam, wtedy we mnie został...

Wiesław Bieliński

Zdecydowanie było warto, bo nie dość, że tam spotkałem starych znajomych ale poznałem wielu nowych, z którymi później współpracowałem. Jeżeli komuniści myślał, że wystraszy ludzi, zamykając ludzi do więzienia, to mu się nie udało. Bo albo to powinno być takie więzienie, że jak człowiek z niego wyjdzie, to na szcęk zamka drętwiej albo rozstrzelać powinni. A jak człowiek poznał coś – nie boi się. Jak nie siedział w więzieniu, będzie się tego więzienia bał, posiedział przestał się bać. Ja później w swojej działalności wydawniczej współpracowałem ze swoimi kolegami z celi. Więc ten zamysł im się nie sprawdził.

Bogumił Sielewicz

Ja niczego nie żałuję. Chociaż wygląda to jak wygląda, mimo wszystko żyjemy w demokratycznym kraju. Możemy podróżować po świecie, horyzonty wolności są szersze, no i w innej Polsce żyjemy. Tak więc uważam, że warto było, aczkolwiek to już historia. Dzisiaj to już się nie liczy. Trzeba zapomnieć o tym.

Gabriel Janowski

Działalność opozycyjną rozpocząłem jako 14 letni chłopiec, w swoim miastecz-

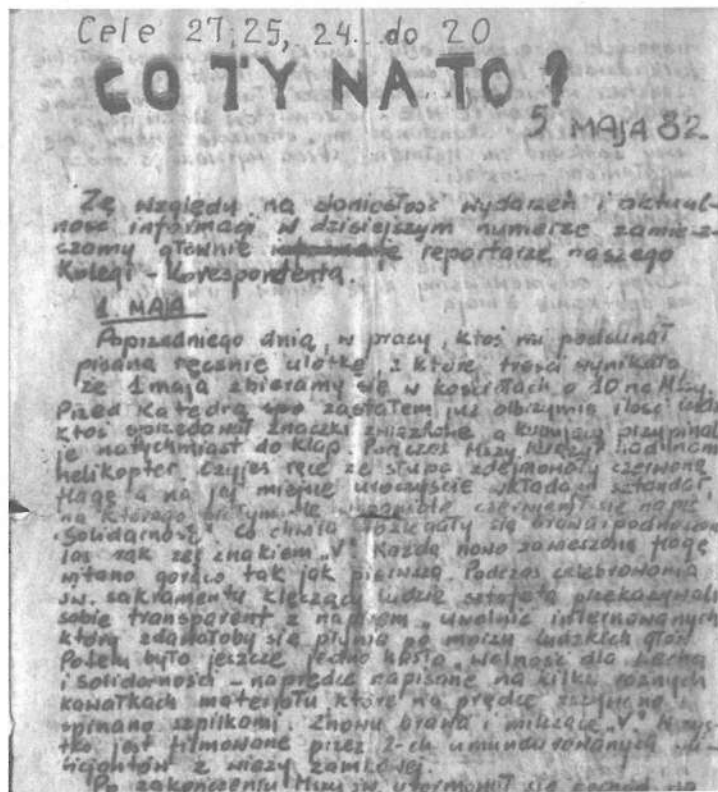
ku, rozlepiłem plakaty, pisałem „precz z wojskami sowieckimi”, miałem problem jak to podpisać czy w imieniu niepodległej Rzeczypospolitej czy Rzeczy... jak wiadomo jedna i druga forma jest poprawna.. W 68 roku na uczelni byłem organizatorem pierwszego strajku, później w 76 roku jak była przyjmowana wraza konstytucja, wysyłałem protesty do przypadkowych zupełnie ludzi, to był naturalny ciąg. To była jedyna postawa, która powinna być wypełniona. Natomiast pozostaje pewna gorczyca, że ten wielki kapitał, a to są rzadkie momenty w dziejach narodu, że naród wspólnie buduje pewien kapitał, został roztrwoniony. Polska, która mogłaby być przykładem kraju, który buduje nowy ustroj coś między socjalizmem a kapitalizmem, ustroj oparty na solidarności i sprawiedliwości, wybudowała państwo oligarchiczno-kombinatorskie.

Janusz Onyszkiewicz

Oczywiście, że było warto i trzeba było robić swoje. Ja zresztą tak znowu długo na tej wolności nie przebywałem, bo zaraz po wyjściu aresztowano mnie ponownie, w ogóle byłem aresztowany wiele razy, ale to była taka część solidarnościowego losu..

Zdzisław Knap

Jak pracowałem w MZK, to zapamiętałem sobie taki obrazek: wychodzę nad ranem z pracy, a tam kobieta o żółtej twarzy, w zajezdni autobusowej na Chelmskiej myje autobus. Jak mnie zobaczyła, a wiedziała, że jestem działaczem związkowym, zapytała: „Czy będziecie bronić moich praw?” Myśmy jej to obiecali i nie dotrzyliśmy słowa.



Codziennik z Potulic

Stanisław Wajskerber (ur. 1957) – Bezpośrednio po studiach prawniczych na UMK w Toruniu, znalazł się w lecie 1980r. w centrum akcji strajkowych w rodzinnym Grudziądzu. Został doradcą prawnym MKS, następnie MKZ, gdzie podjął pierwszą pracę zawodową. Członek Prezydium Zarządu Podregionu Grudziądz, od czerwca 1981 członek Zarządu Toruńskiego NSZZ „S”. Internowany od 13.12.1981 do 4.03.1982 w Potulicach, ponownie – podczas fali kolejnych internowań w b.woj.toruńskim – od 11.05 do 14.10.1982 w Strzebielinku. Po odzyskaniu wolności przez parę lat pozostawał bez pracy, otrzymywał pomoc podziemnych struktur Związku, był ich doradcą prawnym. Obecnie właściciel kancelarii radców prawnych.

Jego pokazujący codzienność i stan psychiczny internowanych dziennik z okresu pobytu w Strzebielinku otrzymał w 2008r. nagrodę dyrektora Oddziału IPN w Gdańsku.

KRZYSZTOF BIERNACKI

Z 10 na 11 grudnia pełniłem w MKZ całodobowy dyżur. Po dyżurze 11 grudnia o godz. 5 rano wraz z innymi delegatami na regionalny zjazd „Solidarności” w Toruniu pojechaliśmy do tego miasta. Trwała tam druga tura naszego zjazdu. Obradowaliśmy w auli UMK. Jednym elementem z wielopunktowego programu obrad było opracowanie sposobu realizacji też uchwały I krajowego zjazdu NSZZ „Solidarność”. Byłem bardzo zmęczony, ale brałem aktywny udział w obradach. Pamiętam, że ok. godz. 22.00 w piątek poinformowano zgromadzonych na sali, że nasi obserwatorzy zauważyli ruchy wojsk i jadące kolumny ZOMO na Gdańsk. Byliśmy tym zaskoczeni i trochę zaniepokojeni. Ale atmosfera tłumy i poczucie własnej siły zrobiły swoje. Delegaci w większości zbagatelizowali tę wiadomość. Wiadomość ta jednak mnie nie dała spokoju, gdyż na trzy dni przed 13 grudnia miałem dziwny telefon, w którym to nieznany rozmówca ostrzegł mnie mówiąc, że „już jada po ciebie” i że mam się ukryć. (...)

Obrady naszego zjazdu zakończyły się ok. 2.00 12 grudnia. W nocy (...) wróciliśmy do Grudziądza. (...) Około godz. 15.00 poszedłem do MKZ, by zobaczyć jaka jest sytuacja w kraju i jakie są wiadomości z obrad KK NSZZ „Solidarność”. (...) Nikt nie wyczuwał jeszcze tego co miało niebawem nastąpić. Pierwszym niepokojącym faktem miał być jedynie brak wiadomości z obrad KK (Krajowej Komisji NSZZ „Solidarność”) i przerwana łączność telefoniczna z Zarządem Regionu Toruń. Łączność telefoniczna zosta-

ła przerwana ok. godz. 19.00. Toruń nie odpowiadał. Wobec tego postanowiliśmy połączyć się z nimi teleksowo. Udało się (choć teraz nie wiem czy przypadkiem nie było to już połączenie z SB, a nie z Toruniem). Z Torunia ktoś odstukał, że też nie ma wiadomości z Gdańska, a po tym wyłączył się. Było to wszystko dziwne, ale zbytnich podejrzeń nie wzbudziło w nas.

Chwilę po godz. 19.00 pożegnałem się z przyjaciółmi i poszedłem do domu.

Tomek wyjrzał przez okno. Stwierdził, że jest to milicja. Zerwałem się z tapczanu. Kazałem Tomkowi zamknąć natychmiast drzwi wejściowe na klucz

(...) Po kolacji i gorącej kąpieli ok. godz. 23.00 położyłem się spać. Tomek – mój młodszy brat odrabiał jeszcze lekcje. (...) W pewnym momencie o godz. 23.45 zjechał przed dom jakiś samochód. Tomek wyjrzał przez okno. Stwierdził, że jest to milicja. Zerwałem się z tapczanu. Kazałem Tomkowi zamknąć natychmiast drzwi wejściowe na klucz. Na szczęście były już wcześniej zamknięte. Tata i ja wyszliśmy do korytarza. Spytałem dobijających się do drzwi milicjan-

tów czego sobie życzą. Z drugiej strony padło pytanie: „Czy tu mieszkają p. Jerzy i Stanisław Wajskerber?”. Odpowiedziałem: „– Tak, co panowie chcecie? – Macie natychmiast stawić się na MO. – „Co się stało? – Nic. – To proszę przyjść jutro, gdyż teraz jest noc i ja was nie wpuszczę. – To wejdziemy siłą.”

Na to ja: „– Proszę o nakaz zatrzymania. – Nie mamy.” (...)

Było ich trzech w mundurach i jeden w cywilu. Nie mogą dostać się na podwórkę, atakują ich psy. Wówczas jeden z nich stwierdza, że jeżeli wyskoczę przez okno, on zastrzeli psy, a potem będzie strzelał do mnie. (...) Milicjanci mając już wcześniej przygotowane łomy przystąpili do wyważania drzwi. A drzwi frontowe są z grubych desek, zamknięte na zamek patentowy i łańcuch. W czasie gdy oni kują, ja wydaję instrukcje bratu. (...) Mówię mu, do jakiego zakładu ma się udać, co powiedzieć oraz wyjawiam mu alarmowy sposób połączenia się z Gdańskiem. Po wydaniu instrukcji Tomek nagrywa walenie do drzwi na taśmę magnetofonową. Tata i ja ubrani do wyjścia (myślimy, że ewentualnie nas zatrzymają na 48 godz., bo przecież o wojnie jeszcze nikt nie wie) (...) siedzimy spokojnie w fotelach.

Wreszcie bandyci wylamują drzwi wejściowe do korytarza i (...) jednym kopnięciem wylamują drzwi prowadzące z korytarza do kuchni. (...) Pierwsi wpadają do pokoju rozjuszeni milicjanci (...). Za nimi wchodzi cywil – esbek. Zaskakujemy ich spokojem, jednak napastnicy w mundurach nie dają za wygraną. Od bliżej stojącego śmierzdi alkoholem – zaczyna od pogroźek. Uspakają go jednak esbek. Ja proszę o wylegitymowanie się. Cywil pokazuje mi legitymację (nazwiska nie zapamiętałem), po czym stanowczo stwierdza, że mamy wychodzić do stojącej przed domem nyski milicyjnej (...). Idziemy spokojnie. Ojca sadzają do przodu – w kabinie kierowcy. Mnie wraz z jakimś sierżantem zamykają w tyle suki. Samochód ruszył, zmierza w kierunku komendy miejskiej. Próbuje od sierżanta dowiedzieć się co się stało. Lecz on nic nie odpowiada. Decyduję się na pytanie: „Czy Bucholca już macie?” (wiem, że miał dyżur w MKZ i że miał dobrych informatorów, a więc mógł zdążyć się schować). Odpowiedź jest krótka – „Nie znam tego bandyty!”. Przy takim postawieniu sprawy rezygnuję z dalszej dyskusji.

Jedziemy w milczeniu. Przez głowę przelatują myśli niczym błyskawica.

(...) W tym czasie samochód dojeżdża do komendy. (...) Otwierają się drzwi i oczom nie wierzę. Widzę szpaler z jednej i drugiej strony uzbrojonych w karabiny milicjantów. Niektórzy mają psy. Zaczynam się bać. Przypomina mi się lektura wydarzeń z 1976 r. i osławione (...) ścieżki zdrowia. Myślę tylko o tym,

Widzę szpaler z jednej i drugiej strony uzbrojonych w karabiny milicjantów.

Niektórzy mają psy. Zaczynam się bać. Przypomina mi się lektura wydarzeń z 1976 r. i osławione (...) ścieżki zdrowia.

Myślę tylko o tym, by nie bili

by nie bili. Staram się wyskoczyć z samochodu jak najbliższe milicjantów (tak by nie mieli rozmachu do bicia) i szybko wejść do wnętrza komendy. Udało się. Jestem już w środku. Panuje tam niesamowity ruch, wyczuwa się atmosferę podniecenia. Prowadzą nas na pierwsze piętro do pomieszczeń SB, wskazują drzwi do jakiegoś pokoju. Tam czeka na nas dwóch esbeków. (...) Jeden z nich stwierdza, że w Polsce jest ogłoszony przez RP (Radę Państwa) stan wojenny i my na mocy dekretu RP zostajemy internowani. (...) Gorączkowo szukam w myśli skojarzenia ze słowem „internowanie”. Dochodzę do wniosku, że nasz system prawny nie zna takiej instytucji, a internowanie we właściwym słowa tego znaczeniu to zatrzymanie przez obce państwo. Mrozi mi krew w żyłach – pewnie będziemy odesłani do ZSRR i tu następne pytanie: czy oni wkroczą li do Polski?

Na zewnątrz jednak zachowuję stoicki spokój. Zwracam się do cywila z żądaniem by przedstawił mi decyzję o internowaniu i dekret RP o stanie wojennym. Oczywiście prośby mojej nikt nie speł-

nia. W zamian za to esbek przedkłada mi kartkę papieru, na której widnieje stwierdzenie, że przyjmuję do wiadomości fakt internowania – chce bym to podpisał. Lecz nim zdążyłem wyciągnąć rękę, on sam podpisuje za mnie. Przy okazji wpisał tam również swoje nazwisko (pewnie taki już nawyk). Nazywa się chyba Majewski. Widząc to, ostro protestuję. On po chwili daje mi tę kartkę bym podpisał. Biorę ją do ręki i przed podpisem robię na marginesie uwagę, że nie wręczono mi decyzji o internowaniu i nie przedkłada mi się dekretu RP. Esbek krzyczy, ale już zdążyłem poczynić tę uwagę i podpisać się. Wówczas on wydaje rozkaz by zamknęto mnie w areszcie. (...) Idziemy na dół do piwnicy komendy. (...)

Mija godzina, a może trzy. Otwierają się drzwi celi i każą nam wychodzić. Domyślamy się, że już nas wywożą. Wychodzimy wyjściem prowadzącym na podwórko komendy. Znowu ten sam szpaler milicjantów. Lecz droga nie jest długa. Niedaleko stoi duży star tzw. buda więzienna. Tam są już inni koledzy, jest też ojciec. Wchodzę i witam się z nimi. Liczymy się, jest nas 16. (...)

Niektórzy z kolegów twierdzą, że dowiedzieli się od milicjantów, iż jedziemy do Potulic – jest to ciężkie więzienie – siedział w nim (Edmund – red.) Zdrożyński. (...) Nie orientujemy się, w którym kierunku jedziemy, w każdym razie nie w kierunku na Bydgoszcz (bo tam są Potulice). Wiemy to stąd, że nie słyhać jazdy przez most. Wzrasta nasze zaniepokojenie. Po ok. 2 godz. jazdy w zimnym samochodzie wyglądamy przez wietrznik, przez który zaczął sypać śnieg i rozpoznajemy przedmieście Torunia. (...) Po kilkunastu minutach stwierdzamy, że jesteśmy na lotnisku toruńskim. Słyszymy warkot wielu innych samochodów. Rozumiemy, że jest

Wychodzimy wyjściem prowadzącym na podwórko komendy. Znowu ten sam szpaler milicjantów. Lecz droga nie jest długa. Niedaleko stoi duży star tzw. buda więzienna. Tam są już inni koledzy, jest też ojciec. Wchodzę i witam się z nimi. Liczymy się, jest nas 16

to większe zgrupowanie. Na domiar złego zaczyna krążyć nad nami helikopter. Koledzy, którzy byli w wojsku twierdzą, że jest to duży transportowiec. Pada na nas blady strach. Jesteśmy prawie pewni, że wywożą nas do ZSRR. Niektórzy milkną, inni rozważają jaka czeka

Lotnisko jest obstawione zomowcami, milicjantami i psami. O ucieczce nie ma mowy. Gdy wyszliśmy pada następne polecenie – „odlać się”. Jesteśmy zaskoczeni, ale napięcie opada

nas przyszłość, jeszcze inni cicho modlą się. Atmosfera robi się napięta do ostatnich granic. Stoimy na lotnisku chyba już godzinę. W tym momencie otwierają się drzwi samochodu. Pada rozkaz – „wylazić”. To już koniec, jesteśmy pełni najgorszych myśli. Wychodzimy. Lotnisko jest obstawione zomowcami, milicjantami i psami. O ucieczce nie ma mowy. Gdy wyszliśmy pada następne polecenie – „odlać się”. Jesteśmy zaskoczeni, ale napięcie opada. (...)

Po upływie kilkunastu minut samochód rusza. (...) Ulga – jeszcze nie teraz, jeszcze nas nie wywożą. Poprawia się humor (jeśli w ogóle można o nim mówić). Ok. godz. 7.00 w niedzielę dojechaliśmy do Potulic. (...) Wychodzimy. Otaczają nas klawisze z psami, karabinami i krótkofalówkami. Każą ustawić się w dwuzeregu. Ustawiamy się. Staram się być blisko ojca, by ewentualnie siedzieć razem. Rozglądam się. Widzę na dachu pomieszczeń, z których przed chwilą wyszliśmy zasięki z drutu kolczastego. Przede mną płot wys. 2 do 3 m z siatki drucianej. Jak się okazuje, jest to wewnętrzne ogrodzenie. Dalej widać ustawione w równym szeregu mury baraki. Jest ich 7. (...) Przechodzimy przez furtkę w wewnętrznym ogrodzeniu. Furtka otwierana jest elektrycznie. Pilnujący klawisze prowadzą nas do pawilonu siódmego. W innych przy zakratowanych oknach widać skazanych. Kiwiają do nas, krzyczą byśmy się trzymali. Niektórzy pytają skąd jesteśmy. Ktoś odważniejszy odkrzykuje – „Solidarność” Grudziądz. Dopadają do nas klawisze – każą milczeć. (...) Weszliśmy do baru. (...) Mnie z ojcem kazano iść na piętro do celi nr 44. Byliśmy w niej pierwsi. Drzwi zatrzasnęły za nami, zostaliśmy sami. Nie pozostawało

nam nic innego jak wybranie sobie pryczy do spania. Gdy to uczyniliśmy otworzono drzwi i wprowadzono następnych internowanych, tym razem byli to koledzy z Torunia. (...) W celi 44 zamknięto więc 8 osób: ojca, mnie i Jacka Stankiewicz, Andrzeja Tyca, Witka Przybyłowskiego, Tomasza Kluczyka, Tomasza Niejadlika, Janusza Neumana. Nim jeszcze zdążyliśmy dobrze zapoznać się odezwał się tzw. kolchoźnik, czyli głośnik zamontowany nad drzwiami celi. Usłyszeliśmy dźwięk hymnu narodowego, potem zaczął wystąpienie gen. W. Jaruzelski. (...) W celi panowała przerażająca cisza. (...)

Wszyscy byliśmy zdruzgotani tym co usłyszeliśmy, tym co się stało. W jednej chwili zrozumieliśmy, że stała się druga „Targowica”. Generał zdradził swój naród, a Rosjanie naszymi rękoma załatwiają swe imperialistyczne interesy. Najbardziej przykre było to, że zbrodnię tę Jaruzelski uzasadniał powołując się na interes narodu i dobro całej Ojczyzny. (...) Po wysłuchaniu przemówienia, gdy nieco otrząsnęliśmy się z szoku podeszliśmy do zakratowanego okna. (...) Koledzy z innych cel zaczęli krzyczeć przez okna i w ten sposób mogliśmy się porozumieć i wstępnie ustalić, kto jest i w której celi został zamknięty. Zaczęły powstawać gorączkowo spisywane pierwsze listy internowanych. (...)

Cela, w której zostałem zamknięty, to mała klatka o wymiarach: długość ok. 5 m, szerokość ok. 4 m. Patrząc od strony zakratowanego okna, w którym

Koledzy z innych cel zaczęli krzyczeć przez okna i w ten sposób mogliśmy się porozumieć i wstępnie ustalić, kto jest i w której celi został zamknięty. Zaczęły powstawać gorączkowo spisywane pierwsze listy internowanych

były wmurowane stalowe pręty o średnicy 16 mm, jawił się przede mną następujący obraz: po lewej i prawej stronie stały po dwa piętrowe łóżka – jedno za drugim, stykały się ze sobą. Długość łóżek wynosiła ogółem 4 m, przy obu ścianach na tej długości musiało spać 8 mężczyzn. Łóżka te były zaścienione dwoma brudnymi, podartymi prześcieradłami zakrywającymi tzw. siennik – materac wypchany kawałkami materiału i gąbki. Prześcieradła z kolei były zakryte dwiema ścierami, które kiedyś

były kocami. Do tego należy dodać tylko jaśka – małą poduszeczkę zrobioną z gąbki i już mamy całe nakrycie pryczy, na których przyszło nam spędzać kilkanaście godzin na dobie. Między łózkami stał metalowy stół z drewnianym blatem. Wokół niego ustawić można było też metalowe taborety z drewnianym siedzeniem. Przy takim ustawieniu nie było już miejsca na przejście między łózkami na drugi koniec celi. Patrząc dalej, po lewej stronie za łózkami widniała drewniana balustrada wys. 0,5 m, za którą znajdowała się metalowa ubikacja. Cela była skanalizowana co stanowiło wyjątek w porównaniu z innymi blokami – tam zamiast ubikacji stały wiadra. (...) Tuż przy ubikacji zamontowany był zlew z bieżącą zimną wodą. Na wprost ubikacji na przeciwnej stronie wisiały dwie szafki, przedzielone – każda z nich – na 4 części (...). W schowkach tych przechowywaliśmy żywność. Na szafkach natomiast składaliśmy nasze naczynia – czyli cynową głęboką miszkę, talerz płaski, kubek i łyżkę. (...)

Gdy przyjechaliśmy do obozu oczywiście o kąpeli lub umyciu się w ciepłej wodzie nie było mowy. Od administracji więzienia dostaliśmy po kostce szarego mydła na miesiąc i dwa ręczniki. Miało ono starczyć do mycia i prania bielizny, w której przecież chodziliśmy i spaliśmy całą dobę. Nikt z nas nie miał nic na zmianę, a o szczoteczce do zębów i paście przez pierwsze dni nie było mowy. (...) Pierwszą kąpiel odbyliśmy po ok. 8 dniach. (...) Po kąpeli co tydzień były wymieniane ręczniki, a co dwa tygodnie wymieniano nam posćciel. (...)

Po kilkunastu dniach zaprowadzono nas do lekarza. Zostaliśmy poddani ogólnemu przebadaniu i prześwietleniu klatki piersiowej. Założono nam karty zdrowia. A jak działała medyczna służba więzienna? (...) Kiedyś kolega z celi, Zbigniew Gedowski dostał ataku nerek. Zgłosiliśmy ten nagły wypadek lekarzowi. Lekarz jednak nie przyszedł przez kilka dni. Przysłał jedynie więźnia, przyuczonego sanitariusza, który podał jakieś tabletki. (...) Mnie z kolei trawiła przez 2 tygodnie wysoka gorączka, poszedłem do lekarza. Otrzymałem aspirynę, o resztę nikt już się nie martwił. Pewnego dnia, kiedy byłem bliski omdlenia (nabawiłem się w obozie nerwicy serca), po energicznym waleniu do drzwi celi i upływie kilkunastu minut koledzy zaprowadzili mnie do lekarza. Zbadał mnie pobieżnie i przepisał relanium. (...) Wyjątek wśród lekarzy stanowiła dentystka, która (...) okazała nam wiele tak potrzebnego ciepła i serdeczności. Ona też rzetelnie leczyła nasze zęby. W chwilach szczególnie trudnych była naszym łącznikiem ze światem zewnętrznym – przносиła grypsy (...) Do obowiązków lekarzy należało także kontrolowanie przyrządzanych dla nas posiłków. Z całym naciskiem mogę

► stwierdzić, że takiego jedzenia jakie serwowano nam w Potulicach nie życzyłbym nawet wrogowi. Lekarz dyżurny jednak twierdził, że posiłki są smaczne, kaloryczne, a więc niczego nam nie brakowało. (...)

Po „smacznym” i „estetycznym” podanym posiłku czekała internowanych następna przyjemność. Był nią początkowo półgodzinny, a po około 3 tygodniach pobytu w obozie jednogodzinny spacer. (...) Z łaźni i magazynów wydobywały się nieprzyjemne wycieki, które później stały się powodem konfliktu między nami a służbą więzienną. Miejsce spacerowe nie było utwardzone, a więc w dniach odwilży brnęliśmy w rozrobionym przez poprzednie grupy spacerowiczów błocie. Czasami zdarzało nam się podbiegać do okien wspomnianych budynków i podać skazanym kilka papierosów. Za papierosy lub herbatę otrzymywaliśmy drut do tzw. „betoniarek”, czyli maszynek do grzania wody. (...) Spacerującą grupę pilnowali klawiszarze. Byli oni rozstawieni w rogach prostokąta (...) uzbrojeni byli w karabiny, mieli krótkofalówki i psy. (...) Przeciwno takiemu upokarzającemu traktowaniu buntowaliśmy się – nie jesteśmy przecież zbrodniarzami. Jednak sprzeciwy i protesty nie pomagały. Jedyne skutki to takie, że zmieniono nam trasę spacerów. (...)

Obóz był o pow. ok. kilku ha. Mieściło się w nim ok. kilkuset więźniów (dane od skazanych odbywających karę w Potulicach). Otoczony był potrójnym ogrodzeniem. (...) Wewnątrz obozu ustawiono baraki. (...) Baraków było 7. Opodal pawilonów znajdowały się dwie fabryki.

Po „smacznym” i „estetycznym” podanym posiłku czekała internowanych następna przyjemność. Był nią początkowo półgodzinny, a po około 3 tygodniach pobytu w obozie jednogodzinny spacer

W jednej wyrabiano części rowerowe, w drugiej meble. Obok fabryk były pawilony przeznaczone na kuchnię, magazyny, pralnię, łaźnię i piekarnię, stajnie dla koni i szkołę dla uczących się w szkole zawodowej więźniów. Do całości opisu należałoby dodać rozmieszczone na wieżach wartowniczych potężne reflektory, którymi w nocy systematycznie oświetlano teren obozu. (...) Pawilon,

w którym przebywaliśmy był zamykany na stałe, korytarze były przedzielone żelaznymi kratami. Cele natomiast zamykane były na klucz i dwie potężne zasuwki. Gdy wyobrazimy sobie całość tego pobieżnego opisu, rodzi się praw-

Domagaliśmy się wobec takiego stanu rzeczy przedstawienia nam dekretu RP o stanie wojennym i aktu o abolicji. Oczywiście i te akty „prawne” nie zostały nam przedstawione

dziwy obraz obozu koncentracyjnego, w którym to przyszło mi spędzić 82 dni.

Po przybyciu do obozu napisałem prośbę do naczelnika więzienia, (...) o przedstawienie mi na piśmie regulaminu dla internowanych (...) Regulaminu takiego nikt nie miał. Naczelnik (...) przysłał do naszej celi regulamin dla tymczasowo aresztowanych twierdząc, że jest on dla nas obowiązujący. Stanowisko takie było oburzające (...). Wraz z Jackiem Stankiewiczem skierowaliśmy pismo do komendanta (...), w którym stwierdziliśmy, że regulamin dla tymczasowo aresztowanych odrzucamy i nie będziemy się do niego stosować, a ze swej strony zaproponowaliśmy mu wspólne opracowanie regulaminu dla internowanych. (...) Oczywiście pismo pozostało bez odpowiedzi. Domagaliśmy się wobec takiego stanu rzeczy przedstawienia nam dekretu RP o stanie wojennym i aktu o abolicji. Oczywiście i te akty „prawne” nie zostały nam przedstawione.

Wobec tego wspólnie z Jackiem opracowaliśmy tzw. analizę w/w aktów prawnych. Analiza była oparta o wiadomości docierające do nas z radia i z zewnątrz. W opracowaniu swym stałem na stanowisku, że dekret RP o stanie wojennym jest bezprawiem i jawnym pogwałceniem naszego stanu prawnego, w tym konstytucji. Dowodziłem ponadto, że internowanie nas jest również bezprawne. Tak szerokiej prewencji by podejrzewać kogoś, że w przyszłości wejdzie ktoś w konflikt z prawem nie zna żadnego cywilizowanego państwa Europy (...). Opracowanie powyższe stało się wstępem do ożywionych dyskusji i szerokiej korespondencji między internowanymi. (...)

Analizy i prognozy nadchodziły prawie we wszystkich celach. Były różne. Zważywszy, że na początku internowania było nas 176 osób, można sobie wyobrazić jaką różnorodność opracowań krą-

żyła po obozie. Do tego wszystkiego zaczęły ukazywać się regularne pisma i gazetki. (...) I tak regularnie ukazywało się „Wolne Słowo”, „Nowości”, „Indeks z za krat” i w późniejszym czasie codzienny serwis informacyjny PAP, czyli Potulickiej Agencji Prasowej, oddziału krajowego Radia Wolna Europa. PAP był redagowany w oparciu o codzienny nasłuch wspomnianej rozgłośni. Umiejscowienie radia i sposób jego nasłuchu niech pozostanie tajemnicą. Dodatkowo też istniała systematyczna łączność ze światem zewnętrznym (...). Z zewnątrz otrzymywaliśmy podziemne biuletyny „Solidarności” z różnych regionów Polski. (...)

Zaraz po przybyciu do Potulic przystąpiliśmy do wydrążenia przy pomocy noży dziur w ścianach. Dziury były wydrążone w miejscu, gdzie przechodziły rury od centralnego ogrzewania. (...) Góra z dołem porozumiewała się inaczej. Pukało się odpowiednio w podłogę lub sufit, a po odpukaniu z góry zjeżdżała tzw. „chabeta” czyli pudełko od zapalek przywiązane na sznurku. Do pudełka, które zwisało przy oknie wkładało się gryps. Dodatkowym, nadzwyczaj ważnym, potrzebnym i integrującym nas sposobem porozumiewania się było codzienne o umówionej porze przy otwartych oknach wspólne odmawianie modlitwy „Ojcze nasz” i odśpie-

Zaraz po przybyciu do Potulic przystąpiliśmy do wydrążenia przy pomocy noży dziur w ścianach

wanie hymnu narodowego. Ponadto w niedzielę w ten sam sposób dodatkowo śpiewaliśmy „Rotę” i „Boże coś Polskę”. Takie postępowanie wywierało piorunujące wrażenie na pilnujących nas strażnikach. Początkowo starali się zmusić nas do zaprzestania takich praktyk. Jednak po bezskutecznych próbach zastraszenia nas przestali interweniować. Przykładem represji za wspólne, publiczne śpiewanie hymnu było osadzenie w karcerze Wieska Cichonia. Zabrał go z celi podczas śpiewu sam komendant Wysocki. Wiesiek otrzymał 7 dni karceru. (...)

Mimo nieotrzymania decyzji o internowaniu, zrobiłem wraz z innymi kolegami odwołanie do ministra spraw wewnętrznych. (...) Oczywiście na odwołanie nikt nie otrzymał odpowiedzi. Natomiast MO 5 stycznia 1982 r. dostarczyła wszystkim decyzje o internowaniu. Zarzut postawiony mi w decyzji był absurdalny. Stwierdzono w niej, że będę mógł w przyszłości szkalować władze polityczne i administracyjne

Mocnym akcentem było odśpiewanie „Boże coś Polskę” na zakończenie mszy. Gdy 170 mężczyzn śpiewało tę pieśń pomyślałem, że rzeczywiście Polska musi istnieć, musi powstać wolna i sprawiedliwa, jeszcze nadejdzie ten upragniony dzień

PRL, a więc trzeba mnie internować. (...)

Służba Bezpieczeństwa odwiedzała Potulice bardzo często. (...) Wzywano kolegów na tzw. rozmowy. (...) Jedni chodzili do nich i rozmawiali, wystrzegając się przy tym by im nic konkretnego nie powiedzieć, inni chodzili do nich tylko po to, by powiedzieć, że nie będą rozmawiać, jeszcze inni w ogóle odmawiali pójścia na przesłuchania. Ja natomiast miałem tylko jedną sposobność rozmawiania z nimi. A były to tak: Przed Wigilią wezwał mnie esbek i pyta, czy chcę z nim rozmawiać? Odparłem, że tak – był tym zaskoczony. Ale po chwili ochłonął i zaczął wywód, że stan wojenny w Polsce był koniecznością. Odparłem mu, że ja nie widzę takiej konieczności, a stan wojenny jest puczem wojskowym i jest niezgodny z prawem. Przesłuchujący zdenerwował się i wyprosił mnie z sali. Po tym incydencie już nie byłem przez nich wzywany, miałem spokój. (...)

W Potulicach byliśmy pozbawieni całkowicie bezpośredniego kontaktu z zewnątrz. Szczególnie uciążliwe było to w pierwszych tygodniach pobytu w obozie. (...) W takiej sytuacji zaczęliśmy domagać się, by odprawiano nam msze św. (...) Gdy zagroziliśmy protestem, sprowadzono po raz pierwszy księdza. Był to proboszcz z Potulic. Proboszcz odprawił mszę św. 23 grudnia w przeddzień Wigilii. (...) Po raz pierwszy wszyscy razem byliśmy w korytarzu więziennym. Wspólnie mogliśmy się modlić i chwilę z sobą porozmawiać, złożyć życzenia. Ksiądz mówił podczas kazania o dobrej nowinie, o narodzeniu Chrystusa, który zwycięża zło, który przynosi światu pokój i wolność. Byliśmy tak wzruszeni, że wszyscy płakaliśmy – proboszcz też. Mocnym akcentem było odśpiewanie „Boże coś Polskę” na zakończenie mszy. Gdy 170 mężczyzn śpiewało tę pieśń pomyślałem, że rzeczywiście Polska musi istnieć, musi powstać wolna i sprawiedliwa, jeszcze nadejdzie ten upragniony dzień. (...)

"Gość" rządu

GRZEGORZ MAJCHRZAK

Lecha Wałęsę internowano na specjalnych zasadach. Nikt go nie wyrwał w środku nocy z łóżka, trafił jako „gość rządu” do złotej klatki, bez większych problemów mogła odwiedzać go rodzina. Mimo wszystko był jednak – podobnie jak inni internowani – po prostu więźniem. Więźniem, z którym prowadzono poufne rozmowy...

Przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Lecha Wałęsę, podobnie jak wielu innych przywódców związku, internowano w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r.

znalazi się „pod ochroną” funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu. W Chylicach Wałęsę w imieniu rządu powitał minister ds. współpracy ze związkami zawodowymi Stanisław Ciosek, który zaproponował mu krótki odpoczynek, a następnie zaprosił na herbatę. I na rozmowę, która – jak relacjonował tego samego dnia na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR miała – pozytywny z punktu widzenia władz – przebieg. Przewodniczący „Solidarności” wydawał się być spokojny i skłonny do daleko idącej współpracy, łącznie z wydaniem oświadczenia dla uspokojenia nastrojów w kraju. A nawet ewentualnej kooperacji w pracach nad przyszłym kształtem „Solidarności” – przywódcy PRL planowali początkowo „odbudować” związek,

pod jego adresem. Jeszcze tego samego dnia zezwolono mu m.in. na dwie rozmowy telefoniczne przez linię rządową – z żoną Danutą i księdzem Henrykiem Jankowskim. Kolejnym gestem wobec niego i ukłonem wobec Kościoła była wizyta u niego w dniu 14 grudnia przedstawicieli Episkopatu Polski – księdza Alojzego Orszulika i biskupa Bronisława Dąbrowskiego.

Dzień później, 15 grudnia 1981 r., Wałęsa został przeniesiony do Otwocka Wielkiego, gdzie – jak się później okazało – miał zostać na dłużej, bo do 11 maja 1982 r. Na jego miejsce trafił natomiast Jan Kulaj. Co ciekawe szef rolniczego związku został w tym przypadku potraktowany lepiej od przewodniczącego robotniczej „Solidarności”, gdyż o swoich przenosinach

klarować z uśmiechem, że „jak zostanie Prezydentem PRL”, to zarobki te „będą sięgały sumy 30 tys. zł”, a także, iż chętnie widziałby w swojej ochronie oficerów BOR, z którymi miał do czynienia po 13 grudnia 1981 r.

16 grudnia przyjechała do niego małżonką z dwójką dzieci. Była to pierwsza z serii jej odwiedzin – według późniejszych wyliczeń MSW do połowy listopada 1982 r. była ona wraz z dziećmi u swego męża dziewiętnastokrotnie, spędzając wraz z nim łącznie 73 dni. Jak wspominała później: „Wyglądał dobrze [...] Pamiętam, jak mówił, że będzie dobrze, żeby się nie denerwować. Był jednak spięty”. Spotkanie to przewodniczący „Solidarności” wykorzystał do przekazania oświadczenia dla podziem-



Jednak nikt nie wyważał drzwi jego mieszkania, ani tym bardziej nie skubał go kajdankami. Nie wyprowadzono go też – jak niektórych opozycjonistów – w pidżamie i kapciach. Został potraktowany – używając dzisiejszego języka – jak VIP i trafił do ośrodka rządowego w Chylicach koło Warszawy, gdzie

dlatego też został on „jedyne” zawieszony, a nie zlikwidowany.

Ponieważ Lech Wałęsa przyjął ugodową postawę, w tym zadeklarował gotowość wystąpienia (jak się można domyślać dla uspokojenia nastrojów w kraju) w Telewizji Polskiej, rządzący zdecydowali się na kilka gestów

dowiedział się jeszcze poprzedniego wieczoru, podczas gdy Lecha Wałęsę poinformowano rano, na kilkanaście minut przed wyruszeniem w drogę. W trakcie jazdy przewodniczący „Solidarności” zainteresował się zarobkami funkcjonariusz BOR, a kiedy poinformowano go, że nie przekraczają one 2 tys. zł, miał zade-

nej prasy. Nawoływał w nim do biernego oporu. „W razie stosowania siły przez wojsko postępujemy tak, aby nie doszło do przelewu krwi. Bądźmy solidarni, pomagajmy sobie wzajemnie, a udowodnimy, że związek istnieje i nadal działa” – pisał ewidentnie pod wpływem krwawej pacyfikacji kopalni „Wujek”.

► Dzień później rano przyjechał do niego wicepremier Mieczysław Rakowski. Do ich spotkania jednak nie doszło. Jak relacjonował po latach na łamach swojej autobiografii Wałęsa, obudzony przez funkcjonariusza BOR i poinformowany, że ma gościa, odpowiedział: „Weź i zrzuć [go] ze schodów, nie będę z nim rozmawiał”, gdyż był rozespany i źle usłyszał nazwisko – nie Rakowski, a Makowski. Niewykluczone, że tak rzeczywiście było – jednak jednemu z borowców „na bieżąco” przedstawił nieco inną wersję: „szkoda, że nie rozmawiałem z Rakowskim, ale byłem wtenczas zmęczony, trzeba było rozmawiać”.

Jeszcze tego samego dnia do Lecha Wałęsy przyjechał osobisty wysłannik Wojciecha Jaruzelskiego. Był nim jego dowódca z okresu obowiązkowej służby wojskowej – Władysław Iwaniec. W trakcie rozmowy z byłym przełożonym przewodniczący „Solidarności” sprawiał wrażenie odprężonego i pewnego siebie – „wodza, który właśnie kończy zwycięską wojnę”, osoby dyktującej warunki. Widoczna była przy tym jego megalomania

Jeszcze tego samego dnia do Lecha Wałęsy przyjechał osobisty wysłannik Wojciecha Jaruzelskiego. Był nim jego dowódca z okresu obowiązkowej służby wojskowej – Władysław Iwaniec. W trakcie rozmowy z byłym przełożonym przewodniczącym „Solidarności” sprawiał wrażenie odprężonego i pewnego siebie – „wodza, który właśnie kończy zwycięską wojnę”, osoby dyktującej warunki. Widoczna była przy tym jego megalomania. „Bardzo wygórowane poczucie własnej wartości”, jak odnotował Iwaniec. Wałęsa spotkanie z nim potraktował jako okazję do negocjacji z władzami. Zgłaszał koncepcje i pomysły, „którymi sypał jak z rękawa”. Ich stałym elementem było istnienie „Solidarności” w kształcie sprzed 13 grudnia 1981 r. Twierdził, że władze w kraju powinny przejąć „trójka”, tzn. Wojciech Jaruzelski, Józef Glemp i on. Przy czym on wraz z prymasem pełniliby de facto jedynie rolę kontrolerów, a nie realnie współrządzących. Miał też proponować – „dla unormowania i rozwiązania sytuacji” – wejście swoje oraz prymasa Głępa do Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, a następnie przekształcenie jej w Radę Cywilno-Wojskową. Za warunki do tego niezbędne uważał uwolnienie internowanych i aresztowanych oraz decyzję Prezydium Komisji Krajowej, które określiłoby „warunki polityczne”

udziału związku we władzy. Z drugiej strony był gotów do ustępstw. Miał wręcz twierdzić: „partia musi te wybory wygrać, sam będę fałszował kartki wyborcze, żeby wygrała”... Według Iwańca nie przyjmował do wiadomości, że stan wojenny zmienił dotychczasowe realia. Miało to do niego dotrzeć dopiero pod koniec rozmowy. W odpowiedzi zaproponował „przeorientowanie” związku – jego odejście od polityki na rzecz spraw związkowych. Tę nową formułę programową przyjęłoby Prezydium KK złożone – jak stwierdzał – z jego ludzi, a następnie zatwierdziła cała „krajówka”. Iwaniec – delikatnie rzecz ujmując – nie był zachwyco-

ny swym rozmówcą i nie spodziewał się przełomu w rozmowach z nim, ale proponował je kontynuować.

Tymczasem 20 grudnia 1981 r. ano „wyraźnie załamany” – przynajmniej w ocenie oficera BOR – Lech Wałęsa rozpoczął swoją pierwszą głodówkę. Nie trwała długo – zakończył ją wieczorem, prosząc przed 22.00 o kolację. „Podano mu baleron, boczek, herbatę, a następnie kaszanke, pasztetową, butelkę wódki „Żytniej” i piwa. Po zjedzeniu kolacji nalał sobie 3/4 szklanki wódki, którą wypił, popijając piwem. O godz. 23.00 poprosił o jeszcze jedną porcję kolacji i termos herbaty, ponieważ jak stwierdził, >>musi odrobić straty wynikłe z głodówki<< – meldowano potem. Na zmianę jego postawy wpływ miała wizyta u niego księdza Orszulika, który (w wyniku uzgodnień z władzami PRL) został wydelegowany, aby odprawić mszę świętą dla niego. Wyraźnie zaskoczony jego przyjazdem Wałęsa zdecydowanie bardziej był jednak zainteresowany rozmową. Był też wyraźnie przygaszony. „Nie ma już tego radosnego uśmiechu na twarzy, jaki mogliśmy jeszcze widzieć w czasie pierwszej wizyty” – odnotował kapelan. Przewodniczący „Solidarności” był, przynajmniej na początku jego wizyty, „wewnętrznie bardzo wzburzony nazywając rządzących bandyta-

mi, z którymi nie będzie rozmawiał”. Po odprawieniu mszy świętej ksiądz Orszulik poinformował go o inicjatywach władz kościelnych i prowadzonych przez nie rozmowach z rządzącymi, w tym o propozycji przeniesienia go na „grunt neutralny”, aby mógł się spotkać z prezydium Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” i doradcami związku, a następnie podjąć negocjacje z władzami. Lech Wałęsa deklarował jednak, że do rozmów nie przystąpi, bo są one potrzebne partii, a nie związkowi. „Wytrzymamy ich jeszcze przez dwa tygodnie. Jesteśmy bliscy zwycięstwa. Oni muszą przyjść na kolanach do nas” – mówił buńczucznie. I dodawał: „oni okazali się bandytami, bo strzelali do moich ludzi”. Jednak w dalszej rozmowie – po przypomnieniu mu, iż „zawsze Pan deklorował, że usłucha głosu Prymasa”, zgodził się na podjęcie rozmów pod dwoma warunkami. Były nimi wydanie oficjalnego komunikatu, że za poręczeniem Episkopatu „wyszedł on z izolacji na teren neutralny” oraz umożliwienie mu kontaktu z doradcami i członkami Prezydium KK.

Chociaż jego warunki nie zostały spełnione, dzień później zgodził się na kolejną rozmowę ze swym byłym przełożonym z wojska. Według Iwańca odbyła się ona w zupełnie innej atmosferze niż poprzednia. Wałęsa był wyraźnie zdenerwowany. Twierdził, że nie może się „pozbiierać” po głodówce. Był wyraźnie zszokowany strzelaniem do górników z kopalni „Wujek” i ofiarami śmiertelnymi. Jak komentował: „nie sądziłem, że się odważycie”. Z drugiej strony miał rzekomo pozytywnie oceniać „ostatnie decyzje personalne – zdejmowanie ze stanowisk administracyjnych”. Oczywiście przedmiotem rozmów była też NSZZ „Solidarność” i jej przyszłość. Lech Wałęsa – jak odnotował wojskowy – „Zainteresował się jednak – w odróżnieniu od poprzedniej rozmowy – przyszłością Związku w jego nowych ramach i warunkach. Zapytał, jaka ewentualnie [=>Solidarność<=<] mogłaby być, że żeby mogła być. Sam sobie najpierw odpowiedział, rysując nieco tylko złagodzony obraz sprzed 13 grudnia”. Poinformowany poprzez swego rozmówcę, że rzekomo jego zdaniem. „Związek może istnieć (pod taką czy inną nazwą) jedynie jako związek zawodowy” miał odpowiedzieć: „co, znowu mamy załatawać rękawice i liczyć kalesony?”. A po wysłuchaniu argumentów Iwańca stwierdził, że „taki Związek go nie satysfakcjonuje i trzeba będzie wrócić do starej formuły, tylko ją poprawić (mniej >>wariatów<< i >>nawiedzonych<<, >>kuroniadę już rozgoniłem, tylko tego fragmentu z Radomia nie puścili<<).” Przyznawał się również do błędu – „trochę za szeroko poszliśmy, to trzeba będzie zmienić”.

Na Wigilię i pierwszy dzień świąt do Lecha Wałęsy przyjechała żona, tym razem z księdzem Henrykiem Jankowskim. Drugiego dnia świąt dołączyli do nich ksiądz Orszulik i biskup Kraszewski. Ten pierwszy po raz kolejny omawiał z Wałęsą kwestię negocjacji z rządzącymi. Szef „Solidarności” stwierdził, iż „jest gotów do tych rozmów, że dziwi się, iż dotąd nikt z władz nie proponuje rozmów, że czeka na rozmowę w najbliższych dniach”. W pewnym momencie nawet zagroził, że jeśli do nowego roku się one nie zaczną, to „on dalej nie będzie siedział w tych pałacach bezczynnie”. Z drugiej strony obiecywał, że zaapeluje do górników z kopalni „Piaś”, aby ci zakończyli swój najdłuższy po wprowadzeniu stanu wojennego strajk. Przywódco PRL zareagowali bardzo szybko – dwa dni później przyjechał do niego po raz kolejny Władysław Iwaniec. Niestety nie znamy przebiegu ich rozmowy. Nie przyniosła ona jednak przełomu.

Z kolei 20 stycznia 1982 r. „gościem” Lecha Wałęsy był Czesław Wojtalik, funkcjonariusz gdańskiej SB zaangażowany od 1980 r. w działania przeciwko „Solidarności”, a wcześniej uczestnik kilku spotkań z tajnym współpracownikiem „Bolkiem”. Jest oczywiste, że celem jego wizyty było wykorzystanie kompromitujących Wałęsę faktów z jego przeszłości, w tym jego wcześniejszej agenturalnej współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Dla przewodniczącego „Solidarności” musiało to być trudne doznanie. Po wyjeździe Wojtalika stał się – co dla niego nietypowe – ponury i zły. Jak raportowali borowcy: „Zwykle przy posiłkach chętnie z nami rozmawiał, żartował. Natomiast w dniu 20.01.[19]82 r. szybko zjadał posiłek i siedł do swego pokoju. Prawie cały dzień (w godz. 13.30-19.00) przestał oparty o parapet okna i spoglądający bezwiednie w bliżej nieokreślą dal”.

Jednak już następnego dnia jego zachowanie miało wrócić do normy. 26 stycznia wręczono Wałęsie decyzję o internowaniu. Odmówił jej podpisania. Natomiast na kopii przekazanej ks. Jankowskiemu napisał krótkie oświadczenie, w którym oskarżył rządzących o oszukanie opinii światowej po wprowadzeniu stanu wojennego stwierdzaniem, że nie jest rzekomo internowany. Ostrzegwał: „Nie byłbym zdziwiony, gdyby władze rozpoczęły teraz kampanię wysuwania absurdalnych oskarżeń pod moim adresem, oskarżeń oczywiście spreparowanych” – co zapewne było „plonem” wizyty Wojtalika. Apelowal przy tym, aby nie dopuścić do wyeliminowania, zniszczenia choćby jednego działacza „Solidarności”, gdyż taka jest właśnie taktyka rządzących. I wzywał: „ani kroku wstecz” wobec władz, gdyż „nigdy nie były i nie będą uczciwym partnerem”.

Creme d'extreme

Ośrodek odosobnienia w Jaworzcu

MARTA MARCINKIEWICZ
Odmiennosc ośrodka odosobnienia w Jaworzcu od innych wyrażała się nie tylko w jego lokalizacji w Ośrodku Wczasowym Dowództwa Wojsk Lotniczych, w pięknej okolicy nad jeziorem Trzebuń w części byłego województwa koszalińskiego, ale przede wszystkim w jednoznacznie sprofilowanym składzie osobowym internowanych. Ulokowano w nim ludzi kultury, intelektualistów, artystów, pisarzy, naukowców, którzy po kilku latach stali się politykami z pierwszych stron gazet. Wystarczy wymienić Tadeusza Mazowieckiego, Władysława Bartoszewskiego czy Bronisława Geremka - creme d'extreme - „śmietanka ekstremy”, jak nazwał ich Janusz Szpotański.

W ośrodku nie było przygnębiającej atmosfery więzienia. Internowanych umieszczono w 2-4 osobowych pokojach, w których miejscami podzieliли się według własnego uznania. Pokoje wyposażone były w sposób typowy dla ośrodków wypoczynkowych: wersalki, pościel, koce, szafki, lustra, stoliki, krzesła, umywalki z ciepłą wodą, w oknach firanki. Internowani otrzymali też radioodbiorniki, które co prawda zostały pozbawione możliwości odbioru fal krótkich, ale znajdujący się wśród nich pracownicy radia i telewizji szybko poradziili sobie z tym mankamentem. Posiłki jedli w stołówce, w której do stołu podawali żołnierze ubrani w kelnerskie stroje. Do dyspozycji mieli serwetki, chleb podany w wiklinowych koszykach, owoce. Internowani mogli przebywać w pokojach innych internowanych, a wychodząc z bloku, wpi-sywali się w dyżurnego. Zdawali sobie sprawę z tego, że znajduje się w miejscu wyjątkowym. Internowany Waldemar Kuczyński nazwał ośrodek „komfortowym obozem dla kilkudziesięciu wybrańców”, a Andrzej Drawicz „dość miękko wyścieranym pudłem”.

Czas wolny internowanych w Jaworzcu wyglądał diametralnie inaczej niż w innych ośrodkach. Większość kontynuowała swoją pracę naukową. Przewadzili seminaria, naukowe konsultacje zewnętrzne, korzystali z biblioteki, która mieściła się w ośrodku, mieli także przywiezione swoje zbiory. Założy-

li obozowy „uniwersytet”, w ramach którego wygłaszali wykłady. Andrzejowi Wernerowi, a po jego zwolnieniu Romanowi Zimandowi, żartobliwie nadano tytuł rektora. Temat potraktowano na tyle „poważnie”, że od 13 do 21 marca 1982 r. ogłoszono zimową przerwę semestralną, ogłaszano też wolne od zajęć „dni rektorskie”. W Jaworzcu internowano 14 członków PEN-Clubu, którzy organizowali regularne spotkania „Pen Clubu w internacie”. Na afiszach zapraszających obok nazwiska prelegenta żartobliwie kaligrafiowano: in prison. Dużym powodzeniem cieszyły się też kursy językowe prowadzone m.in. przez Bronisława Geremka i Andrzeja Bogusławskiego, spotkania dyskusyjne, wieczory poezji, na których swoje wiersze czytali Jacek Bierezin, Antoni Pawlak i Wiktor Woroszyński. Ciekawym pomysłem był teatr kierowany przez internowanego aktora, Macieja Rayzachera. Internowani chodzili na spacerki, które nie miały oznaczonej pory, pisali listy, wydawali pismo „BIJ - Biuletyn Informacyjny Jaworza”, grali w brydża, zapisywali swoje przemyślenia w postaci dzienników bądź pamiętników, kontynuowali twórczość literacką. Korzystali przy tym z odrębnego pokoju nauki. Poza tym uczestniczyli w mszach św. i rekolekcjach prowadzonych przez o. Jacka Salija.

Internowani mieli czystą pościel i lepsze jedzenie, ale sama izolacja była dotkliwa. Pilnujący ich strażnicy oraz dyżurni na piętrach byli uzbrojeni w pistolety maszynowe oraz ostrą amunicję. Pomimo swobody, którą się cieszyli, zdarzały się przeszukania pokoi. Woroszyńskiemu odebrano dziennik i wiersze. Internowani musieli konspirować swoje zapiski. Drawicz notatki celowo sporządzał w języku francuskim, dodatkowo pisząc niewyraźnie, aby w razie wpadki jeszcze bardziej utrudnić ich odczytanie. Historyk Jerzy Holzer protestował przeciwko uniemożliwieniu mu pracy w nocy, przy lampce, którą nakazywano mu gasić. Sytuację internowanych w Jaworzcu skomentował Tadeusz Mazowiecki: „uprzejme więzienie pozostaje więzieniem i nie wolno się nabrać na to, żeby o tym zapomnieć. [...] Zrozumienie tego wszystkiego przychodzi z czasem”. Choć w ośrodku nie było „więziennego stresu”, występowała - jak określiła to Ewa Szczypiorska, żona internowanego literata Andrzeja Szczypiorskiego - „psychoza przymusowej deportacji”. O pojawiającym się wśród internowanych poczuciu przygnębienia świadczą słowa z listu pisarza do żony, w którym stwierdził, że nie widzi dla siebie przyszłości w Polsce i że postanowił emigrować: „Wole-

zamiatać ulice gdzieś na Zachodzie niż tutaj nasłuchiwać nocą stukania do drzwi” - pisał. W opisach tego ośrodka zazwyczaj pomija się takie aspekty jak choćby udrczenie psychiczne, które wydaje się oczywiste, gdy charakteryzuje się inne miejsca odosobnienia. Drawicz, to, co przygniatało internowanych, określił mianem „bezcza-su”: „Zazwyczaj nic dramatycznego się nie działo, spięcia sytuacyjne przychodziły i przemijały i nie one przygnębiały, tylko właśnie owo nic o kolorze szaroburym [...] Cisnął nas nie żaden terror, lecz właśnie ten beczas i każdy moco-wał się z nim, jak umiał”.

Osadzając „tych” internowanych, w „takim” ośrodku, władze miały do zrealizowania określony cel i z powodzeniem to czyniły. Chodziło nie tylko o propagandowe wykorzystanie miejsca, pokazanie społeczeństwu ekskluzywnych warunków, w jakich przebywali, ale również o postawienie ich w kłopotliwej i dwuznacznej sytuacji wobec przebywających w gorszych warunkach robotników. Internowani jednak od pierwszej chwili pobytu w ośrodku zdawali sobie sprawę z nieczystych intencji władz. Halina Mikołajaska mówiła:

Jutro piszę podanie o przewiezienie do Białoleki. To jest perfidne. Oni chcą nas oderwać od robotników i skłócić

„My nie chcieliśmy, by zatrzymać nas w tak pięknym ośrodku. Chcieliśmy być na Łubiance, razem z klasą robotniczą. Nie życzyliśmy sobie takiego luksusu”. Podobnie zareagował Ryszard Rubinsztajn, który tuż po przewiezieniu do Jaworza stwierdzał: „Jutro piszę podanie o przewiezienie do Białoleki. To jest perfidne. Oni chcą nas oderwać od robotników i skłócić. Potem powiedzą: zobaczcie, tamci wylegują się w Jaworzcu, a wyście nadstawiali dupy i teraz gnijecie w więzieniach, i po co wam to było”. Podobne stanowisko zajmował Kuczyński: „Chcą nas poróżnić z robotnikami, rozbroić psychicznie [...] To jest fałszywa sytuacja. Tysiące ludzi zamknięto w podłych warunkach, a tu wysepka komfortu. Pewno na pokaz. Ino patrzeć komisji międzynarodowej”. Równie gorzko pisał Mazowiecki: „[...] wymowa tego jest przejrzysta: różni-

cować i podzielić; oderwać intelektualistów od robotników, uprzywilejować jednych, aby drugich można było łatwiej im przeciwstawić. Cóż to za uprzywilejowanie, nikt nie wybiera sobie rodzaju więzienia, warunki nie zależą od nas - można to sobie powtarzać, a jednak ta smuga cienia padała od początku na naszą sytuację i może o to właśnie chodziło”. Większość reagowała podobnie.

Internowani w Jaworzcu zmagali się zatem z problemem nieznanym w innych ośrodkach odosobnienia, którym była świadomość wyraźnego uprzywilejowania w stosunku do innych. Dlatego 25 grudnia 1981 r. wydali oświadczenie, w którym zaprotestowali przeciwko rażącemu zróżnicowaniu ich sytuacji, podziałowi na lepszych i gorszych internowanych: „Jeśli stworzenie takich samych warunków wszystkim nie jest możliwe, gotowi jesteśmy dzielić los pozostałych naszych kolegów” - deklarowali. Protest został podpisany przez wszystkie 38 osób i skierowany na ręce ministra spraw wewnętrznych. Internowani zbiorowo zabrali głos także w innych sprawach, np. w sprawie złożonej przez rząd propozycji emigracji, którą uznali za pogwałcenie praw człowieka.

W sobotę 22 maja, po kolacji, 42 pozostające w ośrodku osoby otrzymały dwie godziny na spakowanie rzeczy, po czym zostały przewiezione do ośrodka odosobnienia w Darłówek. Zbliżał się sezon letni i żołnierze musieli zdążyć z remontem pomieszczeń dla wczasowiczów, którzy wkrótce mieli przyjechać na urlop. W nowym miejscu, jak pisał Stefan Niesiołowski, „w porównaniu z Jaworzem, nawet uprawianie sportu upadło. Nie mieliśmy do niczego zapala. Skończyły się wielkie dyskusje i spory pierwszych miesięcy, ospale szła nauka języków obcych, na wykłady chodziło się głównie dlatego, że były dziewczyny”. Internowani zostali wyrwani z miejsca, które w jakiś sposób już oswoili. Świadomość, że znaczna część z nich została zwolniona, sytuacja w kraju uległa uspokojeniu, oni zaś, zamiast na wolność, zostali przeniesieni do innego ośrodka, odbierała im energię. Do tego dochodziło odczucie, że na zewnątrz toczy się coraz bardziej normalne życie, a „sprawa internowanych” jakby przycichła. Antoni Pawlak wspominał zaskoczenie, jakie przeżył tuż po zwolnieniu z ośrodka: „Do Warszawy jechałem przez Poznań. To, co tam zobaczyłem, było szokiem. Byliśmy przekonani, że cały kraj walczy, a jak wylądowaliśmy w Poznaniu, to zobaczyliśmy normalne życie, ludzi opalających jak gdyby nigdy nic, pełne knajpy. I pomyśleliśmy, że oni się, k..., dawno poddali, tylko my o tym nie wiedzieliśmy”.

Pacyfikacja

Pobicie internowanych w Kwidzynie 1982 r.

ARKADIUSZ KAZAŃSKI

Ośrodek Odosobnienia dla internowanych na terenie Zakładu Karnego w Kwidzynie został powołany do życia decyzją ministra sprawiedliwości 24 marca 1982 r. Faktyczne funkcjonowanie rozpoczęło się prawie dwa tygodnie później, z dniem 4 kwietnia. Więzienie wybudowane zostało w latach 1976-1977 i mieściło się przy ulicy Lotniczej. Zaplanowane było jako miejsce wykonywania pracy przez osoby skazane – niepełnoletnich i dorosłych na potrzeby największego przedsiębiorstwa w mieście – Zakładu Celulozowo-Papierniczego. Ośrodek strzegło 25 funkcjonariuszy Służby Więziennej. Po gwałtownych wydarzeniach z sierpnia 1982 r. – wzmocniono ochronę obiektu dodając jeszcze 5 strażników. W chwili przybycia do Kwidzyna pierwszych internowanych przebywało w nim ponad 120 więźniów kryminalnych. Aby nie wchodziło z nimi w relacje, ułożono ich w oddzielnych pawilonach. Pierwsze transporty z więźniami politycznymi przybyły do Kwidzyna 5 kwietnia 1982 r. Przerzucano doń przetrzymywanych wcześniej w likwidowanych jednostkach w Gębarzewie, Ilawie, Lublinie, Łowiczu, Mielęcinie, Suwałkach i Włodawie. Po trzech miesiącach, w sierpniu – stan osobowy ośrodka osiągnął maksymalną ilość – 241 internowanych.

Można powiedzieć, że internowani w Kwidzynie do momentu pacyfikacji z 14 sierpnia cieszyli się dużą swobodą i złagodzeniem rygoru. Korzystali z warunków znacznie odbiegających od panujących w zakładzie zamkniętym. Do tego stopnia, że więziony tam Mirosław Duszak swój pobyt nazywał nawet „miniwczasami”. Poznał tam tajniki gry w tenisa i co ciekawe nagrał wspólnie z innymi „politycznymi” kasetę magnetofonową z patriotycznymi piosenkami. Duszak czuł się swobodnie na tyle, że nie przejmował się specjalnie zasadami obowiązującymi więźniów. Z raportów komendanta obozu możemy przeczytać, że w czasie przebywania w Kwidzynie: „sprawiał wiele kłopotów wychowawczych, nie przestrzegał ustalonego porządku dnia i nie wykonywał poleceń służbowych”. Z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy założyć, że podobną buntowniczą postawę prezentowali inni „polityczni”. W czasie internowania pielęgnowali także patriotyczne postawy i pamięć o ofiarach stanu wojennego.



Trzynastego dnia każdego miesiąca organizowali symboliczne manifestacje.

Kolejnym owocem dosyć liberalnej postawy władz ośrodka była wydawana zgoda komendanta Stefana Mikołajczyka na prośbę internowanych o przedłużenie widzeń. Zwykle dochodziło do nich raz w miesiącu i trwały godzinę. Wydaje się, że władze ośrodka nie żywiły do internowanych wrogich zamiarów, bowiem w lipcu poszły jeszcze bardziej „na rękę” ich oczekiwaniom. Komendant zgodził się, aby w związku z coraz większą liczbą osadzonych, widzenia odbywały się zbiorowo, zarówno na sali widzeń, jak i na sąsiadującym z nią placu. Nieoczekiwanie dla niego, już pierwsze widzenie w nowej formie 7 sierpnia, przyniosło bolesny cios. Jeden z internowanych – Mirosław Andrzejewski korzystając z zamieszania, wyszedł w towarzystwie swojego brata przez bramę główną z ośrodka. M.in. na skutek spóźnionej akcji poszukiwawczej (zgłoszenie dopiero po pięciu dniach) nie udało się go odnaleźć.

Upokorzony i zawstydzony Mikołajczyk wycofał zgodę na zbiorowe widzenie, które zaplanowane było na następny dzień – niedzielę 8 sierpnia. W sprzeci-

wie osadzeni śpiewali patriotyczne pieśni, uderzali sztucami w naczynia oraz skandowali „wpuścić rodziny”. Nacisk okazał się skuteczny – komendant po raz kolejny ugiął się pod presją. W konsekwencji więźniowie polityczni czuli się w ośrodku coraz pewniej. W kilka dni później – 13 sierpnia doszło do comiesięcznych obchodów patriotycznych. W dużo bogatszej oprawie niż dotychczas. Rozpoczęto apelem poległych, potem minuta ciszy. Odśpiewano Mazurek Dąbrowskiego, Boże coś Polskę. Na obozowe maszty oświetleniowe wciągnięto flagi narodowych przewiązane czarną wstążką. Wywieszony nawet został transparent „Solidarność”. Władze obozowe spokojnie przyjęły przebieg uroczystości, o czym możemy przeczytać w jednym z raportów: „zakłóceń porządku nie zanotowano, nie stwierdzono wrogiego stosunku do strażników. Służba Więzienna nie interweniowała, flagi zostały usunięte po zakończonym spacerze”.

Zdaje się, że wydarzenia z 13 sierpnia i bierność załogi obozu zdecydowały o losie dotychczasowego komendanta. Jeszcze tego samego dnia, decyzją dyrektora Okręgowego Zarządu Zakła-

dów Karnych w Olsztynie plk Romana Topolskiego, został on zdymisjonowany. Jego miejsce zajął kpt. Juliusz Poblócki, do tego momentu Zastępca Naczelnika ZK w Sztumie. 14 sierpnia nowy naczelnik rozpoczął urzędowanie od cofnięcia zgody na zbiorowe widzenia. W reakcji internowani w liczbie około 150 osób swoim zwyczajem podnieśli protest – uderzali sztucami w naczynia, wznosili okrzyki: „wpuścić rodziny”. Z czasem zaczęli skandować hasła patriotyczne i antykomunistyczne.

Z minuty na minutę wzrastało napięcie. Prowadzone negocjacje trójki przedstawicieli internowanych z komendantem zakończyły się fiaskiem. Część z nich (około pięćdziesięciu) powodowana złością, po przecięciu siatki zabezpieczającej dostała się na tzw. pas śmierci w bliskim sąsiedztwie bramy głównej. Pozostali więźniowie z obawą obserwowali rozwój zdarzeń. W międzyczasie, do Kwidzyna przybyło 22 funkcjonariuszy specjalnej jednostki Służby Więziennej ze Sztumu. Gotowych do siłowej pacyfikacji pelżającego buntu. Razem z 30 funkcjonariuszami KM MO w Kwidzynie zepchnęli protestujących do pawilonów. Poza kilkoma przypadkami odby-

ło się to bez większych obrażeń wśród więźniów. Wydawało się, że po zapędzeniu internowanych do środka, cała akcja pacyfikacyjna została zakończona. Tak się jednak nie stało.

Wkrótce potem kilkuosobowe grupy uzbrojonych w pałki funkcjonariuszy rozpoczęły przeszukiwanie cel, nie szczędząc przy okazji bolesnych razów ich gospodarzom. Akcją dowodził por. Tadeusz Jórkiewicz. Około godziny 12.40 rozpoczęto wyciąganie internowanych z cel i poprzez tzw. ścieżki zdrowia prowadzono do świetlicy. Tam miała miejsce rewizja i spisywanie danych. Droga powrotna do cel ponownie prowadziła między ustawionymi po obu stronach agresywnymi funkcjonariuszami. Bicie zakończyło się około godziny 14.00. Wiadomość o pobiciu lotem błyskawicy przedostała się za mury więzienia. O sprawie informowały rodziny więzionych obecne w trakcie zejść po drugiej stronie ogrodzenia. 15 sierpnia na temat bicia mówili kapłani w kilku miejscowych kościołach, a parę dni potem zagraniczne rozgłośnie radiowe.

Trudno jest jednoznacznie podać liczbę skatowanych osób. Według różnych szacunków liczba zgłoszonych pobi-

tych osób mieści się między liczbą 44 (taką wartość podawał biegły procesowy dr Józef Kogut), a 52 (dane Prokuratury Garnizonowej w Elblągu). Trzeba przyznać, że większość z pobitych nie była mocno poobijana. Lekarz Wojciech Kowalczyk, który dokonywał diagnozy na izbie przyjęć tak opowiadał: „Oni byli poobijani, jednak zewnętrzna skala pobicia nie była przerażająca. Poza dwoma, trzema przypadkami – opisałbym te uszkodzenia narządów ciała jako nieprzekraczające czasu leczenia przez więcej niż siedem dni”. Wśród najczęstszych obrażeń rejestrowano: „podbiegnięcia krwawe okolicy pleców, barków, pośladków i ud”.

Pobici internowani nie zamierzali „odpuścić” sprawy katowania. Na skutek złożonych zawiadomień o popełnionym przestępstwie, 15 września 1982 r. prokuratura wojskowa w Elblągu rozpoczęła śledztwo. Skrupulatna praca śledczych sprawiła, że pod koniec 1982 r. postawiono zarzuty popełnienia przestępstwa ośmiu funkcjonariuszom. Nie oznaczało to jednak ukarania winnych. 16 sierpnia 1983 r. Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni opierając się na opinii prokuratora umorzył postępowanie. Śledczy

w swoim wniosku nie ukrywał faktu nadużycia przez funkcjonariuszy środków przymusu bezpośredniego. Jednak uznał, że pobici sami sobie byli winni: „Działanie wszystkich wymienionych funkcjonariuszy pozostaje w ścisłym związku z akcją protestacyjną internowanych, która ze względu na swe nasilenie graniczyła z buntem. Nie ulega więc wątpliwości, że internowani w znacznym stopniu przyczynili się do późniejszego przekroczenia przez funkcjonariuszy przysługujących im uprawnień w zakresie użycia środków przymusu, a zwłaszcza siły fizycznej”.

Niejako w zemście za podniesienie sprawy, Prokuratura Wojewódzka w Elblągu postawiła zarzuty 7 internowanym. Wszyscy zostali aresztowani. Proces pobitych w Kwidzynie, nazywany „elbląskim”, trwał do maja 1983 r. Składowi sędziowskiemu przewodniczył Alfons Wierzbicki. Stronę oskarżycielską reprezentowali: prokurator wojewódzki Antoni Dykowski, wiceprokurator wojewódzki Boguchwał Tomczak oraz prokurator Waclaw Matuszewski z Olsztyna. Na ławie oskarżonych zasiadli: bracia Andrzej i Zygmunt Goławscy, Andrzej Bober, Mirosław

Duszak, Władysław Kałudziński, Adam Kozaczyński, Radosław Sarnicki. Ich interesów bronili najlepsi wówczas adwokaci kojarzeni z opozycją: Władysław Siła-Nowicki, Jacek Taylor, Tadeusz Kilian, Piotr Andrzejewski. Wszyscy obrońcy byli wspomagani finansowo przez ks. Henryka Jankowskiego. Po haniebnym procesie, podczas którego szczególnie negatywną rolę odgrywał sędzia Alfons Wierzbicki, 23 maja 1983 r. Sąd Wojewódzki w Elblągu uznał oskarżonych winnymi zarzucanych im czynów i skazał na wyroki więzienia od roku do dwóch lat pozbawienia wolności. Kary były jednak stosunkowo łagodne, gdyż jeszcze tego samego dnia skazani znaleźli się na wolności. Zdecydowano o ich wypuszczeniu do czasu uprawomocnienia się wyroku. Po kilku miesiącach 17 sierpnia 1983 r. sąd w Elblągu zastosował ustawę o amnestii. Dopiero w 1991 r. Sąd Najwyższy poddał kasacji wyrok i uniewinnił wszystkich skazanych.

Opracowane na podstawie: Sprawa kwidzyńska. Internowanie, pobicie, proces 1982, tekst K. Nawrocki, wybór i oprac. materiałów K. Lisiecki, współpraca T. Żuroch-Piechowski, Gdańsk-Kwidzyn 2012.



Zwykły internat

Ośrodek odosobnienia w Rzeszowie - Załężu

GRZEGORZ WOŁK

Do momentu wprowadzenia stanu wojennego Załęże, będące dzielnicą Rzeszowa, było jednym z wielu miejsc na mapie. Nieliczni kojarzyli, że znajduje się tam więzienie. Załęże zdobyło złą sławę po podjęciu przez władze decyzji o ulokowaniu wewnątrz tamtejszego aresztu śledczego ośrodka odosobnienia. Przyznać trzeba, że była to zdecydowanie negatywna „reklama”.

Więzienie w Załężu było jedną z najnowocześniejszych placówek penitencjarnych w PRL. Budowę rozpoczęto jeszcze w 1973 r., a zostało oddane do użytku dopiero w grudniu 1980 r. Zastąpiło cieszący się złą sławą rzeszowski Zamek, w którym przetrzymywano podczas II wojny światowej więźniów gestapo, a komuniści więzili tam uczestników konspiracji niepodległościowej. Pomimo, że Załęże w grudniu 1981 r. było bodajże najnowocześniejszym aresztem śledczym w całym PRL, to jednak już po pierwszych dniach pobytu internowanych okazało się, że wymaga on remontu podstawowych urządzeń sanitarnych.

Rzeszów-Załęże pełnił funkcję ośrodka odosobnienia od 13 grudnia 1981 r. do 23 września 1982 r., z „wakacyjną” przerwą między 8 lipca a 3 sierpnia 1982 r. Komendantem ośrodka został naczelnik miejscowego aresztu śledczego major Włodzimierz Kroczyk, którego zastępował major Mieczysław Bajda. Podlegało im łącznie 128 funkcjonariuszy, z czego 86 w dziale ochrony. Przez okres funkcjonowania tego „internatu” przeszło przez niego 828 internowanych działaczy związkowych i opozycjonistów. Kilkanaście osób przebywało tutaj dwukrotnie. Umieszczono ich w pawilonach nr II, III i IV, zlokalizowanych na pierwszym i drugim piętrze aresztu.

Pierwszą grupą więzionych byli działacze i opozycjoniści z terenu dawnych województw: rzeszowskiego i tarnobrzezkiego. Dość szybko, bo z końcem grudnia 1981 r., dołączyli do nich internowani z Małopolski. Przewieziono ich z Ośrodka Odosobnienia w Nowym Wiśniczu, który został z powodu fatalnych warunków sanitarnych zlikwidowany. Spośród grona internowanych w Załężu moż-

na wymienić m.in. przewodniczących regionów (Antoniego Kopaczewskiego, Stanisława Krupkę), działaczy opozycji przedsierniowej (m.in. Aleksandra Gleichgewichta) czy osoby związane z opozycją dopiero w latach 80. (m.in. Jana Marię Rokitę, Radosława Hugeta, Konstantego Miodowicza). Przebywał tutaj także jedyny internowany prokurator Stefan Śnieżko.

W każdym z oddziałów znajdowało się po 35 cel o powierzchni ok. 15 m², przeznaczonych dla 4-6 osób, cztery cele dwuosobowe oraz dwie duże dla kilkunastu osób. W każdym pawilonie umieszczono karcer i świetlicę. W odróżnieniu od większości ośrodków odosobnienia dochodziło tutaj do konfliktów internowanych z więźniami kryminalnymi. W raportach służby więziennej pojawiały się nawet informacje o rękoczynach pomiędzy obiema grupami. W tym kontekście warto przypomnieć, że to w Załężu został skatowany ze skutkiem śmiertelnym 47-letni Mieczysław Rokitowski. Zatrzymany 21 marca 1982 r. w Przemysłu i za posiadanie jednej ulotki (!) został przewieziony do aresztu śledczego, gdzie pobił go współwięźniowie.

Ośrodek był dobrze zabezpieczony przed próbami ucieczek, ogrodzony wysokim murem, a spaceriak był od góry pokryty siatką. Zdarzały się przypadki utrudniania wizyt rodzinom internowanych czy księżom i biskupom, którzy zjawiali się tutaj z pomocą duszpasterską i darami. Internowanych odwiedzili m.in. biskupi Jerzy Ablewicz, Tadeusz Błaszkiewicz, Józef Guca, Franciszek Macharski czy Albin Małyśiak. Komunistyczne władze konsekwentnie odmawiały natomiast wizyty miejscowemu arcybiskupowi Ignacemu Tokarczukowi, który był odbierany jako jeden z najbardziej nieprzejednanych przeciwników władz w całym Episkopacie.

W Załężu, podobnie jak w innych ośrodkach, powstała sprawnie działająca struktura samokształceniowa. Organizowano wykłady z różnorodnej tematyki (tzw. wszechnica), korzystając z potencjału samych internowanych. Tworzono również dzieła rękodzielnicze. Najbardziej znanym jest obraz Matki Boskiej Załęskiej, ofiarowany Janowi Pawłowi II podczas pielgrzymki do kraju w czerwcu 1983 r. Wydawano podziemną prasę i ulotki. To tutaj powstały takie tytuły jak m.in. „Nasza krata”, „Wolny Głos”,

„Z jednej celi”, „Komunikat”, „Internowany'81”. Rozwinęła się także tzw. poczta internowanych, posiadająca niekiedy duże walory artystyczne.

Internowani wielokrotnie protestowali, zwłaszcza w pierwszych tygodniach stanu wojennego. Barykadowali się w celach, uszkadzali drzwi uniemożliwiając ich zamknięcie, odmawiali wykonywania poleceń strażników, grupowo śpiewali pieśni patriotyczne oraz modlili się. Podjęli także kilkanaście najbardziej radykalnych protestów – głodówek. Jednak najbardziej spek-

W Załężu, podobnie jak w innych ośrodkach, powstała sprawnie działająca struktura samokształceniowa

takularnym protestem w Załężu był ten z lipca 1982 r., kiedy to zamknięci w celach przebili się przez ściany pomiędzy celami. W tym przypadku pacyfikująca internowanych służba więzienna nie użyła przemocy, co jej się wcześniej zdarzało. W styczniu 1982 r. pobito grupę protestujących, w której był m.in. niewidomy działacz KPN Zygmunt Łenyk. Przypadków pobić internowanych przez funkcjonariuszy służby więziennej było zresztą więcej. Z kolei pomiędzy marcem a październikiem 1982 r. miał miejsce typowy dla absurdów prawnych PRL tzw. proces śpiewaków. Dowodami były podsłuchane i nagrane przez strażnika więziennego pieśni solidarnościowe. Za ich śpiewanie Krzysztofowi Krzysztofiakowi, Bogdanowi Klichowi, Jerzemu Piekarskiemu i Zbigniewowi Solakowi, wytoczono proces pod zarzutem znieważenia ustroju PRL. Ostatecznie zostali z tego zarzutu uniewinnieni.

Miejscowy ośrodek odosobnienia był także świadkiem wydarzeń szczęśliwych. Doszło tutaj m.in. do niecodziennej uroczystości jaką był ślub udzielony Adamowi Macedońskiemu. Ten sam opozycjonista w czerwcu 1982 r. uciekł z internowania. Nie dokonał spektakularnej ucieczki z samego ośrodka, ale nie wrócił z przepustki i przez

jakiś czas ukrywał się. Podobnych ucieczek „załężaków” było więcej. Podobnie jak on postąpili np. Marian Piłka i Michał Żurek.

Przez cały okres funkcjonowania ośrodka pracę operacyjną prowadziła w nim Służba Bezpieczeństwa. W celach zainstalowane były urządzenia podsłuchowe, które niekiedy były przez internowanych neutralizowane. Funkcjonariusze SB prowadzili także rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze oraz dokonywali pozyskań do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Z uwagi na brak dokumentacji trudno ocenić jak skuteczne okazały się te działania. Wiadomo jednak, że praca operacyjna prowadzona była w Załężu przez cały okres jego funkcjonowania. Prowadzili ją głównie funkcjonariusze rzeszowskiej SB, jednak z uwagi na przebywanie w tym ośrodku znacznej ilości internowanych z innych regionów kraju zjawiali się na miejscu także przedstawiciele innych Komend Wojewódzkich MO, głównie z Krakowa.

Koniec działalności ośrodka odosobnienia w Załężu nastąpił we wrześniu 1982 r. Internowanych zwolniono lub przeniesiono do działających wciąż ośrodków w Uhercach i Kielcach-Piaskach. Miało to miejsce trzy miesiące przed zlikwidowaniem instytucji internowania, a wraz z nią ostatnich funkcjonujących ośrodków. Władzom udało się przez kolejne lata wprowadzić do obiegu propagandową wizję internowań, jak i ośrodków odosobnienia, jako miejsc w których co prawda umieszczano działaczy „Solidarności” i opozycji, ale nie działa się tam im krzywdą. Faktem jest, że do tak drastycznych pacyfikacji jak w Kwidzynie czy Hławie nie dochodziło często. Niemniej jednak ośrodki były w zdecydowanej większości, wzorem Załęża, zlokalizowane w pawilonach więziennych i sami internowani cieszyli się statusem niewiele lepszym niż aresztowani. Spotykały ich szykany, represje i groźby nie tylko ze strony strażników ale także funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Funkcjonowanie ośrodków odosobnienia wciąż pozostaje jednym z najważniejszych ale wciąż mało znanych aspektów wprowadzenia stanu wojennego. Załęże na tym tle jawi się jako miejsce mogące uchodzić za typowe w grupie ponad 50 placówek, w jakich przyszło komunistom internować osoby uznane za przeciwników reżimu.

(Nie)zwykła, ludzka Solidarność

PATRYK PLESKOT

Wprowadzenie stanu wojennego w Polsce wywołało tylko ograniczone reakcje polityczne i nie wstrząsnęło posadami zimnowojennej geopolityki. Wstrzeźliwym postawom polityków towarzyszył jednak fenomen niezwyklej mobilizacji społecznej: na Zachodzie mnożyły się inicjatywy humanitarne, stawiające sobie za cel wspomoczenie Polaków w trudnych chwilach. „Solidarność” została rozbita, ale (nie)zwykła, ludzka solidarność – rozkwitła.

Inicjatywy te wyrastały na gruncie doświadczenia pomocy „Solidarności” w legalnym okresie jej funkcjonowania. Teraz, od 13 grudnia, nabrały masowego charakteru. Pojedynczy ludzie spontanicznie przygotowywali paczki, wspólnie parafialne gromadziły pieniądze i dary, powoływane ad hoc najróżniejsze komitety pomocy organizowały transporty darów, ogłaszano okolicznościowe loterie, koncerty, wystawy, spektakle, a nawet mecze piłki nożnej. Podczas prosolidarnościowych manifestacji zarządzano zbiórki pieniędzy, a na konkretną pomoc materialną decydowały się nawet rządy.

Pomoc przybywała pocztą, ciężarówkami, samochodami, promami. Żywność, leki, ubrania, pieniądze tysiącami drobnych strumieni trafiały – najczęściej za pośrednictwem Kościoła – do różnych regionów kraju, łagodząc (choćby w małym, ale realnym stopniu) trudną szarą rzeczywistość stanu wojennego. Rzeczywistości, która przyniosła nie tylko zdławienie opozycji, ale też drastyczne podwyżki cen.

Reakcje Europy

W najbliższej Polsce Szwecji decyzją władz paczki wysyłane do Polski zostały czasowo zwolnione z opłat. Do akcji zbierania darów włączyły się niemal wszystkie organizacje emigracyjne. Bardzo trudno oszacować wartość tej pomocy, często spontanicznej i nier rejestrowanej. Bardzo popularne w Skandynawii stały się również komitety wspierające „Solidarność” i społeczeństwo polskie, skupiające lokalne społeczności. Można doliczyć się ok. 30 takich komitetów, skupiających w większości rdzennych Szwedów, którzy po prostu chcieli pomóc. Na bezprecedensowy gest zdo-

była się po 13 grudnia 1981 r. królowa sąsiedniej Danii Małgorzata, która po raz pierwszy w historii monarchii duńskiej sięgnęła do własnej szkatuły i przekazała dotację na cele dobroczynne poza granice ojczyzny – do Polski. W Norwegii z kolei najważniejszą rolę odgrywała norwesko-polska inicjatywa Solidaritet Norge-Polen.

Podobnie jak w Szwecji, również w RFN władze zdecydowały się na wyjątkowe posunięcie: zniesienie opłat pocztowych za paczki żywnościowe i ubraniowe wysyłane do Polski. Decyzja Bundestagu w tej sprawie weszła w życie 8 lutego 1982 r.; obowiązywała do 30 czerwca. W tym czasie Niemiecka Poczta Federalna straciła około 77 mln marek planowanych przychodów. Akcja przyczyniła się do znacznego wzrostu liczby przesyłek: przez te pięć miesięcy do Polski wysłano ponad 4,3 mln przesyłek: listów, przekazów pieniężnych i paczek żywnościowych.

We Francji na polu humanitarnym szczególną aktywność wykazywało Stowarzyszenie Solidarité France Pologne, które organizowało transporty całych ciężarówek. Paczki trafiały do parafii, do szpitali, do ośrodków kultury niezależnej. Najważniejszą formą działalności na tym polu była parrainage, czyli akcja adopcyjna, która miała na celu zbudowanie relacji między polskimi i francuskimi rodzinami oraz otoczenie tych pierwszych opieką. Podobne inicjatywy we Francji realizowały również inne, bardzo liczne organizacje społeczne, członkowie wspólnot parafialnych oraz związki zawodowe.

W Wielkiej Brytanii w akcje charytatywne aktywnie włączył się rząd RP na uchodźstwie, podobnie jak polscy księża, np. ks. Krzysztof Kozakiewicz z parafii w Ipswich. Tej formy aktywności nie zaniedbywały największe organizacje prosolidarnościowe: Polish Solidarity Campaign czy Solidarity with Solidarity. Tworzyły się też nowe inicjatywy, np. Friends of Poland (Przyjaciele Polski), Polish Refugee Rights Group czy fundusz „Lifeline to Poland Fund”. Ważną rolę odgrywał fundusz „Food for Poland”: w latach 1980–1984, dzięki szczodrości Brytyjczyków, fundacja wysłała do Polski aż 175 tirów z żywnością, odżywkami

dla niemowląt, lekarstwami i drobnym sprzętem medycznym.

Inicjatywy amerykańskie

Również Polacy w USA ofiarnie zbierali fundusze na wsparcie „Solidarności”. Przeszkodę stanowiła jednak duża odległość. Po wprowadzeniu stanu wojennego zbiórkami pieniędzy zajmowały się praktycznie wszystkie organizacje polonijne, przede wszystkim nowopowstałe komitety solidarnościowe. Aktywne na tym polu były również stanowe oddziały Kongresu Polonii Amerykańskiej (KPA), działacze Stowarzyszenia Polskich Kombatantów oraz ruchu „Pomost”. Nie sposób dziś dokładnie oszacować sum, które zostały faktycznie przekazane do Polski. Oblicza się, że do 1990 r. KPA przekazał do kraju blisko 200 tys. dolarów w gotówce oraz około 750 tys. dolarów w paczkach, lekach, sprzęcie medycznym i innych darach materialnych.

W podobne akcje włączały się także różne inicjatywy polonijne działające niezależnie od KPA. Np. w Filadelfii szczególną aktywność wykazywał ks. Ryszard Hermanowicz i utworzony przez niego Polish Institute of America. Dobrym przykładem jest również Polish Cultural Association of Harrisburg, które 6 lutego 1982 r. zorganizowało specjalny wiec na Kapitolu w Harrisburgu, którego celem było promowanie i wspieranie pomocy humanitarnej dla Polski. Wielkie znaczenie w organizacji pomocy dla Polski i „Solidarności” miały ponadto telewizyjne programy, tzw. teletony, będące połączeniem popularnego programu rozrywkowego ze zbiórką pieniędzy.

Egzotyczna pomoc

Organizowanie akcji humanitarnych na rzecz Polaków po wprowadzeniu stanu wojennego da się zaobserwować również w dalekiej Ameryce Południowej. Ich skalę tłumili poważne niekiedy trudności gospodarcze poszczególnych państw tego regionu, a także ograniczone (w większości przypadków) możliwości samoorganizacji społecznej, wynikające z wewnętrznych restrykcji politycznych. W pomoc humanitarną dla Polski zaangażował się m.in. Klub 44 w São Paulo, powstały jeszcze w 1955 r. Po 13 grudnia 1981 r. klub

organizował koncerty, bale, loterie, z których dochód przeznaczono na potrzeby Polaków w PRL. Wysłano ponadto ok. trzy tony odzieży dla niemowląt. Podobne akcje próbowały organizować ugrupowania polityczne popierające „Solidarność”. Np. 2 stycznia 1982 r. grupa młodych argentyńskich socjalistów, protestująca przed polską ambasadą przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego, zorganizowała specjalny obiad, podczas którego zbierała składki na rzecz Polaków.

W Australii z kolei największe inicjatywy charytatywne były realizowane w ramach dwóch organizacji: kampanii „Help Poland Live” i Związku Wolnych Polaków. W ramach tej pierwszej ubierano do końca 1982 r. blisko 2,2 mln. dolarów. Warto podkreślić, że okrągły milion ofiarował rząd australijski. Z kolei ogólna wartość darów, ofiarowanych przede wszystkim przez Australijczyków niepolskiego pochodzenia w ramach akcji Związku Wolnych Polaków, wyniosła w tym czasie blisko 1,8 mln. dolarów australijskich.

Co ciekawe, w pomoc Polakom z terenu Australii angażowały się inne mniejszości etniczne. Na przykład początku 1982 r. Chorwaci mieszkający w Canberze wyszli z inicjatywą charytatywnego pikniku, w ramach którego zebrali w sumie ok. 3500 dolarów. Przejawy solidarności z Polakami ze strony „narodów ujarzmionych” można zaobserwować również w innych regionach świata. Warto pamiętać o tych międzyetnicznych gestach solidarności.

W Japonii pomoc humanitarną organizował m.in. rząd. W lutym 1982 r. poprzez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża przekazał w formie nadzwyczajnej dotacji sumę 800 tys. dolarów, przeznaczonych na zakup jedzenia i ubrań dla dzieci i osób starszych oraz na zakup sprzętu medycznego. Bardzo dużą rolę odgrywała też rodzina Umedów (na czele z członkiem „Solidarności”, Yoshiho Umedą), od wielu lat blisko związana z Polską. Strumyczki z pomocą płynęły nawet z RPA. Poza artykułami żywnościowymi wysyłano do kraju – drogą morską przez Szwecję – odzież, leki i aparaturę medyczną.

Nie można zapominać, że liczne transporty z darami dla Polski przewoziły nie tylko pomoc materialną. Wykorzystywano je również do przemytu sprzętu i pieniędzy dla opozycyjnego podziemia. Jednocześnie działacze i kierownicy, którzy przyjeżdżali do Polski razem z konwojami, nierzadko w drodze powrotnej zabierali wiadomości i materiały drugiego obiegu, pełniąc rolę pośredników w nielegalnym i niezależnym obiegu informacji. W ten sposób pomoc humanitarna znacznie przekraczała swe pierwotne ramy, oferując nie tylko (niewielką) ulgę materialną społeczeństwu polskiemu, lecz także włączając się we wspieranie zakonspirowanej opozycji i nagłaśnianie jej działań.

Norwedzia a stan wojenny

BJØRN CATO FUNNEMARK

Wprowadzenie stanu wojenny w Polsce zrobiło duże wrażenie na Norwegach. W następnych dniach i tygodniach, nie było również w Norwegii ważniejszego tematu. Fakt, że Norwegia miała wspólną granicę ze Związkiem Radzieckim, nie był oczywiście bez znaczenia, ale Norwedzy śledzili ówczesne wydarzenia w Polsce przede wszystkim dlatego, że sympatyzowali z polskim ruchem wolnościowym i przeżywali to co się w Polsce działo jako coś co było im bliskie i ich dotyczyło. Wydarzenia w Polsce wtedy, można powiedzieć, śledziło całe norweskie społeczeństwo.

Pewna grupa młodych norweskich związkowców zebrała pieniądze i ruszyła samochodem do Polski chcąc poprzeć strajkujących polskich robotników w Stoczni Gdańskiej już w sierpniu 1980 roku. Po powrocie z Gdańska do Oslo, zorganizowali akcję pomocy „Solidarności”. Ich nieformalna akcja przekształciła się w kwietniu następnego roku w organizację Solidaritet Norge – Polen (Solidarność Norwesko-Polska). Solidaritet Norge – Polen (SNP), która do grudnia 1981 roku była obecna w niektórych norweskich miastach, po wydarzeniach grudniowych w Polsce bardzo szybko się rozrosła. Zapisywały się do niej nieustannie nowe związki zawodowe. Już pod koniec stycznia 1982 roku było ich ponad sto. Poza tym w pierwszych miesiącach po wprowadzeniu stanu wojennego powstało bardzo dużo nowych lokalnych oddziałów miejscowych SNP. Latem 1982 mieliśmy już około 60 oddziałów Solidaritet Norge

– Polen (SNP) w całej Norwegii, od Kirkenes na północy przy sowieckiej granicy do Stavanger na południu. Nie były to różne, niezależne od siebie komitety, lecz jedna wielka ogólnokrajowa organizacja zrzeszająca wszystkich.

W naszej organizacji, wokół jednej idei pomocy dla „Solidarności”, współpracowali Norwedzy o najróżniejszych przekonaaniach politycznych, od prawicy do lewicy. Działy kobiety, działali mężczyźni, działali ludzie młodzi i ludzie starsi, choć w przeważającym stopniu ludzie w młodzi. To samo dotyczyło również związków zawodowych. Związkowcy zwracali uwagę na to, że w komunistycznej Polsce wsadzają związkowców do więzień, czy do obozów internowania za przekonania polityczne. Telewizyjne obrazy pokazujące generałów i innych wojskowych przeciwko ruchowi związkowemu, ponure wozy milicyjne i sam fakt internowania około 10 000 związkowców i opozycjonistów zrobili na Norwegach ogromne wrażenie i mobilizowały ich do konkretnych akcji solidarności z Polakami.

SNP była organizatorem demonstracji solidarnościowych z Polską i z

ruchem „Solidarność” w różnych norweskich miastach. W stolicy Norwegii, Oslo demonstrowało kilka dni po wprowadzeniu stanu wojennego w zimnym, ciemnym grudniowym wieczorze z pochodniami i hasłami poparcia dla NSZZ „Solidarność” ok. 5000 ludzi. Pochodził z placu Uniwersyteckiego między Teatrem Narodowym i Uniwersytem w Oslo do Youngstorget, wielkiego rynku przy siedzibie największej norweskiej centrali związkowej LO. Polska piosenkarka Alex, tzn. Aleksandra Naumik-Sandøy, śpiewała hymn Polski na tej, jak na Norwegię, wielkiej demonstracji zorganizowanej przez SNP, ale z poparciem norweskich związków zawodowych i większości norweskich partii politycznych. Wszystkie norweskie partie polityczne z wyjątkiem promoskiewskiej Norweskiej Partii Komunistycznej i socjaldemokratycznej Partii Pracy poparły tę demonstrację.

Podobne demonstracje miały również miejsce w innych norweskich miastach. Wśród nich było Kirkenes przy sowieckiej granicy, gdzie ulicami miasteczka przeszło około 200 norweskich związkowców, działaczy społecznych i miejscowych polityków. Sztandary i plakaty

z poparciem dla internowanych polskich związkowców trzymali tak wysoko, że było je prawie widać po drugiej stronie granicy. Dwieście osób, to brzmi może skromnie, ale miasteczko miało tylko trzy i pół tysiąca mieszkańców, a temperatura wynosiła wtedy minus 20 stopni. Gdzie indziej, jak w Hamar, czy Fredrikstad i w innych miejscach organizowano mityngi zamiast demonstracji.

Z czasem ważniejsze stały się inne formy działalności. Nasz własny biuletyn informacyjny był już od lutego czy marca 1982 roku w coraz większym stopniu redagowany na bazie przychodzących do nas różnymi drogami polskich pism podziemnych, takich jak „Tygodnik Wojenny”, „Z dnia na dzień”, „Obserwator Wielkopolski”. Solidaritet Norge – Polen stała się w ten sposób głównym źródłem wiedzy Norwegów o Polsce, a przede wszystkim dla norweskich dziennikarzy i polityków. Smartfonów jeszcze nie było, a Internetu nikt jeszcze nie wynalazł. Byliśmy my, gdy chodziło o rzetelną i niezależną informację z Polski. I przez nas docierała ona do norweskich massmediów. Bjørn Cato Funnemark, przewodniczący organizacji Solidaritet Norge – Polen w drugiej połowie lat 80.

48 Mandag 14. desember 1981. Nr. 578. Morgenposten, 122. årgang

Hstenposten

Redaksjonen: 0275 9270
 Telefonsentral: 0275 9271
 Abonnementskontor: 0275 9272
 Distribution: 0275 9273
 Forretningskontor: 0275 9274
 Redaksjonskontor: 0275 9275
 Telefonnumre: 0275 9276-9278
 1981. 11. 14. Mandag

Spontan norsk protest til støtte for Solidaritet og folket

Under en spontan punkt-demonstrasjon utenfor den polske ambassade i Oslo søndag kveld ble det drept polske og norske slagere mot fengslingen av Solidaritet-medlemmer og mot et unnlatelsesforbud mot ferie. Mellom 300 og 400 mennesker var møtt frem, og Pål Steigan og Einar Sjøen fra AKP (m-l) fikk komité inn i ambassade og overlevde en protest.

En spontan demonstrasjon utenfor den polske ambassade i Oslo søndag kveld ble det drept polske og norske slagere mot fengslingen av Solidaritet-medlemmer og mot et unnlatelsesforbud mot ferie. Mellom 300 og 400 mennesker var møtt frem, og Pål Steigan og Einar Sjøen fra AKP (m-l) fikk komité inn i ambassade og overlevde en protest.



Mellom 300 og 400 mennesker fant veien til den polske ambassade i Oslo søndag ettermiddag.

Stor demonstrasjon planlagt - Jeg må få ut Tomarz!

På bakgrunn av hendelsen i Polen har Solidaritet Norge-Polen tatt initiativ til en stor demonstrasjon i Oslo torsdag 17. desember kl. 18.00, heller det i en protest mot fengslingen av medlemmer fra Solidaritet Norge-Polen.

Sjette i Solidaritet Norge-Polen medlemmer med i å bli sendt ut av landet på grunn av politisk aktivitet. Dette er en alvorlig sak som gjelder mot et forbud mot ferie.

Fra og med torsdag vil det hver dag bli planlagt demonstrasjoner i bykjernen i Oslo.

Vi ønsker å ha med seg alle som er interesserte i dette spørsmålet. Vi håper at Solidaritet Norge-Polen kan bli et nytt og viktig medlem i den norske arbeiderbevegelsen. Alle vil være velkomne til å delta i demonstrasjonene. Dette er en viktig sak som gjelder mot et forbud mot ferie.

Møtestedet i Oslo: Solidaritet Norge-Polen har holdt møter med i polsk radio. Fra neste torsdag vil alle medlemmer i Solidaritet Norge-Polen møtes på Stortorvet i Oslo kl. 18.00.

Møtestedet i Oslo: Solidaritet Norge-Polen har holdt møter med i polsk radio. Fra neste torsdag vil alle medlemmer i Solidaritet Norge-Polen møtes på Stortorvet i Oslo kl. 18.00.

Dette er den foreløbige siste kontakten Solidaritet Norge-Polen har hatt med Solidaritet i Polen. Et telegram som var første øyeblikk synes fullstendig mangelfullt, men som ikke vil innebære en viktig bane: Reservvolden til trykkmaskiner og kopimaskiner den polske fagforening har motstått fra Norge.

Solidaritet slapper ikke ut i løpet og roder i Polen, men er helt avhengig av selv å trykke og distribuere det tidligere Solidaritet vil ha frem til Solan. Selv om utstyret til dette formålet er som fra flere hauger, er det fortsatt sterkt mangelfullt og mangler og papir – og altså reservvolden.

Dette telegrammet ble mottatt av Solidaritet Norge-Polen i Bergen. Om det lykkes å få sendt fra de nødvendige ressursene er Solidaritet til best åpen spørsmål.

Denne demonstrasjonen i Polen kan bli en viktig begivenhet. Det er viktig at vi får ut Tomarz! Jeg må få ut Tomarz! Jeg må få ut Tomarz!

Denne demonstrasjonen i Polen kan bli en viktig begivenhet. Det er viktig at vi får ut Tomarz! Jeg må få ut Tomarz! Jeg må få ut Tomarz!

Siste livstegn fra Solidaritet

Denne demonstrasjonen i Polen kan bli en viktig begivenhet. Det er viktig at vi får ut Tomarz! Jeg må få ut Tomarz! Jeg må få ut Tomarz!

Siste livstegn fra Solidaritet

SPAR PENGER!

W wojennym stanie



Włodzimierz Cichomski

Co było trzynastego grudnia? Byłem wtedy w mieszkaniu, które wynajmowałem przy ulicy Sandomierskiej. I to była noc z soboty na niedzielę. Miałem taki zwyczaj wtedy, że z przyjacielem Witem Mularczykiem graliśmy w szachy przez telefon, bo rozmowy wtedy nic nie kosztowały. I myśmy namiętnie grali przez telefon w szachy. No i gdzieś tak w połowie partii ten telefon się wyłączył. Czyli stan wojenny przerwał moją partię szachową. No, ale wtedy oczywiście myślałem, że to jest jakaś awaria.

Helena Luczywo

W nocy z dwunastego na trzynastego grudnia postanowiliśmy iść do kina, właściwie chyba pierwszy raz od nie wiem jak dawna, bo na ogół nie mieliśmy czasu. Poszliśmy na „Dreszcze” (Wojciecha Marczewskiego – red.) do kina Luna. I po kinie postanowiliśmy wpaść do pobliskiej siedziby „Solidarności” Regionu Mazowsze, zobaczyć co się dzieje, bo już od kilku dni wiadomo

było, że coś się dzieje. Było widać ruchy wojsk i czuło się, że coś się stanie. No i faktycznie jak przyszliśmy do Regionu, to już zaczęły się powoli rozłączać telefony, teleksy, a potem zobaczyliśmy ZOMO. Wydawało się, że otacza tę „Solidarność” i tam zaraz wejście, więc my, Wittek – mój mąż i ja, zaproponowaliśmy, żeby uciekać. No, ale nikt uciekać nie chciał, oprócz nas. Tam było kilkanaście kobiet i ze dwóch, trzech mężczyzn, wszyscy postanowili stawić czoło temu ZOMO. My z Witkiem przekonywaliśmy, że to nie ma żadnego sensu i jak oni już ruszyli w naszą stronę, to my z Witkiem zbiegliśmy, żeby wyjść tyłem. Jeden z kolegów za nami jeszcze krzyknął: Wchodzą, nie uciekajcie!, ale myśmy tym bardziej uciekli. Zobaczyliśmy, że z tyłu też podchodzi ZOMO i przechował nas dozorca w kamienicy na tyłach budynku „Solidarności”. Obejrzelśmy z okienka w suterenie całe ten atak i jak to się przewalilo, to wyszliśmy. I zaczęliśmy się ukrywać. Następnego dnia poszliśmy pod Region,

bo tam wtedy tłumy się zgromadziły, bo oni może za mało mieli ludzi, i do tej siedziby wchodzili i wychodzili. Dzięki temu udało się bardzo dużo sprzętu rozmaitego wynieść z siedziby „Solidarności” na Mokotowskiej.

Włodzimierz Cichomski

Następnego dnia wyszedłem i od razu wiedziałem, że coś jest nie tak, bo pod kinem Moskwa, czyli na rogu Rakowieckiej i Puławskiej, a Sandomierska to jest następna ulica, stał wóz pancerny, stali żołnierze. No i już wtedy zrozumiałem, co się stało. Ponieważ telefon był wyłączony, żeby dowiedzieć się czegośkolwiek, co się dzieje, kto jest, kogo nie ma, należało chodzić po zaprzyjaźnionych mieszkaniach, żeby po prostu zobaczyć, czy ludzie są w mieszkaniu, co wiedzą, wymienić się informacjami.

Jacek Arct

Pojechałem na Politechnikę, gdzie panował chaos, ale było trochę ludzi. Ktoś w gmachu głównym z komisji

wydziałowej „Solidarności” powiedział: Słuchajcie, trzeba jechać na Mokotowską, bo tam jest trochę sprzętu, może uda się coś odzyskać. No i zawiązała się taka, ad hoc grupka, tam nas było czterech czy pięciu. Kierowca politechnicznej nyski, taki młody chłopak. Absolutnie nie wiem, kto to był, nawet nie pamiętam kto brał udział w tym wszystkim. Pojechaliśmy na Mokotowską pod siedzibę Regionu „Solidarności”, tam już przedtem oczywiście było ZOMO. Wszystko co się dało poniszczyło. Kręciło się tam mnóstwo ludzi, myśmy po prostu weszli do budynku i zaczęliśmy przeglądać, co jest, wynosić. Przede wszystkim sprzęt pod kątem druku. Dopchaliśmy tę nyskę papierem maszynowym. I pojechaliśmy na Politechnikę. Po drodze gdzieś za nami pojawił się, wtedy w ogóle prawie nie było samochodów na mieście, pojawił się duży fiat czyli fiat 125p, z czterema smutnymi w środku. Ślisko jak cholera, oczywiście żadnych opon zimowych nie było wtedy. Zgubić ich się nie udało, ale troszeczkę

► kierowca nasz ich wyprzedził. Podjechaliśmy od strony ulicy Koszykowej pod Politechnikę. Jeden z kolegów wyskoczył, coś powiedział do portiera, który tam w takiej budce stał. Portier otworzył bramę, myśmy wjechali od razu głęboko w teren, portier zamknął bramę i uciekł. I dosłownie ledwie zdążył zamknąć tę bramę, pod bramą pojawił się rzeczony fiat. Faceci wyskoczyli, ale już było wszystko zamknięte, portiera nie było, przez płot nie przechodzili.

Helena Luczywo

Tam, przy placu Zbawiciela, w tym tłumie zgromadzonym pod siedzibą „Solidarności” trochę ludzi pospotałam i żeśmy się razem jakoś spiknęli i zaczęliśmy najpierw robić „Informację Solidarności”, która była jeszcze taką staromodną techniką przepisywana na zielonej bibułce w dziesięciu kopiach, rozpowszechniana z ręki do ręki. A Wojtek Kamiński wysyłał ją na Zachód przez zaprzyjaźnionych konduktorów,

Piotr Kapczyński

Stan wojenny, jak wiadomo, prawie wszystkich zaskoczył. No, mnie też. Miałem szczęście, że mnie ostrzegł Zbyszek Zborowski, któremu przed strajkiem sierpniowym zresztą dałem ulotki związane z panią Anią (Walentyłowicz – red.) do kolportażu. On pracował w MKZcie i jak zobaczyli, co się dzieje, no to ruszyli ostrzegać różne osoby. Część zdążyli, jak mnie, a części już nie. Ja tam nie miałem wątpliwości, że to nie przelewki, bo już chodziły słuchy, że coś się może stać. Mieszkałem w bloku, na wszelki wypadek wyszliśmy przez strych, przez sąsiednią klatkę, bo one były łączone, żeby nie wpaść. Poszedłem od razu, to niedaleko było, tutaj w sąsiedztwie, do drukarni. Tam z trudem dobudziłem drukarzy. Nie wierzyli, uważali że coś ściemniam. Uwierzyli jak włączyliśmy radio i we wszystkich językach mówili o Polsce, bo to była gdzieś piąta rano, czy wcześniej. Pojechaliśmy do Gdyni, do drukarni. Tam żeśmy spotkali Ryśka Pusza. Była taka oczywiście trochę surrealistyczna sytuacja dla nas, że był taki festiwal wolności, okres legalnej „Solidarności”, a tu trzynastego grudnia wojsko, skoty wszędzie i tak dalej. Zastanawialiśmy się, co będziemy robić. No to mówię, no to może coś wydrukujemy?

Włodzimierz Cichomski

Należało konspirować... Skoro za wszystkie działania antypaństwowe grożono karą śmierci, a nie było wiadomo w jaką stronę potoczą się wydarzenia. Przecież w pierwszych dniach stanu wojennego myśmy nie wiedzieli, czy aresztowani, internowani wrócą czy może zostaną skazani na jakieś ogromne kary pozbawienia wolności albo jeszcze coś gorszego. Przecież to

mogło pójść w zupełnie inną dramatyczną stronę.

Czesław Piotr Stańczyk

Złość i chęć do ostrej pracy była o wiele większa po trzynastym grudnia. O wiele większa motywacja. Skąd ona się mogła brać? A no pewnie stąd, że karnawał „Solidarności” dał ogromny apetyt na wolność. I to, że to zostało tak radykalnie odebrane, no to mogło rodzić tylko bunt i opór. I chęć zrobienia czegoś na przekór właśnie, budowania samemu tego co zostało odebrane.

Wit Wojtowicz

W pierwszych dniach stanu wojennego przypominałem sobie, że gdzieś na strychu leżą numery „Horyzontów Techniki” dla dzieci, które pacholeciem będąc czytałem namiętnie. I w jednym z nich był przepis na hektograf dla harcerzy, żeby w harcówce można było różne pisać instrukcje. Zrobiliśmy ten hektograf. Szczerze mówiąc na bazie kleju stolarskiego, nadmanganianu potasu. Nawet wyszło nam kilkanaście ulotek chyba, ale nie tak jak zapewniano, że będzie aż czterdzieści. Wyszło piętnaście czy szesnaście i niekoniecznie najlepszego gatunku, potem zaniechaliśmy tej produkcji.

Wiesław Maciejewski

Piętnastego grudnia poszedłem na strajk, ale chłopcy mnie wyciągnęli ze strajku: chodź budować drukarnię. No to poszedłem razem z nimi i tak to się zaczęło. Pierwszy numer „Solidarności Walczącej” zaczęliśmy chyba siedemnastego albo osiemnastego grudnia. Tytuł wymyślił Waldek Omieciński i on też wpadł na pomysł, żeby w ogóle zacząć robić gazetę. Początkowo była to kartka formatu A4, robiona jeszcze walikiem fotograficznym.

Kornel Morawiecki

Stan wojenny zastał nas lekko przygotowanych, przynajmniej psychicznie, nastawionych na to, że coś takiego może się zdarzyć. Dzięki temu, że rozwiołem „Biuletyn Dolnośląski” w nocy, udało mi się uniknąć aresztowania. Właściwie dlatego, że nie zapalił mi maluch, miałem słaby akumulator. To była mroźna noc i zagadałem się, no i nie zapalił. To było na Krzykach i rano przyszła żona czy kolega przyszedł do niej, żeby mnie ostrzec, bo już byli w moim mieszkaniu, żeby mnie zatrzymać. I w tym mieszkaniu na Krzykach zaraz pierwszego dnia zebrała się taka grupka kilkunastu, może dwudziestu osób, zaufanych. Rozdysponowaliśmy, co mają robić. I pierwsze „Z dnia na dzień” ukazało się czternastego grudnia osiemdziesiątego pierwszego roku. Już rano było kolportowane w zakładach pracy.

Bernard Nowak

Trzynastego grudnia w nocy byłem w Regionie jak to się wszystko działo.

Następnego dnia pojechałem na strajk do Świdnika, gdzie zorganizowaliśmy „Biuletyn” strajkowy. Po rozbiciu strajku, już trochę na zasadzie takiego sprzeciwu i uporu zacząłem bardzo szybko, chyba tydzień po, wydawać tu w Lublinie „Informator”. U mnie w domu został wydrukowany pierwszy w stanie wojennym numer tego „Informatora”.

Tomasz Gugala

W chwili ogłoszenia stanu wojennego byłem etatowym pracownikiem stacji Kraków – Płaszów, jako stypendysta PKP, po ukończeniu studiów na Politechnice Krakowskiej. No więc zacząłem się zastanawiać, co tu robić. Pierwszym działaniem było wypisywanie różnego typu haseł antykomunistycznych na maszynie do pisania, zresztą firmowej, i roznoszenie tych hasełek w ilościach po kilkadziesiąt egzemplarzy po przedsiębiorstwach czy też ławkach kościelnych, aby ludzie czytali i rozumieli, że duch w narodzie nie ginie. Po pewnym czasie, a w zasadzie po kilku dniach zrozumiałem, że w zasadzie to nie ma większego sensu, bo zasięg jest żaden, a ja nie odczuwam z tego powodu jakiejś szczególnej satysfakcji. A zatem pomyślałem sobie, że jeżeli już to robić, to robić trzeba na masową skalę. Pomyślałem sobie: założę pismo. Usiadłem i zacząłem pisać pierwszy numer „Myśli Nie-

internowanych”. Było to osiem stron A5 i te osiem stron A5 jest całkowicie moim autorskim numerem.

Piotr Kapczyński

Przez pierwsze dwa czy trzy miesiące wydawaliśmy „Niezależny Serwis Informacyjny”. Później ten cykl był trochę rzadszy, niemniej raz w tygodniu żeśmy wydawali. Wpadka kolportażu była chyba w marcu. Uznaliśmy, że dla bezpieczeństwa, „Niezależny Serwis” kończymy i zaczęliśmy wydawać pismo „Gdańsk”.

Bogdan Borusewicz

W czasie legalnej „Solidarności” Piotr (Kapczyński – red.) zdecydował się założyć oficynę wydawniczą, poza „Solidarnością” i tą jego inwestycja spowodowała, że w stan wojenny w Gdańsku nie weszliśmy z pustymi rękami. Była już przez niego zrobiona profesjonalna drukarnia na ulicy Sobolowej w Gdańsku-Oliwie. Wynajęte pół willi, był zapas papieru, była olbrzymia obcinarka i był także offset przerzucony jachtem ze Szwecji. Tym jachtem została przerzucona większa ich ilość, m.in. zdaje się dla „Spotkań”. No i oczywiście wiedziałem, że Piotr coś robi, ale zorientowałem się wtedy, kiedy zaczęły się na początku stanu wojennego ukazywać jednokartkowe informacje. Te



jednokartkowe informacje były sygnowane przeze mnie... i słusznie, że on to robił. I słusznie, że nie pytał mnie o zgodę, bo dopiero gdzieś w granicach szesnastego – dwudziestego nawiązaliśmy pierwszy kontakt i okazało się, że Piotr ma, i ekipę i drukarnię, która już działa pełną parą. Wszystko co się ukazywało w Gdańsku wykonywano w tej drukarni i „Gdańsk” – pismo przez niego i jego zespół redagowane i drukowane, oprócz tego znawiono „Solidarność” z lewkami tak zwanymi, „pismo regionu gdańskiego, „Portowca”, „Nasz Czas”, to wszystko było drukowane w tej drukarni naszej.

Andrzej Michałowski, Czesław Nowak

Po strajku, jak myśmy się rozeszli, zbieraliśmy się gdzieś około dwóch tygodni. Już przygotowaliśmy sobie walki, mieliśmy maszynkę spirytusową (powielacz spirytusowy – red.) również, która pracowała na matrycach papierowych i to był pierwszy „Portowiec”. Żeśmy musieli ręcznie zrobić z gumy winietę tego „Portowca” i żeśmy to klepali na działkach pod Kolbudami, na działce u Kazia Pawłowskiego. Później żeśmy otrzymali już jedwab i nylon, nauczone nas robić ramki i już szedł „Portowiec” na sitodruk. Co jest ciekawostką, najlepsza farba sitodrukowa – robiła to

fabryka niejakiego Kulczyka z Poznania, bo on robił pastę BHP. I myśmy do tej pasty BHP, oczywiście przez jedwab, przez pończochę damską trzeba było to przecisnąć, bo te kryształki mogły pociąć nylon. To się wszystko przecierało i dodawało się pigmentu. Tak, że te pierwsze „Portowce” były właśnie od wałka, poprzez sitodruk. I dopiero później już na maszynach offsetowych.

Leszek Jaranowski

Nikt z nas nie był drukarzem. Ja też nie byłem drukarzem z wykształcenia. Na szczęście miałem smykałkę techniczną. Zacząłem kombinować, trochę jak koń pod górę, ale w efekcie ostatecznie doszło do tego, że założyliśmy gazetę zakładową. Nazywała się „Będziemy” i uchwalała się do samego końca działalności podziemnej. No i zostałem wciągnięty do drukowania bibuły, która się nazywała „Aktualności” i „Serwisu Informacyjnego”. Jeden i drugi tytuł były organami podziemnej Regionalnej Komisji Wykonawczej „Solidarności” w Małopolsce. Ale okazało się, że taka gazeta duża, „Hutnik”, przeżywała trudności po jednej z kolejnych wpadek i zasiłłem redakcję „Hutnika” w 1983 roku.

Jan Magierski

„Informator” powstał w grudniu 1981 i był dziełem czterech studentów. Wtedy

odbieraliśmy te pierwsze numery, jeszcze wypisane na przebitce na maszynie, że zdziwieniem, że znaleźli się tacy ludzie odważni, którzy potrafili mimo tych fatalnych wypadków zdobyć się na odwagę i podjąć wydawanie gazetki. Pierwsze numery pisane były na przebitce, dopiero następne ukazały się w wersji powielaczowej. Ale ci studenci niestety niedługo mieli możliwość takiej pracy, po prostu wpadli. Wpadka miała miejsce w lutym 1982 i wtedy ówczesna redakcja i zespół drukarski zakończyła swoją działalność.

Stanisław Kalita

Sama maszyna do pisania jeszcze nie rozwiązywała sprawy. Do tego potrzebne były matryce, kalki hektograficzne. Dzięki panu Telidze (Józefowi – red.) dostałem się w ręce podziemia rzeszowskiego, oni byli do tego przygotowani technicznie. Mieli kalki, mieli farby, mieli papier. Tak na pierwszy zaczątek byłem zaopatrzony, ale później musiałem sam sobie już radzić, szukać, skonstruować sobie ramki, walki i już w tym czasie zapropnowałem w Mielcu, na jednym ze spotkań, że taka gazetka powinna mieć tytuł „Ziemia Mielecka”. Ale to było, no, robione na maszynie, nie mogłem żadnych ładnych winietek sobie pozwolić, bo nie znałem jeszcze tej techniki i nie miałem takich możliwości. Tak jak na offset czy później sitodruk. Tą metodą robiłem przez dwa lata chyba, na poddaszu, nad warsztatem, nad domem, tutaj w stodole między balami słomy, no, w takich warunkach.

Wiesław Maciejewski

Było jedno radio, które odbierało bardzo ładnie „Głos Ameryki”, gorzej z „Wolną Europą”, bo tam wchodzi zaraz generał Chopin jak to mówił Waldek Omieciński – jak tylko zaczynały się wiadomości RWE, to włączano Chopina. Przynajmniej ta łódzka zagłuszarka tak działała i nie było tego słyhać. Więc cały nasz serwis był budowany na informacjach z „Głosu Ameryki”. Te pierwsze dwa, trzy numery to były jakieś tam nasze artykuły i to co było z nasłuchu „Głosu Ameryki”.

Stanisław Kalita

Natomiast redagowanie, to tu były trochę problemy, ale miałem struktury rozwinięte, rozbudowane. I nazwałem ich korespondentami wojennymi. Przynosili mi masę danych z terenu, z Mielca i z wiosek też niektóre. Ci korespondenci, no to też byli tacy sami fachowcy jak i ja w tej dziedzinie. Pisał po swojemu, jak umiał, kto co zauważył. W prostym języku. To trzeba było jakoś sprawić, żeby to było bardziej strawne. Trzeba było to umieć doszlifować. A ja dużo w życiu czytał, więc trochę umiałem budować zdania. To jak usiadłem sobie spokojnie, to troszeczkę przemaglowałem, doszlifowałem, że to było strawne,

dawało się to panie czytać i zrozumieć to można było. Przerabiając, już wycinałem matrycę. Czasem mi się nie udawało coś, no to brałem korektor, lakier do paznokci żona miała, więc tym lakierem plamy likwidowałem i od nowa ciąłem. To była mozolna praca. Ale jakoś się tak wciągałem. Co dzień to było lepiej... Najlepiej mi wychodziły przedruki z prasy, z „Mazowsza”, z „Górnik”, „Hutnika”, „Janosika” z Nowego Targu. Z wielu różnych regionów Polski do mnie prasa docierała. Dużo przedruków robiłem, bo okazało się, że nasi mieleccy działacze jakoś tak, niezbyt się kwapili. Tak wyglądało nieraz, nie zawsze, że nie ma tematu. No to ja przedruki robiłem. Tak, żeby nie wypaść z rytmu, żeby bezpieka wiedziała, że tu coś się dzieje, że jest podziemie, ma prasę, ma fachowców, którzy się tym parają. Bardziej nadrabiałem miną. Narzekałem, że nie mogę dużo wydrukować z jednej matrycy – osiemset sztuk, dziewięćset to góra. No to wpadli na pomysł, żeby mnie nauczyć sitodruku. Zrobiłem też urządzenia nowe. Dużo mi pomagał magister inżynier Skrzypek Stanisław z Podola. I to, o dziwo, były milicjant. Przysięgę od niego odebrałem i chłopisko robił diapozytywy, pisał teksty.

Ryszard Patzer, Feliks Ryszard Wojciechowski

Studenci z prawa, którzy mieli powielacz zaoferowali się, że będą nam robili pierwszy numer gazetki. I tak zaczęła powstawać gazeta pod tym samym tytułem, który miała przedtem, „Biuletyn Informacyjny Regionu Ziemi Łódzkiej”. Myśmy im dostarczali papier i teksty, oni nam drukowali to, i przekazywali do kolportażu. Odbywało się to w ten sposób, że w jednym z bloków miałem klucz do piwnicy i wymiana początkowo odbywała się w studzience, która znajdowała się w podłodze w tej piwnicy. Natomiast później dostałem klucz od jednej z komórek i wtedy ta wymiana odbyła się w tej komórce. Udawało się wszystko, długo to nie trwało, ponieważ studentom ktoś zwinął powielacz i skończyła się współpraca. Zaczęliśmy już sami robić tutaj. Drukowanie się odbywało bardzo prymitywną metodą, były pisane matryce białkowe na maszynie, najpierw była to maszyna walizkowa, później z długim wałkiem, na szkle grubym sukno takie... z zespołów przydzielonych było takie wywiezione sukno, no to sukno się nasączało farbą, w późniejszym okresie farbą z pastą Komfort, bo lepiej się zmywały ręce i śladów nie było. No i na to się kładło matrycę białkową, papier, wałek ciężki, przejeżdżało się, egzemplarz i tak dalej i tak dalej.

ks. Adam Boniecki

Bywałem od czasu do czasu zapraszany do Ojca Świętego. Kiedy się zaczął stan wojenny szukałem spotkań z ludźmi, którzy się wtedy ukrywali i odbar-



► wali mnie takimi pierwszymi wydawnictwami stanu wojennego To były jakieś małe gadzety, jakieś małe druki, ulotki. I to wszystko jakimś cudem udało mi się przewieźć do Rzymu. Ojciec Święty mnie zaprosił zaraz potem na śniadanie, nie było Dziwisza (Stanisław, wtedy sekretarz papieża – red.), był Kabongo, czarnoskóry kapelan papieża, Kongijczyk. Ten Kongijczyk po polsku oczywiście nie mówił ani słowa. Ja papieżowi opowiadałem, co się dzieje i dawałem mu te przedmioty i te druki. Ojciec Święty był po prostu zachwycony. Był tak zachwycony, że oglądał to i do tego biednego Kabonga podawał i mówił mu po polsku: „Patrz, chłopie! Oni to w podziemiu zrobili! Oni to drukują potajemnie, tam jest stan wojenny!”.

Włodzimierz Cichomski

Idea, żeby stworzyć „Tygodnik Wojenny” powstała kilka dni po trzynastym grudnia, a pierwszy numer „Tygodnika” wyszedł z datą siódmego stycznia. I to jest swoisty chyba rekord świata, bo kto taki biznesplan by dzisiaj napisał, żeby wymyślić tę inicjatywę, a po dwóch tygodniach wypuścić na rynek gotowy produkt. Tak, że to powstało w błyskawicznym tempie, troszeczkę na wariackich papierach, kosztem niesłychanego zaangażowania grupy ludzi. Ponieważ moje mieszkanie było na pewno bezpieczne, to kilka pierwszych numerów, dokładnie nie pamiętam ile, powstało w moim mieszkaniu. W moim mieszkaniu, tuż pod okiem Ministra Spraw Wewnętrznych. Bo to było jakieś około stu metrów do ministerstwa. No i powstał oczywiście problem jak to pismo ma się nazywać. Były różne pomysły, lepsze, gorsze. Ale w końcu wszyscy zgodzili się na tytuł „Tygodnik Wojenny”. „Tygodnik Wojenny” dzisiaj brzmi groźnie. W tamtych dniach wydawało nam się, że ten tytuł będzie naturalną odpowiedzią na stan wojenny, na to straszne zagrożenie, które nas wszystkich uderzyło.

Czesław Piotr Stańczyk

„Tygodnik Wojenny” był niezależnym pismem, nie był związany bezpośrednio z Regionem (Mazowsze – red.), który się z czasem odbudował i zaczął funkcjonować. Był właściwie pierwszym liczącym się w Warszawie pismem. Dopiero jakiś czas później zaczął być wydawany „Tygodnik Mazowsze”. Z początku „Tygodnik Wojenny” był rozważony po Polsce, tam gdzie się dało. Z czasem po prostu były produkowane klisze i te klisze były rozwożone.

Włodzimierz Cichomski

Technika, którą stosowano w „Tygodniku” do druku „Tygodnika”, to była technika sitodruku. Dzięki tej prostej technice poligraficznej „Tygodnik Wojenny” mógł rosnąć, mógł się rozprzestrzeniać. Oczywiście najpierw była jedna drukarnia. Jedna, dwie w War-

szawie. Ale potem zaczęły wyjeżdżać do innych miast gotowe diapozytywy i drukowane były spore nakłady w innych miastach. Czyli technika sitodruku umożliwiła bardzo szybkie i dosyć duże, znaczące rozprzestrzenianie się „Tygodnika Wojennego” na terenie całego kraju. Powstały redakcje, i to nawet dwie w pewnym momencie, w Szczecinie, były w Lublinie, w Toruniu. Były w wielu innych miastach. I zamiast kolportować ciężkie paczki z wydrukowanym „Tygodnikiem”, łącznicy do tych miast wieźli tylko niewielką kliszę. I to ta technika spowodowała, że w bardzo krótkim czasie kilku miesięcy do roku z tej małej początkowo grupki, która stworzyła „Tygodnik Wojenny” powstała całkiem spora organizacja, która swoim ogromem nawet chyba nas zaskoczyła.

Helena Łuczywo

Postanowiliśmy robić „Tygodnik Mazowsze”. Na pamiątkę „Tygodnika Mazowsze”, które miało być pismem oficjalnym regionu „Solidarności” Mazowsze, którego został przygotowany, ale nigdy nie wydany, pierwszy numer i którego pierwszy redaktor Jurek Zieleniński na wieść o stanie wojennym popełnił samobójstwo. Od lutego chyba osiemdziesiątego drugiego roku zaczęliśmy ten tygodnik wydawać i wydawaliśmy bardzo systematycznie do kwietnia 1989 roku, do zakończenia Okrągłego Stołu.

Witold Łuczywo

Stan wojenny zastał nas w totalnej rozsypce. Po jakimś czasie, już po jakimś miesiącu udało mi się nawiązać kontakt z tymi, co zostali, no i zaczęła się budować redakcja. I pierwszy numer „Tygodnika Mazowsze” wydrukowała w całości właśnie ekipa Nowej. Oni mieli offset. Myśmy szczęśliwie po wielu perypetiach zdołali odzyskać składopis. Składopis to było urządzenie mechaniczne właśnie do składu. No i wtedy w piwnicy u Barejów (Stanisława, autora m.in. filmu „Miś” – red.) wykonaliśmy blachy offsetowe. Kalkę techniczną najpierw zabezpieczyliśmy lakierem do włosów, natarliśmy olejem i wtedy po przyklejeniu do blachy offsetowej okazało się, że to prawie tak dobre jak diapozytyw. Po naświetleniu i zmyciu szamponem tego oleju udało się blachę wytrawić i na takich blachach wydrukowany był pierwszy numer „Tygodnika Mazowsze”. Później okazało się, że to był świetny wynalazek, bo pozwalał uniknąć jednego etapu w procesie druku, a mianowicie wykonywania fotografii dla zrobienia diapozytywu. Z czym był kłopot, bo nie mieliśmy materiałów i sprzętu do tego.

Helena Łuczywo

Drukowały potem rozmaite grupy i wydawnictwa książkowe, i jakieś zakładowe. Myśmy w każdym razie, jak to się potem już tam rozwinęło, rok, półtora,



to około dwudziestu kompletów tworzyli do druku na offsecie, na sitodruku, a nawet chyba też na początku na spirytusowych powielaczach. Nakład? Liczyło się tak, 20, 40 tysięcy, a diabli wiedzą, nie mam zielonego pojęcia, ile było tego nakładu. Na pewno był to największy nakład ze wszystkich pism podziemnych, to tego nikt nie neguje. „Tygodnik Mazowsze” miał taki nakład, pomimo że był regionalnym pismem i w pierwszym numerze była umowa ze Zbyszkim Bujakiem, że to jest organ Regionu Mazowsze, ale całkowicie niezależny i wolny. Na pewno popularność „Tygodnika” była spowodowana właśnie takim jego półoficjalnym statusem i genialnym pomysłem na druk w całej Polsce.

Włodzimierz Cichomski

Prowadziłem sekretariat, czyli do mnie koledzy przynosili plecaki wypchane różnymi biuletynami. Ja to sobie w nocy rozkładałem na podłodze i czasami miałem całe mieszkanie zasłane różnymi biuletynami, a to z Nowego Sącza, a to z Suwałk, a to ze szkoły podstawowej, a to z Instytutu Badań Jądrowych. Wszędzie coś powstawało, wszędzie powstawała bibuła, w najmniejszych ośrodkach, w przedziwnych miejscach. Były to rzeczy czasem bardzo naiwne, czasem bardzo piękne. Bardzo wiele tych rzeczy do nas docierało

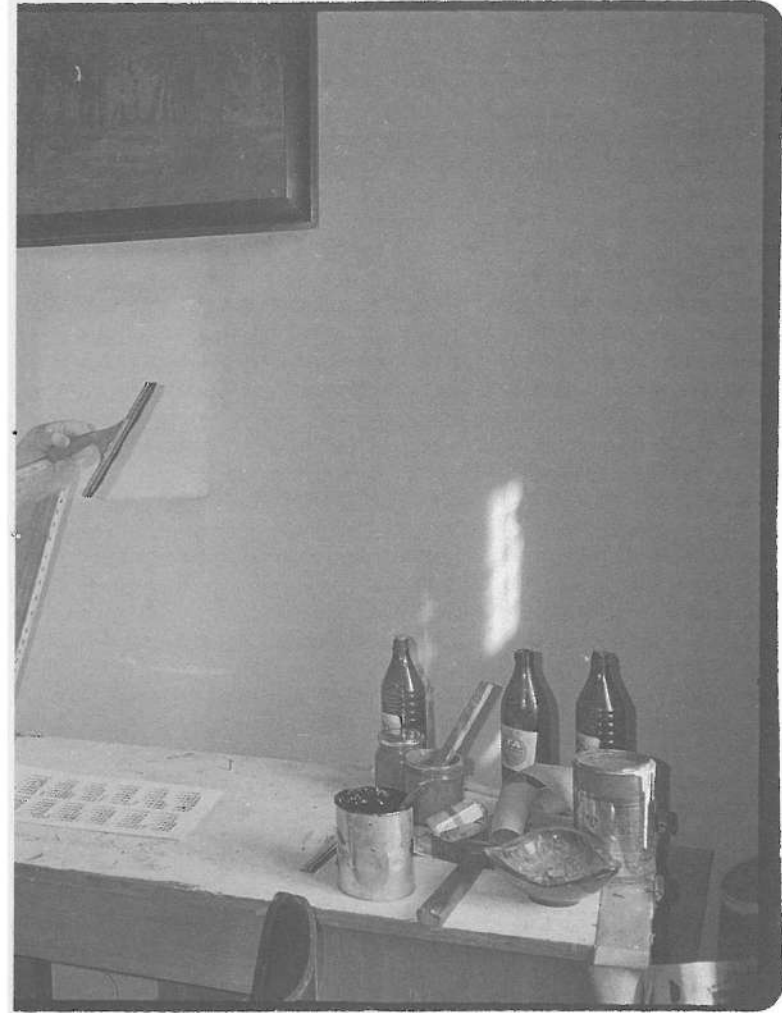
i staraliśmy się w pierwszych numerach również robić tzw. przegląd prasy, przegląd wydarzeń na podstawie właśnie tych biuletynów.

Szczepan Rudka

Prasę bezdebitową wydawano również w więzieniach. We Wrocławiu, działacze opozycji przetrzymywani w zakładzie karnym na Kleczkowskiej wydawali m. in. „Iglę Siedzącej Ekstremy”, którą przepisywali ręcznie na kartkach papieru. Ukazało się kilkanaście numerów tej gazetki. W obozach internowania również były wydawane czasopisma i tam potrafiono też stosować inne techniki, niż pismo ręczne.

Tomasz Jastrun

W pierwszych tygodniach stanu wojennego spotkał się grupą przyjaciół. M. in. był Leszek Szaruga, Iwona Smolka, Jarek Markiewicz, Ryszard Holzer, Tomasz Burski chyba już też. Ja się ukrywałem, Leszek chyba na chwilę też się wtedy ukrywał. Wszyscy byliśmy jakoś wyrzuceni z orbity życia w ogóle, z orbity czegokolwiek. To była wielka katastrofa dla nas, ta próba zniszczenia „Solidarności”. To był jakiś koniec świata. I Leszek wpadł na pomysł, żeby stworzyć pismo literackie. Ja zaprotestowałem dziarsko, uważając, że nie jest czas na pisma literackie, a raczej na pisma informacyjno – społeczno – polityczne. Złożyliśmy



pierwszy numer („Wezwania” – red.) i był problem, żeby ten numer wydrukować. To były początki odradzania się drugiego obiegu, który został zdruzgotany przez stan wojenny.

Włodzimierz Cichomski

W osiemdziesiątym drugim roku pracowałem jako nauczyciel w szkole. I przyszedł do mnie po lekcjach uczeń. A był to uczeń niezwykły, bo to był bardzo zdolny uczeń, mający bardzo dobre oceny. Taki prymus. I on, widocznie mieli do mnie dosyć duże zaufanie, mówi tak, że on ma grupę ludzi. Ma grupę kolegów i oni są gotowi do działania, a mają w zasięgu, mają dojdzie do granatu. Mogą mieć granat. I co ja bym sugerował im, żeby oni z tym granatem zrobili? A więc wśród młodych ludzi była również taka emocja. Oczywiście poradziłem mu, żeby obchodził ten granat szerokim lukiem i żeby zapomniał, gdzie ten granat jest. Żeby zajął się czymś bardziej pożytecznym. No i to właśnie potwierdza tezę, że robienie gazetek było niezwykle istotne, ważne. Również w kanalizowaniu takich młodzieńczych odruchów dobrych uczniów z dobrych szkół średnich, którzy wychowani na literaturze romantycznej mogli narozrabiać.

Szymon Dederko

Andrzej Fedorowicz i nasza wierszuszka używały drukarni do spacy-

fikowania zbyt radykalnej młodzieży. Wiem, że w Pruszkowie była jakaś grupa, która zastanawiała się, jak zdobyć broń. I ci ludzie byli do nas przysłani, do pracy w drukarni na miesiąc, dwa, na zasadzie: słuchaj, teraz nie możesz już nic innego robić, żeby cię nie złapali, natomiast tutaj masz bardzo ważną działalność, właśnie w drukarni. A jeżeli będziesz szukał broni, to cię złapią i drukarnia wpadnie. Ta młodzież nie była potraktowana na zasadzie groźenia palcem: słuchajcie szczeniaki, co wy robicie? Tylko: słuchajcie, tu jest ważna rzecz do zrobienia. Spójrzcie, jacy jesteście ważni.

Włodzimierz Cichomski

Jak sobie przypomnę ten mój pokój z rozłożoną bibułą... Na szczęście to poszło w tę stronę. W całym kraju ogromna energia, ogromny potencjał ludzi poszedł na tworzenie bibuły, niezależnych pism. A przecież to mogło pójść w inny sposób. Pierwszy zły scenariusz: mogła zapanować całkowita atomizacja. Ludzie mogli pochować się w domach jak przestraszone zwierzęta i nie wychodzić. Dać się upodlić. Nic się mogło nie dziać, a władza by robiła wszystko, co by tylko chciała. I to był zły scenariusz. Drugi scenariusz: można było wyobrazić sobie taką sytuację, że powstaną grupki ludzi strasznie zdeterminowanych, chcących pod-

jąć fizyczną walkę z reżimem. Mogli rozkręcać szyny, dokonywać porwań, mogli iść na jakieś działania terrorystyczne. Szczęśliwie ta wspaniała emocja została skanalizowana w ten sposób, że, i myślę „Tygodnik Wojenny” przez swoją strukturę, przez swoje promieniowanie, przez swoje filie do tego się przyczynił, ta energia poszła w tworzenie piśmiennictwa. W organizowanie się ludzi. Ta energia była pozytywna. Ludzie zastanawiali się jak postąpić, co zrobić, jakie podejmować decyzje, ale się nie bili, nie strzelali do siebie i też nie dali się upodlić.

Czesław Piotr Stańczyk

Jak przyszedł stan wojenny i moja teściowa się spytała, to co teraz będzie Piotrze, to powiedziałem: jak to co, będzie konspiracja! Skoro nie wolno, to trzeba wrócić do poprzednich sposobów działania.

Grzegorz Boguta

Te pierwsze miesiące, to była taka przyspieszona edukacja nowej konspiracji. No, po tej frywolnej konspiracji lat siedemdziesiątych i z kolei po takim karnewalowym okresie, szesnastu miesiący „Solidarności”, gdzie wszystko było praktycznie jawne, za kilka ulotek można było dostać 3 lata więzienia w trybie przyspieszonym. To też w tym samym trybie przyspieszonym ludzie uczyli się na nowo konspiracji.

Włodzimierz Cichomski

Należało konspirować. Jeżeli za działania antypaństwowe w obwieszczeniu obiecywali karę śmierci, a nie wiadomo było, w którą stronę potoczy się wprowadzenie stanu wojennego. Przecież w pierwszych tygodniach, nawet w pierwszych miesiącach, myśmy nie wiedzieli, czy ludzie aresztowani, internowani wrócą, czy może zostaną skazani na jakieś ogromne kary albo jeszcze coś gorszego. W związku z tym, jeżeli przenosiło się coś nielegalnego, były różne sposoby chowania tego. Jedni chowali za pazuchę, inni chowali do pudełka, z którego uprzednio wysypano proszek do prania. Ja pamiętam, że w pierwszych dniach starałem się te wszystkie rzeczy nawet u siebie w mieszkaniu chować. Miałem stary telewizor enerdownski, „Rekord”, wielka szafa, w której było z tyłu bardzo dużo miejsca. I do tego telewizora w pierwszych dniach wpychałem te materiały, które miałem w mieszkaniu. Po prostu się bałem. To trudno sobie wyobrazić, ale jeśli ktoś po godzinie policyjnej pukał do drzwi, to człowiek miał różne myśli. Kto puka? To może być sąsiad, ale to może być ktoś groźniejszy. Wszyscy, których poznałem w tamtym czasie, których nie znałem przed powstaniem „Tygodnika”, a których poznałem w trakcie tej działalności, nie przedstawiali się swoim prawdziwym nazwiskiem. Mie-

li pseudonimy, ja nie wiedziałem jak ludzie naprawdę się nazywają. Ja wiedziałem, że on ma pseudonim taki albo taki, Rysiem, Krzysiem był. Ja wtedy najczęściej bywałem Michałem i bardzo wielu ludzi do tej pory myśli, że jestem po prostu Michał.

Andrzej Rosner

Trzeba było bardzo, bardzo uważać na to, co się robi. Zawsze trzeba było sprawdzić, na tyle, na ile było to możliwe, czy coś się nie dzieje. Na przykład, jeżeli ja się wybierałem na spotkanie firmowe, na taką radę naszą wydawniczą, zazwyczaj rada była o piątej po południu, a już rano zaczynałem tak zwane czynności sprawdzające, żeby się przekonać, czy nic się za mną nie dzieje, czy to jest okay. Na początku moje wizyty były w ogóle niemożliwe na tych radach. Myśmy się kontaktowali wyłącznie przez Andrzeja Chojnowskiego poprzez Instytut Historyczny Uniwersytetu, ponieważ tam byliśmy nie do namierzenia. Natomiast próby mojego przyścia tam byłyby związane z wyspaniem firmy po prostu, więc to nie wchodziło w grę. Na jesieni już zacząłem tam bywać, ale też zwykle były to 3 – 4 godziny sprawdzania, zmieniania taksówek, wędrówki na przykład przez wiadukt mostu Poniatowskiego, bo jak się schodziło po schodach, to można było dość łatwo sprawdzić, czy ktoś idzie, czy nie, bo tam były puste miejsca, a jeżeli samochód jechał, to oczywiście, zanim on tam gdzieś okręcił ten ślimak i zjechał na dół, no to było już po wszystkim. Była cała masa przechodnych bram czy jakichś klatek z wyjściem na drugą stronę. To wszystko trzeba było opanować, żeby wiedzieć, jak można się wydostać, uciec ubecki.

Leszek Jaranowski

„Hutnik” był drukowany w różnych miejscach, na różnym sprzęcie, często w różnych miejscach równocześnie. W stopce „Hutnika” pisaliśmy: „Powielarnia Puszca Niepołomska”, szukajcie sobie gdzieś tam w puszczy nas. I dla tak zwanej zmyły nawet czasem jakieś resztki, zawsze przy druku powstają śmieci, ścinki, były wywożone, jakieś matryce zużyte już.

Andrzej Smulik, Piotr Kluszczyński

Drukowaliśmy na ulicy Pomorskiej. Mieszkanie było wynajęte. Właściciel oczywiście nie wiedział, co się dzieje. Drukowaliśmy na maszynie offsetowej, maszyna hałasowała, przy zadrukowywaniu kartki, jak kartka spadała, wydawała taki specyficzny metaliczny dźwięk. Właściciel, który wynajmował to mieszkanie, znalazł śrubkę na podłodze, nowiutką, wypadła nam z pudełka jak zmienialiśmy w drzwiach zamek. Ten fakt skojarzył z tym, że my tu wyrabiamy jakieś śrubki i zapro-



▶ nował nam pomoc. W tym czasie kiedy nas nie ma, on może te śrubki robić, bo jak ją znalazł, to zaparkował w bibułkę, rozwinął i mówi, że on wie już, co my tutaj robimy, bo robimy śrubki.

Edward Przybysz

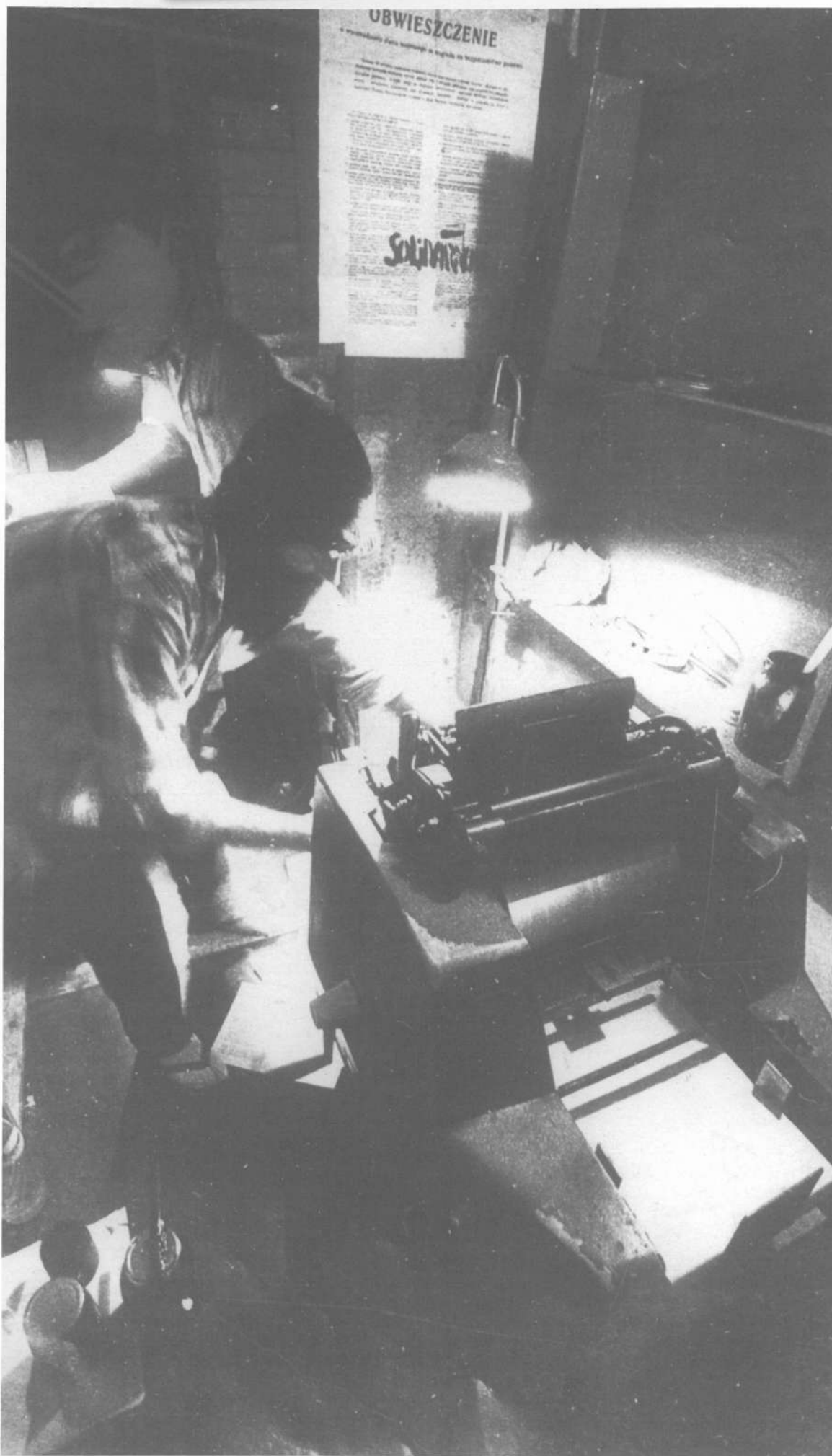
Drukowanie na samym początku było dosyć ciężkie ze względu na trudności lokalowe. Drukowaliśmy w różnych miejscach. Z tych miejsc, które utkwiły mi bardzo mocno w pamięci, to okolice placu Szembeka. Drukowaliśmy tam dosyć długo. Ktoś tam wyjechał za granicę, był pustostan i my w tym pustostanie drukowaliśmy. To było pierwsze piętro z balkonem, bardzo ładne pomieszczenie. Drukowaliśmy z jakieś dwa, trzy tygodnie, nigdy więcej nie drukowaliśmy w jednym pomieszczeniu, no i jak wynosiliśmy sprzęt, to jakiś pan z jakąś panią, pan z pieskiem, mówi: to co, to już państwo odchodzicie? Nie będziemy mieli „Solidarności”? Wy o tym nie wiecie, ale my tutaj, jak panowie przychodziliście, to my was pilnowaliśmy. To było takie wzruszające wtedy.

Włodzimierz Cichomski

Konspiratorzy dzielili się na dwie grupy. Pierwsza, to byli ludzie, o których nie można było powiedzieć, że robią coś w konspiracji. To znaczy, zachowywali się normalnie, mówili normalnie. Wszystko było z nimi w porządku. Mam nadzieję, że należałem do tej grupy. Ale też była grupka takich konspiratorów, którym to sprawiało taką dziwną przyjemność. Myśmy ich wtedy nazywali rekinami podziemia. Oni byli ubrani w szczególny sposób. Typowy rekin podziemia był ubrany w zieloną kurtkę, często enerdownieckiego pochodzenia albo zachodnoniemieckiego. Mieli ciężkie buty i jak coś mówili, to mówili powoli, poważnie, z takim namaszczeniem: Ty, słuchaj, trzeba zanieść na punkt materiał! A normalny konspirator mówił: Słuchaj, idź zanieś!

Tomasz Jastrun

Generalnie było tak, że jeśli ktoś przesadnie konspirował, to się narażał na śmieszność. Pamiętam kolegę, do którego przyszedłem w początkach stanu wojennego i on drążył wszystkie nogi od krzesel i stołów, żeby zrobić tam schowki. Sprawiał na mnie wrażenie kompletnego wariata, którym zresztą po latach okazał się być. A w czasie okupacji to było normalne, no bo to groziło głową. Konspiracja akowska, która też, jak się okazuje, miała wiele dziur i była



czasami strasznie bałaganiarska, jednak musiała być bardziej doskonała, dlatego, że płaciło się torturami i głową. A tutaj fakt, że to było trochę tak naprawdę na niby i że konsekwencje nie były tragiczne, bardzo rozluźniło gorset konspiracji. Na złe, ale też i na dobre. W tym sensie na dobre, że pewne bałaganiarstwo, jak mi się wydaje, było ogromnym problemem dla bezpieki. Jest ogromnie trudno taką wolną amerykańkę, taką imprewizację śledzić. Jeżeli ktoś jest świetnie zorganizowany, to ciężko wpaść na trop. A jak się wpadnie, to się sypie wtedy dokładnie wszystko. Tu nigdy nie było takiej sytuacji. Zawsze były jakieś niedokładności, ktoś czegoś nie wiedział, gdzieś coś było w innym miejscu.

Tomasz Filipczak

Zasadą świętą „bibulasa” takiego jak ja było to, żeby nie znać adresów drukarzy, ani w ogóle nazwisk. Ludzi poznawałem tylko, że tak powiem na wygląd, na twarz, natomiast to była zasada żelazna po prostu, nawet jak ktoś próbował mówić o tym, że robi ten, to ja po prostu robiłem wszystko, żeby o tym nie wiedzieć. Telefonów wtedy nie było, trzeba było zakładać, że są podsłuchy, więc człowiek żył w takiej manii konspiracyjnej. Ale z „Pulsu” z kolei przyjąłem zasadę, że jeżeli już działał jawnie, to margines konspiracji musi być bardzo wąski, że tylko wyjątkowo ważne rzeczy, adresy, nowi ludzie, nazwiska, jakieś wydarzenia, które miały się zdarzyć, były w jakiś tam sposób kodowane. Inaczej groziłoby mi to, co wielu opozycjonistom, to znaczy pewna choroba opozycyjna. Nie powiem kto, jeden z naszych bardzo bliskich znajomych wpadł do mnie do domu, palec na usta, udał, że go w ogóle nie ma, co oczywiście było bez sensu, bo dzwonił do drzwi, więc było wiadomo, że jak jest podsłuch, to już wiedzą, że ktoś jest, po czym usiadł przy stole, wziął kartkę i napisał: „Co słychać?” Spojrzałem na tego człowieka i leciutko zdębtwałem, bo jak mam mu odpowiedzieć? Wziąłem kartkę i napisałem: „dobrze”.

Helena Łuczywo

Dokładnie pamiętam wiosnę osiemdziesiątego drugiego roku. Byliśmy wtedy na Ursynowie. Tam gdzie teraz jest metro, zanim zaczęli tam kopać, bo metro zaczęli kopać w osiemdziesiątym trzecim chyba roku. W osiemdziesiątym drugim tam było pole i ludzie na wiosnę zaczęli tam sobie robić ogródki, tam, gdzie teraz jest ulica chyba Komisji Edukacji Narodowej, nagle rozkwitły ogródki. Zieleń i ogródki wśród tych bloków Ursynowa. I jakoś tak szłam, było popołudnie – sobota czy coś takiego, pełno ludzi, w tych ogródkach się uwijają. Pomyślałam: „Jezus Maria! Co to kogo obchodzi,

czy my się zajmujemy? Taka wiosna!” Człowiek się bał, że zapomni o tym, że jest takie życie, że są ogródki. I wszyscy chyba, którzy byli w podziemiu, bardzo się bali takiego scenariusza z „Biesów” Dostojewskiego. Bo jak człowiek za bardzo się zakręci w takim podziemiu, to potem od tego naprawdę wariuje, zaczyna gardzić wszystkimi innymi, nienawidzić tych, którzy mu nie chcą pomóc i tak dalej. To jest bardzo niebezpieczna zabawa w taką konspirację.

Piotr Kapczyński

Jak stan wojenny się zaczął, no to na pewno w celu takiego osłabienia ducha, no to codziennie na przykład w gazecie żeśmy czytali, że jakąś drukarnię zwinęli. Mówię, cholera, no, raz, że na nas czas, ale dwa, że oni tak szybko to wykrywają! Myślę, że to częściowo było naciągane, ale działało do deprymującego na ludzi, że jeżeli się zacznie robić, to zostanie się zwinętym.

Wiesław Maciejewski

Drukowaliśmy w jednym pokoju, a pani w drugim oglądała dziennik telewizyjny, a tam co trzeci dzień pokazywano jak drukarnie wpadały. I przez otwarte drzwi słyszałem, że właśnie kolejna drukarnia gdzieś tam wpadła, zdjęcia są. Pani siedzi i ogląda telewizję, a w drugim pokoju chłopcy siedzą i drukują bibułę. Do drukarni nie przychodzili ludzie niepotrzebni. Robił to zespół dwuosobowy, czasem przychodziła jeszcze jedna osoba. Ale od początku do samego końca drukowaliśmy w tym samym składzie. Redakcja składała się z ludzi, którzy drukowali, więc to też był zamknięty krąg, po prostu mogliśmy sobie zaufać. Ja zawsze przychodziłem pierwszy do drukarni. Nie było wspólnych wejść. Przynosiłem jakieś tobołki, staraliśmy się rozdzielić wnoszenie i wynoszenie. Prawdopodobnie większość ludzi podejrzewała nas o to, że prowadzimy jakieś rzemiosło ciche. Stosowałem kamuflaż, papier zawijałem w koc, jak do magła, żeby nie wyglądać na klasycznego konspiratora jak to bywało w mieście Łodzi, że sobie wpiнали kondensatory czy oporniki w kłape i chodzili z tym po mieście.

Szymon Dederko

Któregoś dnia zszedłem do pracy przy maszynie, żona coś tam w domu robi i słyszy z klatki schodowej tekst: „Panie majorze, mamy ich, już wyprawdzamy”. Nogi się ugięły pod nią, no wpadka kompletna. Okazuje się, że dozorca mył okna na klatce schodowej i puścił sobie radio, gdzie akurat były sprawozdania z różnych akcji milicyjnych. Jak usłyszała dalsze wyjaśnienia, oczywiście, spokój, ulga, niemniej jednak z możliwością wpadki liczyliśmy się stale.

Leszek Jaranowski

Było takie niepisane prawo, jeżeli którejś z bibuły zdarzyła się wpadka, to za punkt honoru każda z gazet poczytywała sobie to, żeby natychmiast zrobić swoimi siłami, swoimi rękami gazetę w imieniu tej, której dotknęła krzywda. Po to, żeby pokazać, że ci, co są zamknięci, to nie ci prawdziwi, nie są tymi, że esbecja złych ludzi zgarnęła itd. A i że gazeta nie zginęła, że żyjemy, że się dobrze mamy itd.

Kornel Morawiecki

Pamiętam nawet taki epizod, że jak wpadł Frasyniuk, nie, chyba Bednarz (Piotr – red.), to wyszły wtedy dwa „Z dnia na dzień”, myśmy wydali, a ta struktura potem, która już wydawała „Z dnia na dzień” też wydała później. To nic nie szkodziło, myśmy wtedy nie dali znaczka, że wydaje Agencja Informacyjna SW (Solidarności Walczącej – red.). Wydaliśmy tak, żeby podtrzymać ten mit.

Leszek Jaranowski

General [Jerzy – red.] Gruba, sławetny generał, który był dowódcą jednostek w Katowicach biorących udział w pacyfikowaniu kopalni „Wujek, został tu przerzucony, żeby zrobić z nami porządek. W trzydziecioletnie „Hutnika”, ukazał się artykuł mówiący: „Panie generale Gruba, mamy się dobrze, a kuku. A kuku generale Gruba!” I generał Gruba sobie to zapamiętał i za pewnego rodzaju chyba punkt honoru sobie poczytywał złać, rozwiązać, zniszczyć tę paskudną grupę „Hutnika”. W osiemdziesiątym siódmym roku dochodzi do najtrudniejszego momentu w historii „Hutnika”. Wpadka w redakcji. Na wieść o tym generał Gruba natychmiast przyjechał osobiście. I mówi do właścicielki domu: „proszę przekazać panu Wojciechowi Marchewczykowi (red. nacz. – red.), a kuku!” Jak wpada gazeta, to natychmiast trzeba zrobić następny numer. No i zgodnie z tą zasadą następnego dnia Jerzy Surdykowski popełnił następny artykuł, pisał mniej więcej tak: „generale, wjechałeś, zlikwidowałeś nam redakcję, zlikwidowałeś nam drukarnię, a my żyjemy, mamy się dobrze, a kuku generale Gruba”.

Włodzimierz Cichomski

Zasada na początku była prosta. Nie ma pieniędzy, nie ma na nic pieniędzy, pieniędzy nie ma. Czyli, jeżeli ktoś chciał coś zrobić, to musiał dawać własne pieniądze. Po prostu. Jeżeli nie, to tego nie robił, bo pieniędzy nie było. Potem, jak pojawiły się pieniądze, to były przeznaczane na rzeczy ważne. Każdy, kto miał coś do załatwienia, to załatwiał. Obowiązywała zasada całkowitego zaufania. Ja

byłem skarbnikiem, ale ta moja funkcja polegała na tym, że ktoś do mnie przychodził i mówił: Słuchaj, dostanę pieniądze i wydam je na to i na to. A ja mówiłem: Aha! I księgowalem te pieniądze przez takie rozgrzeszenie. Z czasem pojawiły się jakieś niewielkie pieniądze. I te, poza tym że szły na działalność wydawniczą, związaną z produkcją, też czasem były wykorzystywane, żeby pomóc osobom, które znalazły się w ciężkiej sytuacji. Bo trzeba mieć świadomość, że niektórzy z naszych kolegów i koleżanek nie mogli wrócić do domu, musieli się ukrywać, nie mieli pracy. W związku z tym nie mieli z czego żyć. I takie zastrzyki finansowe niektórzy symbolicznie od nas dostawali. Nie była to reguła, nie była to zasada. Były to prawie że jedynkowe decyzje w przypadku kilku osób, że coś na kształt małych pensji było pobierane, ale to dotyczyło tylko tych osób, które po prostu należało chronić przed śmiercią głodową. Ale jeżeli ktoś miał pracę, wystarczające pieniądze, to pensji raczej nie pobierał. Inna sprawa, to drukarze. Tutaj już obowiązywały pewne stawki i koszt druku był kalkulowany jako koszt stały. Ale sama grupa ludzi tworzących „Tygodnik”, można powiedzieć, działała charytatywnie.

Ryszard Patzer, Ryszard Feliks Wojciechowski

Jak żeśmy doszli do pieniędzy? W bardzo prosty sposób. Zaczęliśmy robić bimber, który był środkiem płatniczym i pojechaliśmy do magazynu w chłodni. Tam, w tych chłodniach byli ludzie, którzy za bimber dawali nam wszystko, co chcieliśmy. Za ten sam bimber dostawaliśmy farbę, papier i wszystkie inne rzeczy, bo wojsko, które chroniło chłodnię jednocześnie potrzebowało coś wypić, a myśmy dzięki temu mieli co jeść i mieliśmy papier, farbę i wszystko. A że się bimber robiło, w wojnę się zawsze bimber robi.

Stanisław Kalita

Włożyłem w to sporo trudu, sporo pieniędzy tak samo, czasu, zdrowia. Ale warto było, bo mamy dzisiaj wolną ojczyznę. Ja dzisiaj mogę mówić głośno to co myślę, a dawniej, dawniej nie, dawniej trzeba było się kryć, nie można było sobie pozwolić. Mogę organizować jakieś zebrania legalnie, oficjalnie, spotkania jakieś, imprezy, a dawniej nie było wolno. Mogę dzisiaj wyjechać za granicę, panie, gdybym chciał, ale po co, kiedy tu mi jest dobrze.

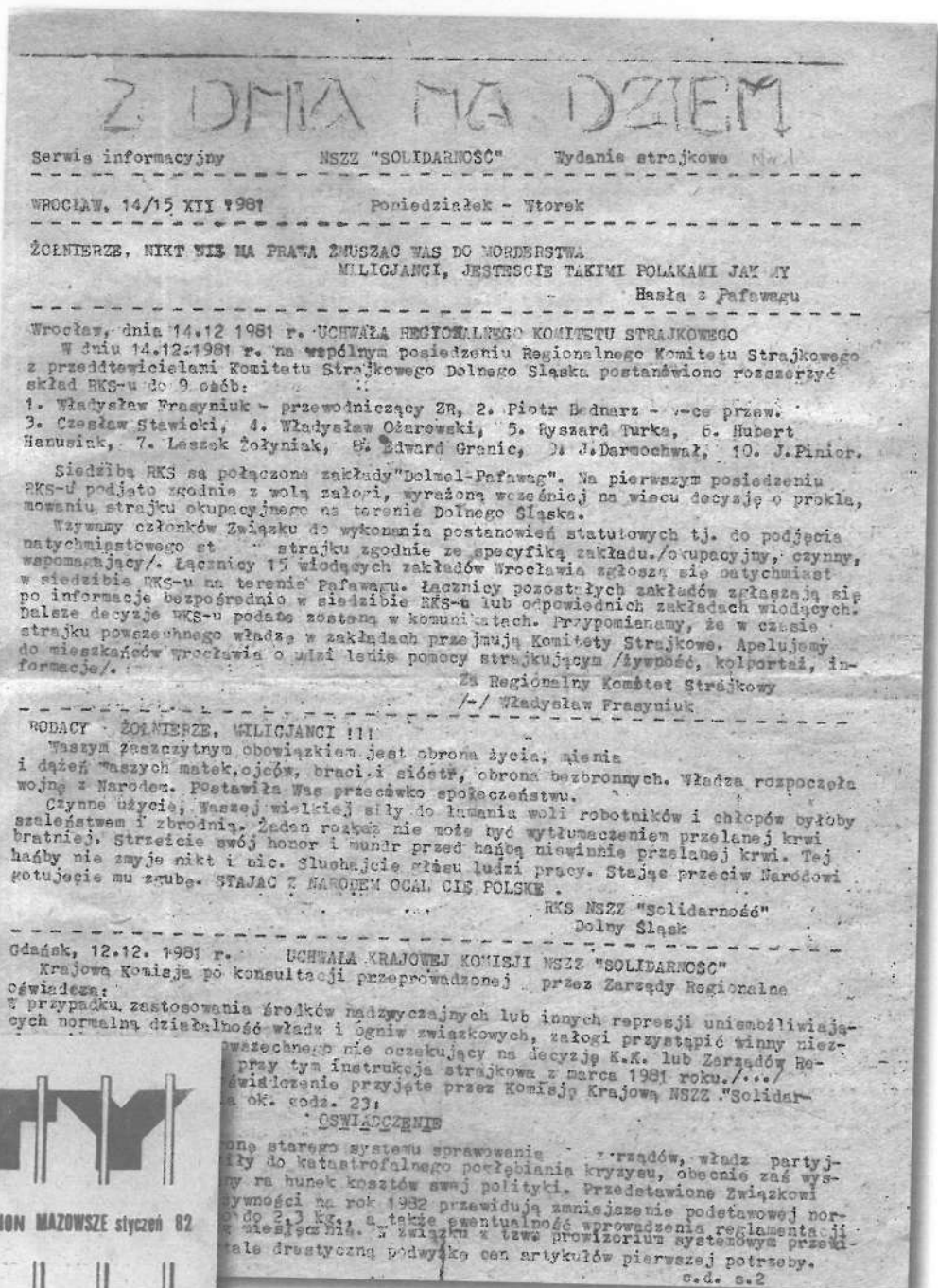
Odrodzenie bibuły

JAN OLASZEK

Prasa podziemna zaczęła ukazywać się już w pierwszych dniach po wprowadzeniu stanu wojennego.

Pierwsze regularne pismo podziemne – wrocławskie „Z dnia na dzień” ukazało się już 14 grudnia 1981 r. Głównym twórcą podziemnej edycji pisma był Kornel Morawiecki. Wraz z kręgiem zaufanych osób błyskawicznie zorganizował redakcję pisma, na redaktora naczelnego wyznaczając Romualda Lazarowicza. Tego samego dnia w Krakowie pojawił się, rozpowszechniany na znacznie mniejszą skalę, pierwszy tamtejszy konspiracyjny tytuł „Informacja KS w PAN”. Biuletyn ten ukazywał się codziennie, a jego przygotowywaniem zajmowali się pracownicy Instytutu Nauk Geologicznych Polskiej Akademii Nauk.

W kolejnych dniach w różnych miastach Polski ukazywały się nowe podziemne pisma. W Gdańsku 15 grudnia pojawił się „Niezależny Serwis Informacyjny »Solidarność«”. Drukowano go w nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy i rozpowszechniano na terenie całego Trójmiasta. W Warszawie 15 grudnia 1981 r. zostały reaktywowane „Wiadomości Dnia”. Pierwsze numery pisma przygotowywał Piotr Piętaś (dotychczasowy naczelny pisma) wraz z Piotrem Strzałkowskim. Obaj starali się rygorystycznie prze-



FAKTY

MIESIĘCZNIK INFORMACYJNY NSZZ "SOLIDARNOŚĆ" REGION MAZOWSZE styczeń 82

SOLIDARNOŚĆ

strzeżać zasad konspiracji, choć wbrew nim pierwszy numer ukazał się pod starą nazwą, która dopiero później zmieniono na „Wiadomości”. Następnego dnia po pojawieniu się podziemnych „Wiadomości” po Warszawie zaczęła krążyć „Informacja Solidarności”. Pismo zorganizowały w dużej mierze Helena Łuczywo i Joanna Szczęsna – doświadczone dziennikarki niezależnej prasy („Biuletyn Informacyjny”, „Robotnik”, „AS”). „Informacja Solidarności” miała być przede wszystkim źródłem wiadomości przekazywanych na Zachód i do innych środowisk opozycyjnych. Właściwie każdy kolejny dzień przynosił jakis

nowy tytuł. W grudniu 1981 r. w całej Polsce zaczęło się ich ukazywać nawet kilkadziesiąt.

Wiele ważnych i popularnych pism podziemnych pojawiło się na początku 1982 r. W pierwszych dniach stycznia w Warszawie związany wcześniej z „AS-em” Jan Strękowski oraz grupa jego współpracowników (m.in. Waldemar Baraniewski, Piotr Szubert, Włodzimierz Cichowski, Piotr Stańczyk, Ryszard Holzer) – utworzyli „Tygodnik Wojenny”, który szybko zaczął być rozpowszechniany również w wielu regionach w całej Polsce. Jeszcze w tym samym miesiącu pojawiły tygodnik „Wola” reda-

gowany przez młodych pracowników naukowych z kręgu Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego (m.in. Andrzej Urbański, Piotr Stasiński, Andrzej Zieliński, Maciej Zalewski, później przez wiele lat redagował je Michał Boni) oraz dwutygodnik „KOS”, którego twórcami byli działacze „Solidarności” zajmujący się oświatą: Krystyna Starczewska i Wojciech Eichelberger. Oba pisma zajęły stałe miejsce na opozycyjnej mapie nie tylko Warszawy, ale całej Polski. Tak też stało się z ukazującym się od lutego 1982 r. „Tygodnikiem Mazowsze”, który później stał się najpopularniejszym pismem konspiracyjnym w całej Polsce. Tworzyła go ekipa związana z „Informacją Solidarności” z Heleną Łuczywo i Joanną Szczęsną, a w składzie zespołu było bardzo wiele kobiet (m.in. Anna

Dodziuk, Małgorzata Pawlicka, Anna Bikont).

Pierwsze numery kilku z tych pism („KOS-a” i „Woli” oraz częściowo „Tygodnika Mazowsze”) były drukowane przez tego samego człowieka, czyli Adama Karwowskiego z wydawnictwa Krąg. Prasę podziemną, również inne tytuły, drukował on na maszynie offsetowej w podwarszawskim Popowie, w willi należącej do aktora Mariusza Dmochowskiego oraz w swoim domu na warszawskim Bródnie. „Mieszkał przy samym murze cmentarza, bez bieżącej wody z dwójką malutkich dzieci. Drukował tyle, bo miał maszynę i nie został wsadzony. To była jego decyzja. Jakby on się nie zdecydował, to by połowy podziemnej bibuły w Warszawie początkowo nie było” – wspominał Andrzej Urbański, dla którego Karwowski drukował „Wolę”.

Warszawa pozostała, tak jak w poprzednich okresach, głównym ośrodkiem niezależnego ruchu wydawniczego, ale ważne czasopisma szybko pojawiły się również w innych miastach. Właściwie w każdym większym mieście ukazywał się jakiś tytuł, który zyskiwał dominującą pozycję w regionie. W marcu 1982 roku wyszedł pierwszy numer jednego z najpopularniejszych pism podziemnych Krakowa – „Hutnika” wydawanego przez działaczy NSZZ „Solidarność” z Huty im. Lenina, czyli jednego z bastionów tego ruchu. Jego założycielami byli pracownicy tego zakładu: Jerzy Ostałowski i Zdzisław Jaworski. Zwrócili się oni o pomoc do Wojciecha Marchewczyka z Akademii Górniczo-Hutniczej, który stał się głównym redaktorem „Hutnika”. Z czasem pismo, mimo swojego formalnie zakładowego charakteru, stało się jednym z najpopularniejszych

gazet podziemnych, rozpowszechnianym w całej Małopolsce.

W styczniu 1982 r. ukazało się pierwsze podziemne wydanie „Observatora Wielkopolskiego”. Jednym z jego redaktorów był Ryszard Czapara z poznańskiej Akademii Rolniczej. Po wprowadzeniu stanu wojennego przy wsparciu studentów wyniósł on z uczelni powielacz, który najpierw ukrył w piwnicach swojego instytutu, gdzie znajdowała się chłodnia, a potem w jednym z kościołów. Jeszcze w grudniu 1981 r. zorganizował redakcję pisma, w skład której oprócz niego wchodził m.in. Marek Przybyła (przed stanem wojennym działacz „Solidarności” w Muzeum Narodowym w Poznaniu) oraz Ireneusz Adamski (rzecznik poznańskiej „Solidarności”). Początki nie były łatwe. „Pierwszy numer »Observatora« drukujemy w pustym mieszkaniu mojego kolegi, Grzegorza Dogiła, który wyjechał na stypendium w Niemczech” – relacjonował po latach Czapara – „Ja opiekowałem się jego mieszkaniem. Drukujemy we dwójkę. Z Grzesiem Kumorkiem. Na ramce, klasyczna technika. Pierwszy nakład był mały. Pięćset egzemplarzy zaledwie. Z osiem godzin może [drukowaliśmy]. Wieczór i noc. [...] [Następny numer] drukuję z Markiem Przybyłą. Najciemniej jest pod latarnią – w domu jego rodziców na Podolskiej 24, na którym mi skądinąd strychu, gdzie jego brat mieszkał i gdzie wiele wieczorów [wcześniej] spędzałem. Tam drukujemy drugi numer. Uczymy się właściwie drukować”. „Observator Wielkopolski” szybko stał się głównym pismem podziemnej „Solidarności” w Poznaniu.

Również w styczniu 1982 r. w Gliwicach zaczął się ukazywać „Regionalny Informator Solidarności Śląsko-Dąbrowskiej”. Jednym z jego twórców był Jerzy Buzek, wówczas pracownik naukowy Politechniki Śląskiej i czołowy działacz „Solidarności” w regionie, rozpoznawalny również na ogólnopolskiej arenie związkowej – kilka miesięcy wcześniej pełnił funkcję przewodniczącego Prezydium I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”. Po wprowadzeniu stanu wojennego udało mu się uniknąć internowania i zaczął się ukrywać. Wraz z nim w tworzenie pisma zaangażowani byli inni działacze związani z gliwickimi instytucjami naukowymi. Podobnie jak w innych przypadkach pierwszy numer „RIS” (z czasem redakcja zaczęła używać tego skrótu) składał się z dwustronowej odezwy. Dopiero później rozwinął się w pismo z prawdziwego zdarzenia.

Właściwie wszystkie, powstające w pierwszych tygodniach stanu wojennego, gazety podziemne przechodziły ewolucję podobną do gliwickiego „RIS-u”. Pierwsze pisma miały charakter informacyjny. Inne formy dziennikarskie, jak na przykład publicystyka, zaczęły pojawiać się w nich najczęściej po kilku tygodniach.

Wiadomości

30.XII.81

Nr.7 Biuletyn informacyjny NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze

Stan wojenny - pogwałcenie Konstytucji. Wg. art. 33 Konstytucji PRL do zakresu uprawnień Sejmu PRL należy uchwalanie postanowień o stanie wojny. Wg. Konstytucji wprowadzenie stanu wojennego może być podjęte jedynie a. w razie zagrożenia napadu na Polskę, b. gdy u umów międzynarodowych wynika konieczność wspólnej obrony przeciwko agresji. /A. Burda/ „Polskie prawo państwowe s.277./

POLOWANIE NA BUJAKA. Z. Bujakprzew. Reg. Mazowsze przebywa nadal na wolności. Organem ścigania nie udało się go dotychczas złapać. W wozach milicyjnych wiszą listy gończe za ZdBujakiem. Nasi „dobroczyńcy” z SB i MO urządzają polowania na ludzi, jak za czasów okupacji. Pamiętajmy, że ścigani w tej chwili przez milicję ludzie są w większości działaczami „Solidarności”. Pomagajmy im jeśli tylko nadarzy się okazja.

RELACJA naocznych świadków GDANSK 17.XII. rano strajk w Stoczni Gdańskiej zamknął się. Wjechały czołgi, rozbiły bramę i zniszczyły wiele sprzętu. Były ofiary śmiertelne i nad Stocznią wywieszono czarną flagę. Gazety podały liczbę 400 osób rannych, ale stoczniowcy mówili, że jest ich dużo więcej. Czołgi strzelały ślepyimi nabojami, ale i tak z okien leciały szyby. Używano także petard. W drodze wiszącym widziałem, jak peterda urwała chłopcu rękę i tak poraniła mu twarz, że wypłynęło mu oko. Drugi dostał peterdą, gdy stał na dachu i zabił się spadając. Do miotania petard somowcy używali armatek. Koło dworca zgromadził się chyba 100 tysięczny tłum - ludzie budowali barykady na ulicach i podpelniono milicyjną nykę z peterdami. Spód Stoczni wycofano wojsko bo było w sztywniej komitywie z robotnikami i do akcji użyto oddziałów ZOMO. Było ich chyba 2000. Był taki moment, że zostaliby zgniecieni w tłumie. Na dworcu w Gdańsku nie można było wysiąść z pociągu, bo na peron wjechał wóz pancerny, z którego rzucono peterdy i rozpryskiwano jełną cieczą i gaz łzawiący. Ludzie mówili, że do stoczni weszła procesja z księdzem, którego potem aresztowano. Dojechała do Pomnika Ofiar Grudnia 70 bronił potrojny kordon ZOMO. W mieście ciągle coś się działo, pełno było dymu i gazu, były pożary i ciągle resztki się straszyły.

WIELKIE działania WRONY. Dotarła do nas informacja ze spotkania 30 dyrektorów w-wskich zakładów pracy, którą przesłano gen. Jaruzelskiemu „Nota informacyjna dla Prezesa RM, gen. W. Jaruzelskiego w sprawie narady z dyrektorami przedsiębiorstw”. W dn. 22XII. odbyła się narada dyrektorów 30 przedsiębiorstw należących do w-wskich gałęzi przemysłu usług z terenu W-wy i miejscowości podwarszawskich. Z wypowiedzi dyrektorów wynika, że: a. w większości zakładów obserwuje się nastroje przygnębienia lub nieufności, wyrażające się w postawie „milczenia i pracy”. W przypadku załóg kobiecych „modlitwy i pracy”. Załogi zakładów w których interweniowały siły porządkowe przeżyły szok, ale także obserwuje się wśród nich otrzewnienie. b. większość nie widzi perspektyw rozwojowych w postaci porawy warunków materialnych, zwłaszcza mieszkaniowych. Powoduje to frustrację i postawę kontestacyjną. c. większość aktyw „Solidarności” wierzy, że po odwołaniu stanu wojennego możliwy będzie powrót do dawnych stosunków. Powprowadzeniu stanu „W” ujawnił się drugi, trzeci i dalszy garnitur władz związkowych. d. kadra kierownicza wyższych szczebli /od kierownika wydziału wwyż/ jest w większości oddana państwu, natomiast wśród kadry niższych szczebli obserwuje się poważne wpływy „Solidarności”. e. w.róż załóg występuje nieufność do propagandy, zwłaszcza prowadzonej natrętnie i nieumiejętnie. Powszechnie krytykowane jest działanie TV w okresie stanu „W”. f. w aparacie partyjnym i wśród aktyw następuje tendencja do nadmiernej sktywności i działań odwetowych. Prowadzi to do występowań podziałów pomiędzy partyjnymi i bezpartyjnymi i to może stwarzać wrażenie, że „państwo potrafi działać tylko pod osłoną luf”. g. tam, gdzie po wejściu w życie ustawy o samorządzie pracowniczym samorzady zostały wybrane, są one w przeważającej większości opanowane przez „Solidarności”. Najważniejsze wnioski i postulaty: a/ niezbędne jest natychmiastowe wdrożenie reformy. Nie można dopuścić do powstania próżni po zawieszonych związkach. Na terenie zakładów pracy powinny w przyszłości działać związki zawodowe jak i samorzady pracownicze. Należy jednak doprowadzić do nowych ich form i zakresów działania, m.i. droga zmiany ustawy o samorządzie

Więzienna bibuła

JAN STRĘKOWSKI

Wszyscy wiedzą, że najciemniej jest pod latarnią. Czy jednak komuś może przyjść do głowy, że przysłowie to nabierało kształtów i barw w najdziwniejszych i wydałoby się naprawdę nieprawdopodobnych miejscach i okolicznościach?

Jednym z takich nieprawdopodobnych miejsc w latach, które nastąpiły po ogłoszeniu przez Wojskową Radę Ocalenia Narodowego (mam nadzieję, że zostanie uznana za związek przestępczy) stanu wojennego, były obozy internowania i więzienia.

Dziś każdy z grubsza wie, nawet jeśli nie zna tytułów, że stan wojenny to nie tylko brak Teleranka, na ulicach scoty i koksownicy, przepustki i patrole, godzina milicyjna oraz głos w słuchawce telefonicznej: „rozmowa kontrolowana”, ale także prawdziwy wysyp podziemnej prasy, ulotek, broszur, książek i tzw. galanterii, czyli kart pocztowych, znaczków „Poczty Solidarność”, przeróżnych nalepek, w tym nawet etykiet na wódkę w odpowiedni sposób sławiących generała, czyli twórcę stanu wojennego.

Czy ktoś jednak wie, może tylko nieliczni, że w obozach internowania oraz więzieniach także wydawano nielegalną prasę? Myślę, że tylko ci, którzy sami wówczas trafili za kraty. A było tych tytułów, czasem ukazujących się w dwóch egzemplarzach, najczęściej potem dalej przepisywanych, blisko lub ponad dwadzieścia (dziś wiemy już o ponad 30 tytułach – js.). Niełatwo je zliczyć, bo niewiele z nich się zachowało.

Trudno się zresztą dziwić, wszak do „internatów” i więzień trafiali ludzie, którzy przeważnie mieli już doświadczenie z wolnym słowem, redaktorzy gazet Solidarności, które ukazywały się w okresie legalnej działalności związku, drukarze podziemnych wydawnictw, kółporterzy, łącznicy, technicy, wreszcie czytelnicy. Bardzo szybko więc zaczęli robić to co potrafili, czyli... wydawać podziemną prasę tam, gdzie ich przewieziono, czyli w tzw. miejscach odosobnienia.

W Białolece

Największym problemem był brak informacji ze świata zewnętrznego, ale ten problem udawało się rozwiązać. Na przykład w Białolece, gdzie

trafili warszawscy działacze Solidarności i opozycji, wszystko zaczęło się od małego radyjka odbierającego Radio Wolna Europa, które udało się przemycić Krzysztofowi Śliwińskiemu. W wielu innych więzieniach było podobnie. Znany mi jest także przypadek produkcji aparatów radiowych przeznaczonych dla internowanych. Inż. Edward Przybysz w swoim warsztacie wykonał kilkadziesiąt małych

odbiorników, mieszczących się w dwu pudełkach od zapalek, które mogły odbierać albo Wolną Europę, albo BBC.

W Białolece właśnie już w styczniu powstało jedno z najsłynniejszych pism „internatowych”, czyli „Koniem przez Świat”. Przepisywane ręcznie, wychodziło do czerwca 1982 roku, wypuszczając około dwustu numerów z adresem redakcji: ul. Ciupagi 1 (adres Aresztu Śledczego i więzienia w Białolece).



W tym samym więzieniu ukazywały się także inne tytuły. Tak jak tamto pismo wydawali głównie ludzie ze środowiska Komitetu Obrony Robotników, tak były też tworzone pisma przez inne nurty czy grupy opozycji.

Andrzej Czuma (z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela) wydawał „Kipisz codzienny”. Ukazywała się od 1 stycznia (1982 r. – js.) mutacja wcześniej legalnego „AS”, czyli biuletynu „Agencji Solidarność”. W podziemiu równoległe, już od 14 grudnia (1981 r. – js.), ukazywała się „Informacja Solidarności”, którą redagowali pozostający na wolności i ukrywający się byli redaktorzy „AS”. Ta podziemna nazywała się „BAS”, czyli Białolecka Agencja Solidarności, która potem równoległe miała nawet mutację, wydawaną w innym oddziale więzienia o nazwie „Basik”, wreszcie wychodził przez pewien czas „Biuletyn Informacyjny”.

W Kielcach, Zależu, Krakowie i Uhercach

Tytułów podziemnej prasy, czasem nawet drukowanej prymitywnymi metodami, za pomocą linoleum, kartofla, folii z czekolady itp., ukazywało się wiele także w innych miejscach od początku stanu wojennego. W więzieniu na Piaskach w Kielcach

mieliśmy tytuły „Krata” i „Gryps”, w Zależu ukazały się „Nasza Krata”, „Wolny Głos Krakowski Oddział internowanych”, „Biuletyn Informacyjny” i „Z jednej celi. Niezależny Organ Prasowy Internowanych w Zależu”, w Uhercach „Głos Ekstremy”, „Kret. Pismo internowanych” i „Zadymka Bieszczadzka”.

W obozie w Mielecinie

W obozie w Mielecinie działali i redaktorzy z Konina, wcześniej na wolności wydający oficjalne pismo związkowe „Azył”, szybko przystąpili do wydawania „Azyłu Internowanego”. Część redakcji, która nie trafiła za kraty, rozpoczęła równoległe publikację periodyku „Azył Wojenny”.

Warto też wiedzieć, że nie tylko internowani, ale także więźniowie polityczni – siedzący przeważnie w dużo gorszych warunkach – mieli swoje pisma więzienne. Wystarczy wymienić choćby ukazujące się we wrocławskim więzieniu przy ulicy Kleczkowskiej pisma „Bez Cenzury”, „Igła Siedzącej Ekstremy”, „Igła Contra”, „Goniec Pawilonowy Ekstremy”, „Solidarność Więzienna” czy

nasza krata

28.06.1982. nr. 14/B





ROMAN STRZAŁKOWSKI I OKOŁO 380 MIESZKAŃCÓW POZNANIA ZABITYCH NA ULICACH MIASTA W WALCE POD HASKEM - CHLEBA I WOLNOŚCI DLA NARODU.

„DUCHA NIE GAŚCIE”

26 lat temu robotnicy Poznania wyszli w pochodzie na ulice miasta. Nie mieli karabinów. Skandowali „Wolności i Chleba, wypuście Wyszynskiego, przez z UB. Na skrzyżowaniach ulic stanęły czołgi, z bruku zbierno ciała pomordowanych. Choć na ulice wyszli tylko oni, ginęli za cały kraj, ich dramata był odpowiedzią, wstyd komunistycznym dla wszystkich Polaków.

Nie poraz pierwszy w PRL strzelano do Polaków. Poznański Czerwiec nie był początkiem tej walki i jej nie zakończył. Już od lat trwała wojna, którą wypowiedziano nam 13.XII.1981r. Polegli w niej żołnierze AK, Wilna i Lwowa, robotnicy Poznania i Gdańska, Szczecina i Katowic.... Tak rodziła się SOLIDARNOŚĆ, wspólnota wszystkich walczących o Niepodległość, Demokrację i Sprawiedliwość, o to by Polska była Polską.

Ten program do dnia dzisiejszego nie został zrealizowany. Dziś nasza kolej. Mamy więcej doświadczeń i mniej złudzeń niż nasi ojcowie w 1956. Zwyćmiemy jeśli starłwagi i klary.

„NSI” (Niezależny Serwis Informacyjny). A także wychodząca w Nysie „Papugę Tasmańską”, której tytuł mówił wtedy wiele (PAP, TASS), a dziś kojarzy się z taką egzotyką jak widok papugi (niekoniecznie tasmańskiej) poza klatką. przedruk za: „Kombatant” nr 1/217, styczeń 2009 r.

InternNowa

Najbardziej chyba niezwykłą inicjatywą radiową było radio dla internowanych w Ilawie. Funkcjonowało ono bowiem w „ośrodku odosobnienia”. Pierwszą audycję wyemitowano, poprzez radiowęzeł ilawskiego więzienia, 23 marca 1982 r. Nadał ją Aleksander Rusiecki z Olsztyna, któremu w „organizowaniu” radia pomagali Andrzej Laskowski z Elbląga i przetrzymywani piętro wyżej „złodzieje” – ci ostatni odpłatnie w zamian za produkty spożywcze dostarczyli niektóre z potrzebnych części. Łącznie udało się nadać kilka audycji Radia InternNowa. Były one oczywiście krótkie (prawdopodobnie około trzyminutowe). Składały się na nie informacje z zewnątrz i z samego ośrodka dla internowanych, wiersze i żarty. Teksty pisał Michał Lubomirski z Kadyn, a czytał je Rusiecki. Tę działalność zakończyło przeniesienie twórców radia do innych ośrodków.

G.M.

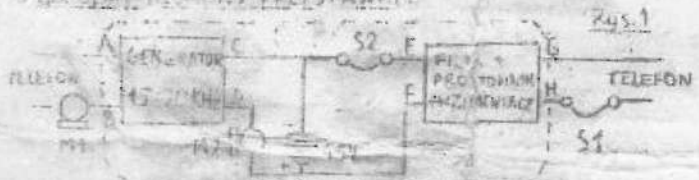
KRET

W nr 3 „Kreta” zamawialiśmy m. in. problem numeracji tajni tajemności. Tytułem omówienia drukujemy poniżej schemat i opis urządzenia, porównującego na miejscu przekazywanym tajni.

KRYSTAWKA 90-ROZMIÓW TELEFONICZNYCH ZA POSREDNICTWEM NADKUSTYCZNEJ CZĘSTOTLIWOŚCI NOSNEJ

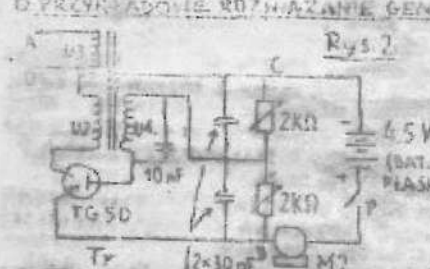
O ZASADZIE ZWIĄZKI STĘPIENIA ROZMIÓW TELEFONICZNYCH SUMUJE SIĘ Z SYGNAŁEM CZĘSTOŚCI MODULOWANYM DRUGĄ, TAJNĄ KOMÓWKA NA KOLEJNYM DO ODBYTOREK. DRUGI SYGNAŁ JEST MODULOWANY, WZMACNIANY I DOPROWADZANY NA SŁUCHAWKĘ LUB MAŁY GŁOSNIK.

O PRZEBIEGU PRACY PRZYSTANKU:

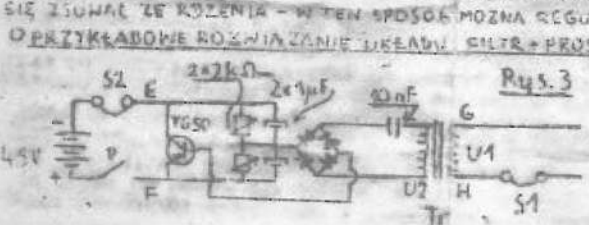


Rys. 1
M1, S1 – MIKROFON I SŁUCHAWKA TELEFONU, R=100...200 Ω
M2, S2 – MIKROFON I SŁUCHAWKA PRZYSTANKU, R=100...200 Ω

O PRZYKŁADNIE ROZWIĄZANIU GENERATORA:



Rys. 2 (2kΩ – POTENCJOMETRY MONOTONNE)
NA ROZWIĄZANIU PERRYTOWYM O PRZEKROJU OK. 0.5 CM²
UZWOJENIA: U1 – 200 ZW, Ø 0.45 mm, NA DŁUGOŚCI OK. 2 cm
U2 – 200 ZW, Ø 0.3 mm, NA DŁUGOŚCI OK. 2 cm
U3 NA U2, 300 ZW, Ø 0.35 mm, UŻYĆ NIECIE (WSZYSTKO BRUT N EMALII). UZWOJENIE U4 WAMINAC NA KARTONOWEJ RURCE, KTÓRA DA SIĘ ZLOHAŁ Z ROZWIĄZANIEM – W TEN SPOSÓB MOŻNA REGULOWAĆ CZĘSTOTLIWOŚĆ.
OPRZYKŁADOWE ROZWIĄZANIE LUBRAJ. FILTR+PROSTONNIK+WZMACNIACZ (Z ODBIORU)



Rys. 3
NADZ. 0.5W/6V (NR. 8063, 8261 ITP)
2kΩ – POTENCJOMETRY MONOTONNE
TR – NA ROZWIĄZANIU PERRYTOWYM O PRZEKROJU OK. 0.5 CM²
UZWOJENIA: U1 – 200 ZW, Ø 0.3 mm; U2 – 300 ZW, Ø 0.3 mm

Oni byli pierwsi

Wolny Związkowiec. Huta Katowice Wydanie Strajkowe. nr 1 z 13 grudnia 1981 (Dąbrowa Górnicza, Huta Katowice)

Komunikat (Gdańsk-KKS). Krajowy Komitet Strajkowy, nr 1 z 13 grudnia 1981, godz. 13.20

Serwis Informacyjny Działu Informacji KKS. (Krajowej Komisji Strajkowej), nr 1 z 13 grudnia 1981, Gdańsk KKS
Niezależny Serwis Informacyjny. Członkowie „Solidarności”, Członkowie NZZ, Członkowie wydawnictwa niezależnych, nr 1 z 14 (?) grudnia 1981, Gdańsk, Wyd. Alternatywa

Biuletyn Informacyjny NSZZ „Solidarność”. Regionu Gdańskiego II, 15 grudnia 1981

Serwis Informacyjny. Niezależnego Zrzeszenia Studentów Politechniki Gdańskiej, nr 1 i nr 2 z 16 grudnia 1981

Komunikat za Komisję Zakładową NSZZ „Solidarność” WSM. Jerzy Kowalczyk, Ewa Kubasiewicz, 16 grudnia 1981, Gdynia, NSZZ „Solidarność” WSM

Serwis Informacyjny. Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, 17 grudnia 1981, godz. 5.00, Gdańsk MKS

Solidarność Gorzowska. Informator NSZZ „Solidarność” Gorzów Wlkp., nr 41 z 16 grudnia 1981, SZGraf. Z-d nr 10

Przegląd Koniński. nr 106 z 18 grudnia 1981, Grupa Konińska w ZK Mielęcin

Azyl internowany. pismo niezależne od klawiszy, nr 5 z 28 grudnia 1981, Grupa Konińska w ZK Mielęcin

Solidarność (Konin-górn.). nr 1 z 30 grudnia 1981, Konin

Komunikat nr 4. Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” Małopolska, 13 grudnia 1981, Kraków

Komunikat Strajkowy. Komitetu Strajkowego Hutników NSZZ „Solidarność” Kombinatu Metalurgicznego, nr 1 z 13 grudnia 1981

Komunikat. Komitetu Strajkowego NZZ UJ, nr 1 z 13 grudnia 1981, Kraków

Komunikat Strajkowy. Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” Kraków, 13 grudnia 1981

Acta Medica Cracoviensia Tempore Status Belli, 13 grudnia 1981. Komitet Oporu Społecznego Służby Zdrowia, Niezależna Biblioteka Krakowska, z. 1 z 13 grudnia 1981

Wolna Gazeta Strajkowa. Regionu Małopolska NSZZ „Solidarność”, nr 1 z 14 (?) grudnia 1981, Kraków

Aktualności. 14 grudnia 1981, NSZZ „Solidarność” Huta Lenina, Centrum C-2, Kraków

Komunikat Komitetu Strajkowego. w PAN (nr 3) z 15 grudnia 1981, godz. 19.00, Kraków

Więści od Hutników. Kombinat Metalurgiczny (Huta im. Lenina), 15 grudnia 1981, Kraków

Serwis Informacyjny. Komitetu Strajkowego Studentów, po 15 grudnia 1981, Kraków

Serwis Strajkowy. Zjednoczony Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” Małopolska, 16 grudnia 1981, godz. 9.00

Przegląd Wiadomości Agencyjnych./Sektora Informacji Z.R. „Podkarpacie” NSZZ „Solidarność”, grudzień 1981 (wyd. spec. z 15 grudnia), Krosno

Lubelski Informator Strajkowy. NSZZ „Solidarność” Lubelskich Zakładów Naprawy Samochodów, nr 2 ukazał się 15 grudnia

NSZZ „Solidarność” Trwa. Biuletyn strajkowy Zakładowego Komitetu Strajkowego FSC, nr 1 z 16 grudnia 1981 godz. 9.00, Lublin

Biuletyn Informacyjny Stanu Wojny. NSZZ „Solidarność”, nr 1 z 19 grudnia 1981, Polkowice, ZG „Rudna”

Komunikat. (Poznań – „SAM”) NSZZ „Solidarność” Agencja Informacyjna „SAM”. nr 1 z grudnia 1981 (nr 3 ukazał się 15 grudnia),

Wiadomości Dnia. Biuro Prasowe MKZ NSZZ „Solidarność” Wielkopolska, grudzień 1981, Poznań.

Solidarni. („Solidarność”), nr 1 z 31 grudnia 1981, Poznań

Informator Strajkowy. nr 1 z 13 grudnia 1981, Puławy

Biuletyn Strajkowy. „Solidarność” Zakłady Azotowe „Puławy”, nr 1 z grudnia 1981 (2 nr ukazał się 16 grudnia),

Wiadomości Biejące. Komitet Strajkowy Ziemi Puławskiej, 15 grudnia 1981

Komunikat. Komitetu Strajkowego Ziemi Puławskiej, 18 grudnia 1981

Biuletyn Strajkowy. Regionalnego Komitetu Strajkowego Regionu Środkowo-Wschodniego „Solidarność” WSK „PZL-Świdnik”, nr 1 z 13 grudnia 1981

Wiadomości. nr 1 z 15 grudnia 1981 (jako Wiadomości Dnia), Warszawa

Wiadomości Codzienne. grudzień 1981 (nr 2 ukazał się 16 grudnia), Warszawa

Informacja Solidarności. nr 1-3 z 14-16 grudnia 1981, Warszawa

AS. nr 1 z 17 grudnia 1981 (kontynuacji Biuletynu „AS”)

Informacja o Sytuacji w Kraju. 16-17 grudnia 1981 (wcześniej ukazała się 14 i 15 lub 16 grudnia, kontynuacja był „Tygodnik Wojenny”)

Biuletyn Internowanego. nr 1 z 17 grudnia 1981, Warszawa „Nowa” Internowana,

Serwis Informacyjny. grudzień 1981 (nr 3 ukazał się 17 grudnia), Warszawa

Serwis Informacyjny Mazowsza. Biuro Informacyjne Mazowsza, grudzień 1981 (ukazały się numery 17-20)

Kurier Wojenny. nr 1 z grudnia 1981, Warszawa

Biuletyn Bratowski. nr 1 z 21 grudnia 1981, Warszawa

Komunikat. (Wrocław-„S”) Regionalny Komitet Strajkowy NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk, nr 1 z 13 grudnia 1981,

Komunikat Biura Prasowego. nr 1 z 14 grudnia 1981 (także nr 2, z godz. 13.35), Wrocław

Z Dnia na Dzień. Serwis Informacyjny NSZZ „Solidarność”. Wydanie strajkowe, 14/15 grudnia 1981, Wrocław

Wrocławski Serwis Informacyjny. 16 grudnia 1981

Wiadomości Biejące. nr 1 z 17 grudnia 1981, Wrocław



14.XII. 1981r.

Można przeżyć bezkonfliktowo całe długie nieraz życie i nie sprawdzić ile właściwie jesteśmy wroci.

Dzisiaj przeżywanym znowu trudnym okresem, kiedy charaktery, ludzkie, postawy, czy zachowania jednostek i całych grup społecznych ujawniają się nam zupełnie jednoznacznie.

Teraz wiemy na kogo można liczyć w ciężkiej sytuacji, a kto okazał się tylko podłym ludzkim łachem.

W naszym Centrum C-2 odbywają się bezustannie zebrania załóg, gdzie mimo zwykłego ludzkiego strachu i obaw o najbliższych, przeważająca większość ludzi decyduje się kontynuować walkę o to co zaczęło się w sierpniu 1980 r. To jest nasze zwycięstwo.

Trzeba było widzieć zainteresowanie i troskę jaką wykazywali robotnicy losom swoich przywódców przeprowadzających rozmowy z wojskową władzą w dniu 14.12.81 w Dyrekcji Kombinatu. Jest jasne - mogą podejmować decyzje w naszym imieniu, gdyż mają pełne poparcie.

Życie Centrum C-2 powoli się stabilizuje i dociera.

Warty, przepustki, gołcy, odprawy i zebrania weszły już w normalny tok naszego życia strajkowego. Cieszy nas obecność wśród robotników studentów krakowskich uczelni. Ci młodzi ludzie są pomocni w każdej najtrudniejszej sytuacji.

Pełni niepokoju, ale i nadziei wierzymy w ostateczne zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości.

Sektora Informacji
Centrum C-2

15.XII.1981 r. g-1900

KOMUNIKAT NR 3 KOMITETU STRAJKOWEGO W PAN

I. KRAKÓW

15.12.

Delegacja wojskowa rozmawiała 14.12. z M.Gilem, któremu towarzyszyło kilkaset robotników - rozmowa przez szlaban i ultimatum. 15.12. rano dotarł do Huty transport żywności z Kurii. W drodze powrotnej zatrzymano komojuż. Kontaktują się zakłady poziomu A i szereg innych komisji zakładowych. Rusza system ABC. Około południa miała miejsce próba ataku na Hutę od strony Ośrodka Zdrowia. Odparta. Delegacja Huty rozmawiała z kardynałem Mcharekim. Poinformowali, że spodziewają się ataku na Hutę o godz. 20-tej. W Hucie jest około 15 tys. robotników. Po południu widziano duży ruch samochodów wojskowych w kierunku Huty.

MIASTO:

15.12. rano do zajezdni w Łagiewnikach weszło wojsko. Wyprowadzono tramwajarzy z podniesionymi rękami śpiewających "Boże coś Polskę". Odwieziono w nieznanym kierunku. Do zajezdni w Błaszczycach weszło ZOMO, wojsko nie. W nocy ZOMO opanowało CeBeA. Aresztowano kilka osób w tym Krzysztofa Pacholickiego i Lasotę. Wg. informacji pochodzącej od prez. Gajewicza akcja protestacyjna w Krakowie podjęto 300-400 zakładów pracy. Wiemy, że strajkują wszystkie wyższe uczelnie, Kabel, Szadkowski, Solway, Inst. Technologii Nafty, Ultra-Telpod, Montin, Przeda.Geofizyki i Górnictwa Naftowego, Instytut Fizyki Jądrowej. Powstał Komitet Pomocy Internowanym na czele z prof. Gierovskim - rektorem UJ. W skład Komitetu wszedł prof. Litwiński - prezes Oddz. Krak. PAN.

Uchwały Senatu UJ z 15.12.

1. Senat UJ stanowczo protestuje przeciw internowaniu władz Uniwersytetu Śląskiego, w tym rektora i prorektorów i w imię praw człowieka oraz tradycji Uniwersytetu domaga się ich natychmiastowego zwolnienia.
2. Senat UJ stanowczo protestuje przeciwko drastycznemu ograniczeniu uprawnień legalnie wybranych kolegialnych władz Uczelni. Senat oświadcza, że fakt ten stanowi niezgodny z prawem i niesprawiedliwie ujęcie siły.

Uchwała ta jest odpowiednią na przejęcie dnia władzy w UJ przez kierownika Studium Wojskowego.

Prezydium Oddz. Krak. PAN uchwaliło dzień protest wobec wprowadzenia stanu wojennego. Łamiącego swarem porozumienie społeczne.

Z UJ wiadomości o masowym oddawaniu legitymacji partyjnych w tym w-ce przewod. Klubu Książka.doc. dr Jana Jerszchyn, doc. dr A.Paluch.

I sekr. POP w Inst.Fiz.-J. oświadczył na zebraniu pracowników, że poczuł się uderzony w twarz faktem niesawieszienia działalności PZPR przez władze wojsk.

KRAJ

W Szczecinie i Trójmieście czułości na ulicach. Informacja w mediach o Hucie Katowice nieprawdziwa. Była to próba opanowania Huty - udaremniona. Ok. 30 poszkodowanych robotników przebywa w krakowskich szpitalach. Wiele kopalni strajkuje mimo militarystyki. Ze Szpitala Żeromskiego odszedł do Rybnika transport krwi. Apel 124 intelektualistów o odwołanie stanu wyjątkowego.

Książki z Przyryнку

Zawsze bogate w imprezy Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej mogły być okazją do zetknięcia się kilku środowisk artystycznych. Ale były to zetknięcia raczej towarzyskie oraz na płaszczyźnie prezentacji i odbioru.

Na co dzień w Duszpasterstwie Środowisk Twórczych na Przyryнку, tak jak dziś to pamiętam, mimo kwitnącej twórczej aktywności nie było „oddolnych i interdyscyplinarnych” inicjatyw wie-

le. Mam wrażenie, że środowiska działały jednak oddzielnie, chociaż trudno mówić o rozmyślnej separacji. Okazją do spotkań były otwarcia wystaw w kościele i sąsiednim budynku parafialnym. Wiadomo, że koledzy pisarze i dziennikarze przychodzili oglądać dzieła, ale nie jestem pewna czy koledzy malarze przychodzili posłuchać dziennikarskiego „Dzwonka niedzielnego” albo wpadała na spotkanie autorskie czy prelekcje. Praca w piwnicy przy rozdzielaniu darów z zagranicy odbywała się dla poszczególnych środowisk w określone dni,

poszczególne środowiska miały swoje patronalne święta i dziś się dziwię, że nawet starzy znajomi, niegdys zintegrowani dość młodzi artyści i poeci nie mieli czasu i zapału do realizowania interdyscyplinarnych artystycznych pomysłów.

Jednakże jesienią 1984 roku na X Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej z inicjatywy Jana Śpiewaka została wydana bibliofilska seria poetycka a raczej „zestaw poetycki” – wspólne przedsięwzięcie literacko-plastyczne. Janek (wówczas redaktor legendarne-

go miesięcznika katolickiego dla młodych i poszukujących „Powściągliwość i Praca”) osobiście zaprosił warszawskich grafików i poetów. Powstało 10 „zeszytów”, każdy w nakładzie 100 numerowanych egzemplarzy, w miarę możliwości zaopatrzonych w autografy – po jednym wierszu poety z jedną oryginalną odbitką graficzną – sygnowaną (niestety zwykle nieczytelnie). Typograficznie serię opracował Krzysztof Racinowski. Autorami wierszy według koncepcji Śpiewaka byli zarówno twórcy dojrzały i sławni, jak i młodszy (ale już nie debiutanci), zauważyć trzeba, że dopiero stan wojenny, podziemie i działalność w DST zbliżyła pokolenia pisarzy.

Wiersze dali: Zbigniew Herbert, Anna Kamińska, ks. Jan Twardowski, ks. Janusz St. Pasierb, nasz duszpasterz – ks. Wiesław Al. Niewęglowski, Artur Międzyrzecki, Piotr Matywiecki, Antoni Pawlak, Krzysztof Piechowicz i niżej podpisana. Autorami grafik byli m.in. Katarzyna Latałło, Zofia Glazer, Jan Bokiewicz, M. Stępień, Jacek Frączak, K. Krzysztof Wyzner, niestety być może przez niedopatrzenie a może dla bezpieczeństwa w półoficjalnym druku nie umieszczono nazwisk plastyków. Był to w końcu bardzo dramatyczny okres – listopad 1984. Wiersze i ilustracje też były dramatyczne, ale jak można sądzić już po doborze autorów – nie lżawo bogoojczyzniane. Śpiewak i Racinowski niestety pomarli i to o wiele za wcześnie, spytać o szczegóły ich nie możemy.

KBJ



Takie jedno miejsce

Zeszyt jest w linie i otwieram go na pierwszej stronie. Teraz wszystko jest ważne. Długopis. Kolor tuszu. Lampa – jeśli to wieczór. Firanki – jeżeli są. Kroki na schodach – gdy są schody. Skrzypienie drzwi – długie, krótkie. Szczekanie psa – ostre, jak tłuczenie patykiem o sztachety lub odległe, jak odgłos z głębin. Głosy. Płyta – jeśli w tym domu są płyty i adapter. Albo tylko radio, czasem prawomysłne, innym znów razem nie. Telewizor. Gdzieś spod stołu – jeśli (bywa) ciasno.

Nogę: chodzić, spacerować albo nie. Zależy gdzie jestem. I pisząc: pisać tak, by nikt nie rozpoznał. Tu czy tam. U tego czy tamtego. Na której ulicy, pod którym numerem? I nie tylko zmieniać wygląd, ale i charakter pisma: wszystko co pomyślę, zapiszę, zapamiętam – gdzie we mnie jakieś magiczne cen-

trum szyfrujące, które zmusza do ukrywania, nawet przed sobą.

Gra: Muddy Waters. Harmonijka. Ale czy mogę to zapisać? Czy mogę pamiętać? Wszystko może zaraz skojarzyć się: czas, miejsce. Bez na oknie. Już drugi. Poprzedni zbrązowił momentalnie, przeniesiony z mrozu w ciepło ciasnego pomieszczenia. Ten – biały i udaje życie. W butelce po śmietanie wody wciąż ubywa, więc jemu jeszcze zdaje się. Chlepcze zachłannie tę wodę (nie zmieniają) już trzeci dzień – pewnie stęchła już. Nie sprawdzałem. Obok irys. Płatki już się poddały.

Niedaleko jest przystanek autobusu lub tramwaju. Czego? Nie wolno mi powiedzieć. I tego może za wiele. Odgłosy przystanku. Typowe. Ale nie opiszę ich by trudniej było rozpoznać. Z boku (lub z tyłu) śmietnik. Przyje-

chało (wczoraj? przedwczoraj?) MPO. Trąbili przez cały wieczór lub rano. Godzinę lub więcej.

Słuchałem. Słuchał. Kto?

I odgłosy łazienki (jest łazienka). Która pusta nawet – żyje. Odżywa się. Kropla – pac. Coś zaczyna gwizdać. Rury szumią. Woda splywa. Spokojnie lub jak górski potok. Za oknem wiatr (a więc jest okno?) deszcz, śnieg, wiatr, słońce. Wiatr tłucze promieniami słońca o dach. Przygrzewą śnieg. Deszcz układający się białym puchem na parapecie (okno ma parapet). Za ścianą (aha! – ściana!) na schodach (schody – są) dzieci. Czyjeś. Biegną w dół, tłukąc obuwiami o stopnie.

Cd. Muddy'ego (Corrina). Chcę też mieć organki. Jeszcze żyję (on żyje), może więc kiedyś coś zagram. Otwieram lufcik – bardzo mokry wiatr.

Cieszę mnie, że tak doskonale zakonspirowałem porę roku.

JAN STRĘKOWSKI

Opowiadanie pochodzi ze zbioru „Wizytacja” wydanego zupełnie oficjalnie w Wydawnictwie Pomorze w Bydgoszczy w 1985 r. Zostało napisane w pierwszych miesiącach stanu wojennego, kiedy autor zmuszony był wynieść się z domu. Przeszło przez cenzurę, ale Krzysz Soliński, redaktor książki i mój współpracownik przemycający bibułę do Bydgoszczy, a także a może przede wszystkim poeta, który włożył wiele starań w to, by książka się ukazała, stracił po ukazaniu się opowiadań stanowisko. Krzysz już nie żyje, a opowiadanie po latach, dedykuję jego pamięci.

STYCZEŃ 2015

Oświadczenie w sprawie usunięcia 8 stycznia 2015 r. z konferencji prasowej Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy dziennikarza TV Republika.

LUTY 2015

Oświadczenie Stowarzyszenia Wolnego Słowa w sprawie wznowienia prac nad projektem ustawy o działaczach opozycji antykomunistycznej oraz osobach represjonowanych z powodów politycznych

MAJ 2015

Dzień Polonii w Berlinie

Oświadczenie w sprawie jakości debaty w mediach publicznych

Członkowie Zarządu SWS brali udział w pracach Grupy Roboczej przy Prezesie IPN nad ustawą o działaczach opozycji List gratulacyjny Prezesa SWS do Prezydenta RP Andrzeja Dudy

Spotkanie informacyjne przedstawicieli organizacji skupiających działaczy opozycji antykomunistycznej z prezesem Instytutu Pamięci Narodowej Łukaszem Kamińskim, szefem Urzędu Do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Janem Ciechanowskim i wicemarszałkiem senatu Janem Wyrowińskim. Tematem spotkania były przygotowania do realizacji ustawy o działaczach opozycji antykomunistycznej oraz osobach represjonowanych z powodów politycznych ogłoszonej w Dzienniku Ustaw z 20 maja 2015 poz. 693.

Oświadczenia:

– Oświadczenie w sprawie asysty honorowej dla zbrodniarzy PRL

– Oświadczenie w sprawie obrony organizacji „Memorial”

– Oświadczenie w sprawie wydarzeń w PKW

– Oświadczenie w sprawie zamachu terrorystycznego na redakcję Charlie Hebdo

CZERWIEC 2015

Walne Zgromadzenie Członków SWS List otwarty Prezesa Zarządu Stowarzyszenia Wolnego Słowa do o. Tadeusza Rydyka, Dyrektora Radia Maryja w sprawie Prezydenta Bronisława Komorowskiego

Akcja Informacyjna w sprawie ustawy o działaczach opozycji antykomunistycznej i osobach represjonowanych z powodów politycznych.

SIERPIEŃ 2015

SWS gościło debatę Plusa Minusa Solidarność: fałszywy mit jedności? Debata Plusa Minusa STANISZKIS-CENCKIEWICZ-KUCZYŃSKI-PACZKOWSKI

WRZESIEŃ 2015

List Mirosława Chojeckiego w sprawie zwolnienia Ewy Wanat

Uchwała Zarządu Stowarzyszenia Wolnego Słowa ws. zwolnienia Ewy Wanat

Uchwała Zarządu Stowarzyszenia Wolnego Słowa z dnia 25 września 2015 r. w sprawie Jana Strękowskiego

PAŹDZIERNIK 2015

List członków i sympatyków SWS w sprawie ataków Gazety Wyborczej na Stowarzyszenia

Uchwała Zarządu SWS z 14.10.2015 w sprawie zwołania NWZC

List Jana Strękowskiego w sprawie listu członków i sympatyków SWS

LISTOPAD 2015

SWS realizuje projekt „Integracja Viet” Fundacja Edukacji i Przedsiębiorczości wraz ze Stowarzyszeniem Wolnego Słowa realizują projekt „Integracja Viet” współfinansowany ze środków Funduszu Azylu, Migracji i Integracji oraz budżetu państwa.

SWS realizuje projekt „Droga do samodzielności”

Fundacja Edukacji i Przedsiębiorczości wraz ze Stowarzyszeniem Wolnego Słowa realizują projekt „Droga do samodzielności” współfinansowany ze środków Funduszu Azylu, Migracji i Integracji oraz budżetu państwa.

SWS objęło patronatem honorowym Festiwal Filmów Dokumentalnych „Kino z duszą” – trzecia edycja

GRUDZIEŃ 2015

Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Członków SWS

Obchody 34. rocznicy wprowadzenia stanu wojennego

Prezentacja albumu i wystawy „XXXV rocznica strajków i powstania Solidarności”

Legenda Warszawskie – prezentacja publikacji sekcji cudzoziemskiej.

STYCZEŃ 2016

Sekcja Cudzoziemska Stowarzyszenia Wolnego Słowa oraz Fundacji „Polska Obywatelska” zorganizowało obchody azjatyckiego Nowego Roku.

Oświadczenie w sprawie debaty „Dlaczego i w jakim celu walczyli studenci w Łodzi i w całej Polsce?”

SWS objęło patronatem honorowym II Ogólnopolski Festiwal Piosenki im. Jacka Kaczmarskiego. Edycja IX.

MARZEC 2016

Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Członków SWS

KWIECIEŃ 2016

List Jana Dworaka w sprawie mediów publicznych

List Mirosława Chojeckiego i odpowiedź Zarządu w sprawie wyników NWZC

CZERWIEC 2016

Uchwała Zarządu SWS ws. red. Tomasz Zimocha

Uchwała Zarządu SWS ws. inwigilacji dziennikarzy

Mazowiecka Rada Konsultacyjna ds. Działaczy Opozycji i Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych

Pismo SWS w sprawie komunikacji miejskiej dla byłych działaczy opozycji antykomunistycznej

LIPIEC 2016

Rozpoczęcie realizacji zadania „Historia mówiona. Notacje filmowe” dofinansowanego ze środków Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

WRZESIEŃ 2016

Spotkanie poświęcone historii Polskiej Partii Socjalistycznej współorganizowane i współfinansowane przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

PAŹDZIERNIK 2016

Spotkanie przy albumie poświęconym strajkom lipca i sierpnia 1980 roku i powstania „Solidarności” współorganizowane i współfinansowane przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

LISTOPAD 2016

Spotkanie środowiska Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” i działaczy opozycji antykomunistycznej z Ursusa współorganizowane i współfinansowane przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

GRUDZIEŃ 2016

Spotkanie poświęcone Rolniczej „Solidarności” współorganizowane i współfinansowane przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

Obchody 35. Rocznicy wprowadzenia stanu wojennego „Kryptonim Jodła 2016” objęte patronatem honorowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy

Edukacyjna gra miejska „Spacerniak ‘81”

II Białolecki Bieg Wolności

DZIAŁANIA SEKCJI CUDZOZIEMSKIEJ W 2015 ROKU

Sekcja zorganizowała wiele spotkań o charakterze studialnym i programowym z udziałem ekspertów z różnych organizacji pozarządowych i placówek naukowych – głównie dla oceny działania nowej Ustawy o Cudzoziemcach i wypracowania planu sensownej reformy istniejącego w tej materii prawa oraz instytucji.

Przez cały czas prowadzona jest na dużą skalę działalność pomocowa i doradcza osobom, które niedawno przyjechały do

Polski a także takim, które przebywają tu od dawna i napotykać różnorakie problemy w swoim funkcjonowaniu.

Odwiedziła Polskę, zwolniona po czterech latach odsiadania siedmioletniego wyroku, przewodnicząca Wolnych Związków Zawodowych Wietnamu Do Thi Minh Hanh. Akcją na jej uwolnienie, uwieńczoną sukcesem koordynowała i inicjowała Sekcja (w zeszłym roku prowadząc akcję wspólnie z Amnesty International). Jej pobyt, rozmowy z polskimi politykami i pozarządowymi działaczami na rzecz praw człowieka a także rozmowy w międzynarodowych instytucjach związkowych i politycznych, organizowała Sekcja. Do Thi Minh Hanh wróciła do Wietnamu, gdzie kontynuuje działalność.

W lutym Sekcja zorganizowała w siedzibie Wspólnoty Polskiej całonocną imprezę z okazji azjatyckiego Nowego Roku. Przy tej okazji, poza elementami prezentacji kulturalnych, pokazaliśmy filmy dokumentalne, poświęcone kwestii uchodźców wietnamskich w Polsce i przeprowadziliśmy panelowe rozmowy na ten temat, które zgromadziły liczną publiczność. Imprezę odwiedziło około tysiąca Warszawiaków.

Sekcja jest mocno obecna w działaniach instytucji, zajmujących się kwestiami imigracji i uchodźstwa. Współkoordynator Sekcji Ton Van Anh należy do stałego zespołu ekspertów Rzecznika Praw Obywatelskich, drugi współkoordynator – Robert Krzysztoń – został w bieżącej kadencji wybrany przewodniczącym stołecznej Komisji Dialogu Społecznego ds. Migrantów.

Sekcja bierze udział w pracach otwartego właśnie Warszawskiego Centrum Wielokulturowego. Wchodzimy w skład Rady Centrum a Ton Van Anh jest członkiem Komisji Rewizyjnej fundacji „Centrum Wielokulturowe”.

Praca programowa zaowocowała ostatnio powołaniem stałego zespołu roboczego z udziałem parlamentarzystów, przedstawicieli Wojewody mazowieckiego, stołecznej samorządu oraz ekspertów, mającego na celu wypracowanie wspólnej płaszczyzny w kwestii przeprowadzenia koniecznych zmian w prawie o cudzoziemcach i polityce w tej materii.

Kontynuowana jest aktywność Sekcji w środkach społecznego przekazu oraz współpraca z innymi organizacjami, zajmującymi się sprawami praw człowieka, praw uchodźców i migracji.

W grudniu ukazała się publikacja „Legenda Warszawskie”



stowarzyszenie
wolnego słowa

Wydawnictwo przygotowane

przez Stowarzyszenie Wolnego Słowa.

Redakcja: Joanna Bachtin, Jacek Giżyński, Grzegorz Majchrzak, Jan Strękowski. Szczególne podziękowania należą się towarzyszom sztuki drukarskiej z drukarni „Efekt”.

Dziękujemy również wszystkim tym, o których mogliśmy w tej „Bibule” napisać.

Stowarzyszenie Wolnego Słowa

ul. Marszałkowska 7, 00-626 Warszawa, www.sws.org.pl sws@sws.org.pl https://www.facebook.com/StowarzyszenieWolnegoSłowa. PeKaO S.A. 09 1240 1024 1111 0010 0741 3451 (wpłaty prosimy opatrywać dopiskiem „składka” lub „datek”)

Stowarzyszenie jest Organizacją Pożytku Publicznego. Nr KRS: 000195433

NIP: 526-28-44-428. Telefon i fax: +48 22-405-66-30 oraz +48 22-405-66-31.

Biuro Zarządu czynne jest w godz. 10.00 do 17.00 od poniedziałku do piątku